



**Stefan Garczyński**

**WSPÓŁZYCIE  
ŁATWE I TRUDNE**

**2020**

## **NOTA BIBLIOGRAFICZNA**

*e-BOOK na podstawie książki wydanej w Warszawie  
przez ISKRY w październiku 1966 (wyd.I)*

*Adaptację, nowy skład i wersję elektroniczną (e-book)  
opracował Leszek Korolkiewicz*

*[www.StefanGarczynski.pl](http://www.StefanGarczynski.pl) [info@stefangarczynski.pl](mailto:info@stefangarczynski.pl).*

*Wydanie obecnej wersji elektronicznej, sierpień 2020,  
Warszawa.*

*Ebooka można powielać i rozprzestrzeniać w całości  
i bez zmian — tylko bezpłatnie oraz cytować fragmenty  
— z zachowaniem danych o źródle tego wydania lub  
oryginalnej książki i z podaniem autora.*

*Copyright Stefan Garczyński*

*Wszelkie prawa zastrzeżone.*

*All rights reserved.*

## Słowo od aktualnego wydawcy

W planie przywracania z niepamięci książek Stefana Garczyńskiego „Współzycie łatwe i trudne” kusilo swoim tytułem, by pochylić się nad tą książką jako jedną z pierwszych – tak aktualny to temat. Obecny zanik prawidłowych relacji między ludźmi, a nawet w ogóle relacji bezpośrednich, wymaga spojrzenia wstecz na to, jak to bywało dawniej.

Z drugiej strony długo powstrzymywałem się, ponieważ w danym przypadku to wstecz wypada na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte – w realiach PRL. Były to dziwne czasy, zarówno pod względem narzucanej kultury jak i innych realiów – trudnych do zrozumienia przez obecne młode pokolenie. Wypada mu przypomnieć, że życie było prostsze w sensie naturalnych, bliższych kontaktów bez dominacji mediów elektronicznych i wszelkiej wirtualności. Ludzie, w miarę możliwości, pomagali sobie nawzajem, nie byli nastawieni na konsumpcjonizm i materializm jak obecnie – mimo ideologii materialistycznej.

Z drugiej strony socjalizm niszczył szczerłość w życiu publicznym, wprowadzał cenzurę i represje. By publikować w tamtych czasach trzeba było uważać na słowa, mieć talent przemycania tego, co się myśli kosztem jakichś trybutów na rzecz systemu i władzy. To wymuszało wprowadzanie wątków dotyczących produkcji, życia robotników, elementów politycznych, rodzaju nowomowy, włączanie elementów państwowotwórczych – fraz, które dziś bardzo rażą w czasie czytania. Są podawane odwołania do lektur z tamtych czasów oraz są cytaty z osób, których dziś raczej byśmy nie cytowali. Widać to zwłaszcza we Wstępie.

Dlatego, nie byłem przekonany czy w ogóle przywracać tę książkę. Ponieważ jednak dziś znów widzimy coraz większe zakłamanie, ingerencje cenzury, ideologizację życia, to z tego względu, jak i na owo pobudzenie bardziej naturalnych i poprawnych relacji między ludźmi – warto przypomnieć jakie są ich zasady.

Książka omawia to prawie podręcznikowo, ale zawiera też liczne żywe przykłady – stare – wg literatury i nowe – zbierane przez autora z życia. A odwołanie do czasów PRL może mieć dla wielu wartość poznawczą.

Edycyjnie to wydanie różni się od oryginału – pominięte są ilustracje Szymona Kobylińskiego, przypisy są podawane bezpośrednio w tekście, inne jest justowanie itp. niewielkie zmiany. Ebook bazuje na formacie PDF A4, inne wersje mobilne dostosowują się formatem różnie w zależności od urządzenia i opcji wyświetlania.

Strona tytułowa pokazuje okładki różnych wydań – było ich cztery, po I w latach: 1969, 1975, 1978 (wydanie poszerzone i poprawione), co przy sporych – jak na dziś - nakładach (pierwsze 10 000 + 257) świadczy o dużej poczytności książki.

*Leszek Korolkiewicz*

## SPIS RZECZY

Wstęp

### **Rozdział I. SYTUACJE I UKŁADY**

- A. Rozłam
  - 1. Konflikt obyczajów
  - 2. Konflikt interesów
  - 3. Konflikt postaw
  - 4. Konflikt złej organizacji
  - 5. Uprzedzenia
  - 6. Wrogość
- B. Zbliżenie
  - 1. Przynależność formalna
  - 2. Współdziałanie
  - 3. Wspólny front
  - 4. Wspólnota z konfliktem
  - 5. Przyjaźń
    - a) Rodzaje przyjaźni
    - b) Wartości przyjaźni
  - 6. Miłość
    - a) Pochwała miłości
    - b) Niebezpieczeństwa miłości
    - c) Warunki miłości

### **Rozdział II. CECHY ZRAŻAJĄCE**

Charakter i zachowanie

Trudność kontaktu

Nienaturalność

Przeszkadzanie

Zrzędzenie

Agresywność

Gniew

Zmęczenie

Kaleczenie miłości własnej

Apodyktyczność, autokratyzm, nieufność

„Wyższość”

Falszywa ambicja i zawiść

Czepianie się czy krytyka

Wdzięczność czy kontratak

Pępek świata (egocentryzm)

Egoizm

Wymagania i kaprysy

Metody

Tupet i natarczywość

Kłamstwo

Słowo i... zawód

Falszywe złoto

### **Rozdział III. CECHY ZJEDNUJĄCE**

Wygląd

Grzeczność

Barwy jasne i mocne

Słowo i uśmiech

Uznanie, podziw, pochwała

Zainteresowanie człowiekiem

Rozumienie i porozumienie

Współdoznawanie

Dawanie

Zadbanie i pomoc

Wdzięczne przyjmowanie

Uwagi końcowe

## WSTĘP

Zaczynając pisać tę książkę, pełen rozpędu wykaligrafowałem tytuł *Współżycie łatwe i trudne*, po czym zatrzymałem się, i to na długo... na parę miesięcy. Ale czasu nie marnowałem. Zwracałem się do znajomych prosząc, błagając: „Dawajcie przykłady!” Oni starali się — bardzo im za to dziękuję — tylko że ich przykłady dotyczyły zawsze współżycia trudnego. Martwiło mnie to, szukałem gdzie indziej, zwracałem się do innych... daremnie. Aż zrozumiałem: nie ma współżycia łatwego. Każde jest trudne lub bardzo trudne. Stwierdziwszy to, skreśliłem słowo „łatwe”. Zostało *Współżycie trudne*.

Przyjrzałem się nowemu tytułowi: Czy jest dostatecznie atrakcyjny? Nie, niedostatecznie. Wróciło więc słowo *łatwe* i uśmiechnęło się. Był to jeden z tych nieśmiałych uśmiechów zaufania, które mnie zawsze zobowiązują. Poczuję się zobowiązany do pozostawienia pełnego tytułu i usprawiedliwienia go w całej pracy.

Więc łatwe i trudne. A także obiecujące i przerażające. Obiecujące nie tylko w wyobraźni zakochanych, ale także w analizach psychologów i filozofów szukających odpowiedzi na pytanie, co człowiekowi potrzeba do szczęścia. Przerażające nie tylko w myślach narzeczonych idących do ślubu, ale także w dokumentach psychiatrów i prawników, socjologów i statystyków. To oni na podstawie bogatych materiałów, jak wszyscy inni z codziennego doświadczenia, wiedzą, iż ludzie, z którymi mieszkamy lub pracujemy, są najczęstszą przyczyną naszych radości i smutków, uniesień i depresji. Nasze samopoczucie, dobre lub złe, i całe życie, udane lub nie, zależy w pierwszym rzędzie od układu stosunków z najbliższym otoczeniem.

Te stosunki z najbliższym otoczeniem zawierają nierzadko tęgą porcję jadu. Trują nas zatargi z rodzicami lub dziećmi, z sympatią lub współmałżonkiem, ze współlokatorem w domu lub z kolegą w miejscu pracy. A konsekwencje tego zatrucia są tragiczne zarówno w skali indywidualnej, jak społecznej.

Przesadzam?

Oto fakty: Zdaniem lekarzy około 85 procent ludzi cierpi na nerwice, a jej typowym źródłem są wszelkie konflikty. Zdaniem psychologów chuligaństwo i bandytyzm wyrastają najczęściej z niezadowolających stosunków z otoczeniem. Zdaniem statystyków nieporozumieniom rodzinnym należy przypisać 51 procent samobójstw dorosłych [Dane z terenu Łodzi, cytowane za W. Borkowiczem: *Współczesne dramaty*. „Polityka” 26.IX.1964] i około 70 procent samobójstw dzieci [Według dr Z. Szymańskiej, kierownika Poradni Zdrowia Psychicznego w Warszawie].

Konflikty w miejscu pracy są przyczyną tylko 6 procent samobójstw, ale „za to” wyrządzają olbrzymie szkody gospodarcze i społeczne. Na przykład płynność kadr to problem nie tylko dla ekonomisty, lecz także dla psychologa czy socjologa. Klimat fabryki czy biura decyduje o przywiązaniu do miejsca pracy. I nie może być inaczej. Badania oczekiwań zatrudnianych pracowników wykazały, że na ogół przyjazne stosunki z kolegami i przełożonymi oceniają oni jako ważniejsze niż możliwości awansu czy zainteresowanie samą pracą [R. Steczek: *Oczekiwania pracowników przychodzących do pracy*. Biuletyn Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej, nr 3/1964].

Nasuwa się analogia: jeśli nie cierpię nauczyciela, to nie cierpię wykładanego przez niego przedmiotu, i tak samo jeśli nie znoszę szefa czy kolegów, to nie mam serca do pracy. W obu przypadkach konsekwencje są podobne. Nie lubiany przedmiot gorzej wchodzi do głowy, a nie lubiana praca bardziej męczy, jest gorzej wykonywana.

I odwrotnie: w warunkach wzajemnej życzliwości człowiek myśli, porusza się i działa znacznie sprawniej niż w warunkach psychicznie niekorzystnych i — co za tym idzie — pracuje z mniejszym wysiłkiem, a z lepszym rezultatem.

Nie tylko atmosfera pracy odbija się na jej wynikach, ale także atmosfera odpoczynku. Zauważono, iż wśród pracowników mieszkających w hotelach robotniczych, których klimat psychologiczny pozostawia wiele do życzenia, częstotliwość wypadków jest wyższa niż wśród pracowników zamieszkałych przy własnych rodzinach.

[T. Podwysocki: *Klimat psychologiczny*. Rada Robotnicza, 13/1964].

Ciekawe też, iż niektóre kapitalistyczne przedsiębiorstwa, dobrze kalkulujące każdy wydatek, uznały za opłacalne zatrudnienie fachowego doradcy, pomagającego pracownikom (i to w godzinach pracy) w rozwiązywaniu ich osobistych problemów

[Should Employers Meddle in Family Problems? *Business Management* 4/1964].

Klimat psychiczny ma tym większy wpływ na pracę, im większej wymaga ona precyzji i szybkości reakcji, a że prac takich jest coraz więcej, rośnie nawet ekonomiczne znaczenie międzyludzkich stosunków. Ale przecież organizując pracę i dbając o zatrudnionych powodujemy się czymś więcej niż finansową kalkulacją. W społeczeństwie socjalistycznym praca ma być nie tylko wydajna, ale i piękna. Otóż z chwilą gdy wysuwamy postulat uprzyjemnienia pracy, troska o jej atmosferę staje się obowiązkiem każdego szeregowego pracownika, a tym bardziej kierownika.

Zważmy i to, że dzięki rozwojowi nauki i techniki, dzięki warunkom pracy i rozwojowi komunikacji współczesny człowiek nawiązuje kontakty z olbrzymim kręgiem ludzi. Od tych kontaktów zależy nie tylko jego własny los. Współpraca tysięcy i milionów jednostek jest koniecznym warunkiem sprawnego funkcjonowania fabryki, kombinatu, całej narodowej gospodarki. Słusznie powtarzamy, że główną bolączką naszych czasów jest nienadążanie umiejętności społecznych za rozwojem umiejętności naukowych i technicznych.

Co więcej, odkąd gromada ludzka odkryła wartość podziału pracy, umiejętność współzycia staje się w coraz większym stopniu sprawdzianem kultury osobistej i podstawą kultury społecznej. Międzyludzkie stosunki, a przede wszystkim te, które wynikają ze zbiorowej walki o byt, stworzyły i nadal kształtują zarówno język i wiedzę, jak idee społeczne i postawy moralne. Dzięki współzyciu, współpracy, współdziałaniu rozwija się myśl gospodarcza i naukowa, sztuka i filozofia.

Czyżby nawet filozofia?!

Tak. Sens życia nadają przyjaźń i miłość, miejsce w gromadzie i wspólność frontu, otrzymywanie i dawanie. Styl i sens współzycia stanowi o stylu i sensie istnienia. Światopogląd i charakter wyrażają się przede wszystkim w stosunku jednostki do innych ludzi, czy to w łatwości deptania ich praw i budowania na krzywdzie, czy też w gotowości do niesienia pomocy, roztaczania opieki i uwzględniania cudzych potrzeb. Innymi słowy człowiek, sam kształtowany przez treść i formy współzycia, ujawnia, kim jest także w treści i w formach współzycia.

Jak z tego widać, temat, który mnie urzekł, jest obiecujący i przerażający między innymi przez swoją zawrotną rozległość. Będę go musiał zawęzić. Tylko u startu, by nie zatracić perspektywy, ogarnę wzrokiem szerszy horyzont, po czym całą uwagę skupię na wyznaczonym sobie skromniejszym kursie: będę mówić o cechach charakteru i postępowania, które ludzi wzajemnie do siebie zrażają lub zjednują. Pragnę, by wiedza zebrana na tych stronach, umożliwiła czytelnikowi zrozumienie trudności współzycia, by dzięki niej jego stosunki z otoczeniem stały się pogodniejsze i łatwiejsze.

# **Rozdział I**

## **SYTUACJE I UKŁADY**

### **A. ROZŁAM**

*Kłóć się nad obrokiem, godzą się pod batem.*  
A. Mickiewicz

Rozpatrywanie potrzeb, charakteru i działania w oderwaniu od sytuacji przypominałoby studiowanie budowy ryby bez uwzględnienia tego, że żyje ona w wodzie. Nie zrozumiemy żadnej ludzkiej cechy i żadnego sposobu postępowania, nie zrozumiemy harmonii i dysharmonii współżycia bez uwzględnienia kontekstu, którym jest dawna i obecna, indywidualna i społeczna sytuacja jednostki. Nawet takie określenia, jak uczciwy, skromny, agresywny, są zawodne i nieścisle. Janek oszukuje nauczycieli i rodziców, a jest uczciwy w stosunkach koleżeńskich, Kazik leni się, gdy ma siedzieć nad gramatyką, ale jest pracowity w laboratorium fotograficznym, Maciek jest zaczepny i kłótniwy w domu, a zrównoważony i zgodny na kolonii. Wszyscy trzej, skłóćeni przy podziale wspólnych owoców i słodczy, będą solidarni i zgrani, gdy pojawi się czwarty pretendent.

Styl zaspokajania wszystkich moich potrzeb, a częściowo same te potrzeby są takie, a nie inne, bo żyję w określonym czasie i przynależę do określonych grup społecznych. Co więcej, przynależność do danej grupy wikła mnie w charakterystyczne dla niej sytuacje i stosunki. W jednych okolicznościach narzuca mi współdziałanie, w innych konflikt. Narzuca mi pewne role, i stosunek do mnie mojego otoczenia zależy między innymi od tego, jak te role wypełniam.

Czynniki środowiskowe, takie jak sytuacja jednostki w rodzinie, rodziny w środowisku, środowiska w klasie, klasy w społeczeństwie, narzucają mi także sposób postrzegania innych ludzi i sposób rozumienia międzyludzkich stosunków. Inaczej widzę konflikty między różnymi instytucjami jako pracownik jednej z nich, a inaczej jako arbiter, inaczej rozumiem spór między radą zakładową a dyrekcją, gdy jestem drobnym urzędnikiem, a inaczej, gdy jestem jednym z dyrektorów.

Sytuacja oddziałuje na stosunki międzyludzkie także bezpośrednio. Przy najlepszej woli obu stron muszą powstać napięcia między Anią, która spieszy się, by skończyć na czas pracę magisterską, a mieszkającą z nią razem Basią, do której urywają się telefony.

Nie zapominajmy i o wpływie przeszłości. Sposób reagowania na aktualne bodźce jest systemem nawyków rozwiniętych w rezultacie dążenia do zaspokajania potrzeb. Utrwaliłem sobie te sposoby postępowania, które przynosiły pożądane owoce, ale skuteczność tej czy innej metody zależała od sytuacji. Jeśli byłem bardzo kochanym jedynakiem, jeśli każde zakasłanie dawało kiedyś czułość, słodczy i rozgrzeszenie z nie wypełnionych obowiązków, to dotąd mogę mieć skłonności do hipochondrii, a nawet symulacji. Jeśli przykład autokratycznego ojca i własne próby przekonały mnie kiedyś, że bezwzględne wymagania i rozkazywanie tonem z góry przynosi pożądane rezultaty, to dotąd będę wpadać w autokratyczny ton i styl bycia.

Nie tylko obecny sposób postępowania, ale także sposób odczuwania powstał na skutek dawnych sytuacji i wpływów. „Człowiek rodzi się neutralnym, gdy idzie o miłość lub nienawiść w stosunku do swego otoczenia. Życzliwa lub wroga postawa w stosunku do społeczeństwa czy też do poszczególnych jego członków jest produktem rozwoju uwarunkowanego w swoim przebiegu czynnikami środowiskowymi”

[ S. Baley: Wprowadzenie do psychologii społecznej. PWN, Warszawa, 1964].

W sumie mój stosunek i sposób odnoszenia się do Iksa zależy od tego, jak dotychczasowe sytuacje ukształtowały moje potrzeby, i od tego, czy w aktualnej sytuacji Iks może ułatwić lub udaremnić ich zaspokojenie.

Szeroko rozumiejąc pojęcie „sytuacji” można nim objąć układy stosunków wynikające z podobieństw lub różnic obyczajów i postaw, ze wspólności lub sprzeczności interesów, a nawet — idąc dalej — układy stosunków emocjonalnych: wrogość i przyjaźń.



# 1. Konflikt obyczajów

*Każdy ma swoje obyczaje.*  
(Przysłowie)

Pewna dama, której nie pocałowałem w rękę, z jadowitą słodyczą obwieściła, że pierwszy raz od dwudziestu lat ktoś wziął ją za pannę. Jeszcze i dzisiaj znajdują się domy gorszące się na widok gościa, który naleśniki kraje nożem. Walka o swobodę chodzenia w samej koszuli podczas upałów nie jest całkowicie wygrana. Człowiek szczytujący się tolerancją może towarzysko zdyskwalifikować znajomego, który go z wielkiej wylewności klepie po ramieniu. Gdy wreszcie zaczynam mieć o ludziach dobre zdanie — skarżył się pewien mizantrop — spotykam kogoś, kto sypie cukier na sałatkę z pomidorów. Zachowanie inne niż to, które jest przyjęte w naszym kręgu, nazywamy nienormalnym, rażącym albo po prostu złym; obyczaj inny niż ten, który jest przyjęty w naszym społeczeństwie, jest wręcz barbarzyński, a człowiek, który odbiega od przyjętego wzoru, jest dzikusiem i nie wiadomo, czego po nim można się spodziewać.

„Nie w zakłóceniu uczuć widzę rzeczywisty dramat rozdźwięku pokoleń, ale właśnie w zmianach obyczajowych” — pisała jedna z matek w ankiecie „Rodzice — dzieci — rodzice” [Życie Warszawy 4/5.IV.1965].

Każda rodzina, a tym bardziej każda większa zbiorowość posiada niepisany kodeks, jakieś właściwe sobie konwenanse, zwyczaje i obyczaje, które ceni, którymi się szczyli. Członkowie jej nieufnie, pogardliwie lub z obrzydzeniem odnoszą się do każdego, kto je lekceważy. Przypatrzmy się dzieciom, jak reagują na obcego, który jest inaczej uczesany, inaczej się wyraża, inaczej chce się bawić, i posłuchajmy, z jakim niesmakiem i z jaką pogardą dorośli mówią o kimś, kto wbrew przyjętemu w ich kółku zwyczajowi opowiada o swoich bardzo prywatnych problemach. Tylko nieliczni, ci najbardziej rozumni, zdając sobie sprawę z irracjonalnego charakteru tego rodzaju antypatii, niekiedy potrafią je opanować.

Dlaczego obyczajowe różnice w zachowaniu i ubiorze mogą budzić niechęć? Dlaczego jednostka różniąca się od innych ma trudność z zaspokojeniem potrzeby przynależenia? Mówimy o skłonności do negatywnej reakcji na zachowanie i postępowanie inne niż to, którego się spodziewamy. Ale skąd ona pochodzi? Czy jest pozostałością czasów, kiedy członek własnego stada powiększał wrażenie bezpieczeństwa, a członek obcego wywoływał uczucie zagrożenia? A może inność odczuwana jest jako atak na nasz obyczaj, który przecież jest częścią naszego „ja”?

Być może, ale na ogół takie odruchy niechęci dają się wytłumaczyć racjonalnymi względami. Kto chce się z nami bawić, ale nie przestrzega reguł gry, ten psuje zabawę; kto ubiera się dużo zamożniej od osób, z którymi normalnie przebywa, ten budzi podejrzenie, że wynosi się nad innych; kto ubiera się dużo gorzej, ten razi estetycznie albo powoduje nieprzyjemne skrępowanie; kto zjawia się na przyjęciu w swetrze, tego 'można posądzić o lekceważenie gospodarzy i gości.

Odmienność obyczaju może wywoływać konflikty także z powodu trudności zmiany przyzwyczajzeń. Gdy on wyrósł w domu, w którym nikt nie odpoczywał, zanim pokój i kuchnia nie były sprzątnięte po posiłku, a ona wyniosła z dzieciństwa zwyczaj wylegiwania się po obiedzie, albo gdy ona przywykła do pedantycznego przestrzegania zasady „każda rzecz ma prawo leżeć tylko na swoim miejscu”, a dla niego naturalne jest niedbałe rozrzucanie książek, krawatów i narzędzi, wtedy wzajemne dotarcie się jest bardzo trudne, a czasem nawet niemożliwe.

Ostrość negatywnej reakcji w stosunku do kogoś, kto zachowuje się inaczej, jest różna w zależności od wagi, jaką dana jednostka lub grupa przywiązuje do łamanego obyczaju. O kimś, kto nie wygłasza powitalnych formułek albo nie uznaje krawata, jedni powiedzą „ekscentryk” i życzliwie się uśmiechną, inni powiedzą „gbur” i odsuną się. Każdy z nas tylko do pewnej granicy toleruje odchylenia znajomych: nic mi nie przeszkadzało to, że Edek się nie golił, ale gdy mieszkaliśmy z nim w jednym pokoju, a on się nie mył, straciłem do niego sympatię. A przecież utrzymywanie czystości lub brud to poza wszystkim innym również kwestia obyczaju.

Trudno wyodrębnić reakcje spowodowane samym obyczajowym uwarunkowaniem od odruchów mających inną genezę. Na tym pograniczu umieściłbym przede wszystkim odruchy wstępu

wywołane nie tyle różnicą obyczaju, co brakiem obyczajności. Obserwowałem, jak chłopak stracił szansę u dziewczyny, bo mówił z pełnymi ustami. Byłem świadkiem awantury wywołanej obcinaniem paznokci przy nakrytym stole. "Widziałem, jak współpasażer wyszedł z przedziału, nie mogąc znieść widoku jedzenia kotleta odwinętego z gazety". W akademiku trudno jest wytrzymać z kolegą rozwieszającym brudne skarpetki... Heidegger twierdzi, że uczuciem dominującym nad wszystkimi innymi jest trwoga, Sartre powiada, że jest nim obrzydzenie. Obaj mają chyba dużo racji.

Wiadomo, że dostosowanie się do obyczaju i przyzwyczajęń innych jest kwestią grzeczności, ale nie tylko grzeczności. Kto mlaska i chlipie, kto żąda kawy o dziesiątej, gdy jego biurowi koledzy piją o jedenastej herbatę, kto koniecznie chce czytać wiersze na roztańczonej prywatce, ten wystawia złe świadectwo także swej inteligencji. Głupca poznajemy m. in. po tym, że nigdy nie umie się dopasować, że nigdzie w niczym i z nikim nie harmonizuje. Wyzywające niezważanie na panujące zwyczaje może mieć nawet charakter psychopatyczny.

Trudności z dopasowywaniem się miewa także człowiek starszy, zbyt często przyzwoite, naturalne, słuszne i racjonalne są dla niego jedynie te wzory zachowania, do których się przyzwyczaił. Z innych względów trudności z dostosowaniem się ma egocentryk, który po prostu za mało zwraca uwagi na to, czego otoczenie od niego oczekuje. Każdy z nich będzie potrzebował dużo czasu, by tak jak współmieszkańcy domu, w którym świeżo zamieszkał, zdejmować buty w przedpokoju lub — podobnie jak obywatele kraju, w którym się znalazł — prawić komplementy znajomym przy każdej okazji.

Inna rzecz, że gdyby obyczajowy konserwatyzm był wszechmocny, dotąd obowiązywałyby w lipcu nie tylko marynarki, ale także kamizelki i sztywne kołnierzyki. Zwyczaje bezsensowne, niezdrowe albo utrudniające proste i pełnowartościowe stosunki między ludźmi zamierają dzięki temu, że jednostki rozsądne i nie ulegające presji opinii systematycznie je łamią. Jednostki te tworzą nowe obyczaje pod warunkiem, że łamią stare w sposób przemyślany i uzasadniony, że zachowaniem swoim propagują formy rozumniejsze lub ładniejsze. Nie jest apostołem reformy obyczajów ten, kto na zaproszenie gospodarza, by czuł się jak u siebie w domu, rozwala się na tapczanie w brudnych butach, a krewki gospodarz, który takiego gościa wyprasza z domu, nie jest bynajmniej mieszczańsko nietolerancyjny. Nie jest nowatorem nowych obyczajów ten, kto łamie stare z bezmyślności, z lenistwa lub z pragnienia, by za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Wszystkie stare formy mają lub miały jakieś uzasadnienie. Ale pamiętajmy i o tym, że sami jesteśmy twórcami obyczajów naszej epoki.

Ogólnie biorąc, przy dobrej woli obyczajowe konflikty nie są groźne. Można przechodzić nad nimi do porządku, albo jeszcze lepiej, można nawet dostrzegać bezsens lub szkodliwość obyczaju, do którego się przywykło, i racjonalność obyczaju rażącego obcością. Potrzeba na to tylko szczypty rozsądku i wiedzy. Bez porównania poważniejsze są konflikty interesów.

## 2. Konflikt interesów

*Cnoty gubią się w interesie jak rzeki w morzu.*

La Rochefoucauld

Gdy na wsi powiedziałem gospodyni, że ma miłą sąsiadkę, wybuchnęła: „Ona miła?! Ona kury na moich grzędach wypasa!”

Gdy na przystani chłopak narzekał, że mu nigdy nie dają żagłówki na niedzielę, inny mu wypomniął:

- A pomogłeś w renowacji?
- Ja w zimie chorowałem.
- Na twista.
- Szykanujecie mnie!
- A ty nas chciałeś wykiwać.

Konflikty interesów mogą być małe i wielkie, nie zawinione albo wynikłe z egoizmu, chwilowe albo trwałe, utajone albo jawne, indywidualne albo społeczne aż do klasowych włącznie. Konfliktowa jest sytuacja w przedziale, gdy jedni podróżni chcą drzemać, a inni, podpisawszy sobie, spierają się podniesionymi głosami. Wiele tygodni może trwać konfliktowa sytuacja w sali szpitalnej, w której jedne pacjentki dostają mdłości od zaduchu, a inne dostają zapalenia płuc przy każdym otworzeniu okna. Przykładem sytuacji konfliktowej chronicznej, wynikającej z przymusowego współżycia osób o różnych przyzwyczajeniach i nawykach, jest małżeństwo, w którym mąż lubi zasypiać przed godziną jedenastą, a żona pali światło do pierwszej. Gorsze są zatargi we wspólnej kuchni o porządek, o pożyczanie naczyń, o zostawianie w zlewie brudnych garnków albo o zajmowanie łazienki, niepilnowanie dzieci niszczących wspólne mieszkanie itp. Konflikt interesów w ściślejszym tego słowa znaczeniu następuje, gdy strony ubiegają się o urlop w tym samym czasie, a otrzymać go jednocześnie nie mogą, gdy przed paroma pracownikami otwiera się jedna szansa awansu, gdy ktoś przywłaszcza sobie cudze zasługi, albo gdy młodzież żąda dla siebie przywilejów dorosłych nie przejmując ich odpowiedzialności i trudów. Rodzajem konfliktu interesów są także zatargi prestiżowe, walka o rozszerzenie zakresu kompetencji albo prymitywne „ja mu pokażę, kto tu jest ważniejszy”.

Prawie każda rywalizacja wywołuje mniejszą lub większą wrogość, a nawet samo solidaryzowanie się z rywalem. Powiedz znajomemu, że lubisz kolegę, który zabiera mu najlepsze miejsca w siatce godzin, a pewnie narazisz się znajomemu.

Wrogość wywołuje nie tylko aktualna rywalizacja, ale nawet sama jej możliwość, samo podejrzenie zagrożenia interesom, ambicjom, bezpieczeństwu, rodzinie. Dlaczego Janek, który tak długo przyjaźnił się z Maćkiem, teraz spode łba na niego spogląda? Nie, Maciek nie zmienił się, tylko dziewczyna Janka lubi z Maćkiem tańczyć.

Konflikt interesów może istnieć bez rywalizacji.

Znane są napięte stosunki między pracownikami kontroli technicznej a pracownikami produkcji; przed końcem miesiąca, gdy grozi zawalenie planu, nacisk produkcji na kontrolę, by patrzyła przez palce na braki, nie przebiera w środkach, a wrogość wyładowuje się nie tylko w sporach przed dyrekcją, nie tylko w zażaleniach, ale i w indywidualnych awanturach.

Ciekawe, że na rywala, z którym skrzyżowały się nasze interesy, zaczynamy patrzeć innymi oczyma i przekonujemy sami siebie, że jest on podłym szkodnikiem. Takie przekonanie „obiektywnie” usprawiedliwia naszą postawę i nadaje naszej walce moralnie wyższą rangę. Niszczymy Iksa nie dlatego, że bruździ naszym indywidualnym interesom, ale dlatego, że jest społecznie szkodliwym szubrawcem. Malinowski, który długi czas uważał Nowaka za dobrego fachowca i przyzwoitego człowieka, z dnia na dzień radykalnie i szczerze zmienił zdanie i publicznie stwierdził, iż Nowak naraża zakład na duże straty! Co się za tym kryło? Nowak starał się o przydział obiecane go Malinowskiemu służbowego mieszkania.

Zjawisko nadawania wyższej rangi konfliktowi interesów obserwujemy także w zupełnie innej

sytuacji o bardzo różnym wydźwięku, a mianowicie na gruncie etnicznym czy rasowym. Argumentem czystości rasowej, narodowej i religijnej hojnie szermowały amerykańskie związki zawodowe, gdy wrogo spoglądały na każdą nową falę imigrantów. Znana jest także obrona prywatnego posiadania fabryk i majątków w imię wolności jednostki.

Drugą psychologicznie ciekawą reakcją osób zaangażowanych w konflikt jest skłonność do przekonania, że inni robią dobry interes. Na płaszczyźnie wspólnego mieszkania typowe są wzajemne żale i spory o rachunek za elektryczność, kiedy to obie strony rzeczywiście uważają się za pokrzywdzone. Przykładem dużo większego kalibru są reakcje dwóch różnych społeczeństw na międzynarodowe układy gospodarcze, w których zwykle występują pewne elementy konfliktowe, przy czym oba społeczeństwa podejrzewają, że ich ekonomiści zrobili zły interes.

Ale czy naprawdę każda rywalizacja wywołuje wrogość? A sport? A współzawodnictwo?

Po latach rzadko się wspomina dawnych zwycięzców, ale wciąż się mówi o tym Francuzie, który na Wyścigu Pokoju holował zawodnika z Monaco, gdy ten o własnych siłach nie mógł dojechać do mety, mówi się tym francuskim długodystansowcu, który przyszedł drugi, bo gdy blisko finiszu upadł jego najgroźniejszy konkurent, Niemiec, zczekał, aż ten się podniesie. Mówi się o zawodnikach norweskich, którzy przed biegiem pouczali naszych narciarzy, jak smarować deski. Taka postawa jest najbardziej konsekwentna, ponieważ przewodnią myślą sportu jest nie zdobywanie pierwszych miejsc, ale ładna gra, zdrowie, siła i charakter. Osiągnięcie pod każdym względem dobrego stylu jest ważniejsze od zwycięstwa.

To samo w daleko większym stopniu odnosi się do współzawodnictwa w produkcji. Tu także elementy konfliktowe mają charakter podrzędny. Wybicie się na czołowe miejsce jest we współzawodnictwie źródłem korzyści i dużego zadowolenia z siebie, ale najważniejszą sprawą jest nie zwycięstwo jednostki, lecz jakość i wydajność pracy całego zespołu.

Tak więc, w zależności od swego charakteru i okoliczności konflikt wzbudza trwałą nienawiść albo przelotną niechęć. Również w zależności od charakteru grożącego konfliktu decydujemy się na unikanie go lub rozegranie, na ustępstwa albo bezkompromisowość.

Dla jaśniejszego obrazu trzeba wprowadzić rozróżnienie między konfliktową sytuacją i rzeczywistym konfliktem. Gdy głodnym psom rzucimy jeden kawał mięsa, to z pewnością się pogryzą. Inaczej ludzie. Nawet w obozach koncentracyjnych wielu więźniów zachowało poczucie solidarności i sprawiedliwości. Wiemy, że nad osobistym czy grupowym interesem nieraz triumfuje nakaz etyczny. Wiemy, że silniejszy nie zawsze atakuje słabszego, nawet gdy między nimi leży bardzo łakoma kość niezgody.

Wracając do codziennych spraw stwierdzimy, że międzyludzkie stosunki zakłóca cała masa zatargów, których unikanie jest pożądane i łatwe. Na lekcji niemieckiego najlepszy uczeń nie musi tyle razy zabierać głosu, nie pozwalając innym ćwiczyć się w mówieniu. Młody lekarz nie musi wykręcać się od nocnych dyżurów — oczywiście cudzym kosztem. Ekonomista nie musi godzinami zajmować maszyny do liczenia, gdy inni czekają — wystarczy, by miał lepiej przygotowany materiał. Nie może być współżycia bez wzajemnej gotowości do ustępstw. Kto nigdy z niczego nie rezygnuje, ten nie jest najlepszym politykiem. Nieraz najwięcej przegrywamy, gdy za wszelką cenę usiłujemy wygrać w drobnych i przelotnych starciach interesów. Nieraz najwięcej wygrywamy, gdy przegrywamy w małych rzeczach. Słusznie też powiadają, że nie jest sztuką zniszczyć przeciwnika, ale sztuką jest zrobić sobie z niego przyjaciela.

Z drugiej strony żalony jest ten milusiński człowieczek, który, zabiegając o sympatię całego świata, trzyma się z dala od wszelkich kolizji. Trudno, ale uczciwa kasjerka musi się narazić na konflikt i wzbudzić wrogie uczucie wśród ekspedientek okradających klientów. Trudno, ale robotnik, który dostrzegł niesprawiedliwość i niekompetencję inżyniera, musi się narazić na konflikt występując z krytyką. Trudno, ale każdy pracownik ma prawo i obowiązek bruździć machinacjom kliki, i to niekoniecznie we własnym interesie. Mam prawo bronić także i swoich interesów, gdy rzetelnie doszedłem do wniosku, że słuszność jest po mojej stronie.

Nie ma współżycia bez zgrzytów. Każdy dzień przynosi możliwości nieporozumień, rozbieżności upodobań i chęci. Nie ma tak doskonałego współżycia, by partnerzy całkowicie sobie wystarczali dla zaspokojenia wszystkich potrzeb i nigdy nie przeszkadzali sobie wzajemnie w zaspokojeniu

innych. Bezkonfliktowe mogą być tylko stosunki między ludźmi, których nic nie łączy, którzy są sobie absolutnie obojętni. Dlatego dobrym nazywam nie współzycie bezkonfliktowe, ale to, w którym po zaognieniach i zgrzytach harmonia odradza się pewnie i szybko.

Powyzsza uwaga odnosi się w równym stopniu do jednostek, jak i do grup społecznych. Nie ma i nie było takiego zbiorowiska, w którym nie ścierałyby się sprzeczne interesy i postawy. Jest mnóstwo konfliktów o podłożu głębszym niż brak ogłady i samoopanowania, głębszym niż nieznamość praw rządzących ludzkimi reakcjami. Więcej: konflikty są nie tylko nieuchronne, ale i pożądane. Bez nich nie byłoby postępu.

Zgodnie z tym, trudno stawiać sobie za cel unikanie i łagodzenie wszelkich spięć, natomiast na pewno warto rozwijać umiejętności dostrzegania małości jednych konfliktów, choćby były jak trąby powietrzne, oraz wagi innych, choćby ujawniały się tylko w drobnostkach. Warto opanować umiejętność odróżniania konfliktów zasadniczych, nieuniknionych i długofalowych od takich, które wynikają tylko z przejściowych sytuacji, z braków techniki współzycia. Dzięki unikaniu zatargów nieistotnych, pochodzących z wyolbrzymiania drobnych interesów sprzecznych, a pomniejszania wielkich interesów wspólnych zachowujemy więcej energii na rozstrzygnięcie konfliktów, które torują drogę indywidualnego i społecznego rozwoju.

### 3. Konflikt postaw

*Trudno tańczyć przy paru orkiestrach  
grających naraz.*

(Przysłowie koreańskie)

Jeśli pani Pusztalska uważa, że można kochać się z każdym, a pani Cnotalska jest pewna, że tylko ostatnia świnia tak postępuje, jeśli pani Uszak jest zdania, że łapówkarzy powinno się wieszać, a pracująca z nią pani Żuk gorąco ich usprawiedliwia — to między tymi parami pań więzy szczerzej przyjaźni są mało prawdopodobne.

Sprzeczność postaw jest częstym powodem niechęci, a nawet wrogości. „Po prostu diabli mnie biorą na sam jej widok — zwierzył mi się pewien znajomy. — Ona wcale nam nie przeszkadza. Regularnie płaci, jest miła, estetyczna, dowcipna. Tylko że jedyne jej troski obracają się wokół ubrania, włosów i przyjemności. Stać ją na to. I mnie to wcale nie powinno obchodzić. Rozumiem, że jak mnie złością konsumpcyjne i bierne postawy, tak kogoś może złościć stała aktywność. Wiem, rozumiem, ale to nic nie pomaga. Nie cierpię jej”.

Skłonność do nietolerancji w stosunku do odmiennych postaw wykazuje w mniejszym lub większym zakresie każde środowisko. To zrozumiałe. Jednolitość postaw i związanych z nimi norm postępowania jest racją istnienia wielu grup. Mogą to być wyznania wiary i dogmaty takie jak lojalność, dyscyplina, uczciwość. W kulturalnym klubie sportowym nie do pomyślenia jest oszukiwanie, spieranie się o wynik albo okazywanie zdenerwowania; w klasie może obowiązywać zarówno zasada podpowiadania i podawania ściągaczek, jak zasada udzielania tylko prawdziwej pomocy w nauce; gang będzie prawdopodobnie przestrzegać solidarności wewnętrznej, a bezczelnej wrogości na zewnątrz, a znów wśród uczonych istotną postawą może być bezwzględne trwanie przy prawdzie. Tak czy inaczej, członek gangu czy uczonego, którego postawę zakwestionowano, odpowie — albo będzie miał ochotę odpowiedzieć — że postawy przyjmuje się lub odrzuca, ale się ich nie dyskutuje.

Postawy jednak się dyskutuje, i to tym bardziej, im ważniejszą wydaje się sprawa i im ważniejszy dla nas jest dany człowiek. Dowodem zamierania idei jest to, że coraz mniej liczy ona niezawodowych misjonarzy, a dowodem zamierania miłości to, że poglądy i normy postępowania drugiej strony przestają się wydawać tak ważne jak kiedyś. Podobnie dowodem zamierania człowieka jest obojętnienie na coraz więcej rzeczy i ludzi.

Na pewno są sprawy, do których mieszać się nie warto. Nie warto i nie trzeba, znalazłszy się w towarzystwie zapalonych kibiców, występować z twierdzeniem, że na mecz chodzą tylko prostacy. Nie warto i nie trzeba zaharowanej przed świętami pani domu powtarzać raz po raz, że tradycja świątecznego obżarstwa jest szkodliwa i głupia. Z drugiej strony wieczna troska o to, by się nikomu nie narazić, i zabieganie o sympatię każdego otoczenia — to najpewniejsza droga do ztratuty charakteru i indywidualności. Upodabniamy się do tych, do których się dostrajamy. Jeśli pije, bo inni piją — staję się pijakiem. Jeśli robię „na lewo”, bo inni robią to samo — staję się złodziejem. Jeśli każdemu potakuję, staję się kameleonem. Jeśli myślą przewodnią mego postępowania jest ugodowość, jeśli najbardziej charakterystyczną cechą moich poglądów jest przymilny oportunizm, to będę miał spokój — nikt nie rzuca się z kijem na laszącego się pieska — ale też będę tylko pieskiem stającym przed każdym na dwóch łapkach.

Jednostki, które nie chcą zdradzić swego „ja”, które pragną zachować szacunek dla siebie, nieraz różnią się postawami od otoczenia. Gdy uznają, że sprawa jest istotna i walka o nią potrzebna, nie cofają się przed groźbą niepopularności i szykan. Wychodzą z założenia, że w takich sytuacjach dawanie wyrazu własnej postawie jest kwestią społecznego obowiązku i osobistego honoru.

## 4. Konflikt złej organizacji

*Wrogowie zawsze spotykają się na wąskiej kładce.*

(Przysłowie koreańskie)

Przed wojną miejsca w warszawskich kinach nie były numerowane. W rezultacie, piętnaście minut przed wpuszczeniem widzów na salę, gromadziły się przed wejściem tłumy ściśniętych, zdenerwowanych, wrogo na siebie łypiących ludzi, którzy w momencie otworzenia drzwi rzucali się na lepsze fotele.

A co się dzieje przed świętami lub przed imieninami w rodzinach odznaczających się brakiem organizacyjnej sprawności? Wiemy, wiemy! Dla większej chwały niebios lub radości solenizanta panuje w domu gorętsze niż zwykle piekło.

Taka sytuacja trwa tylko minuty lub godziny. Gorzej się dzieje tam, gdzie w następstwie braku organizacji lub jej niedociągnięć pracownicy bezustannie wzajemnie sobie przeszkadzają, albo gdy na skutek złej organizacji dochodzi do zatargów. Oto w błędnie zaplanowanej hali robotnik przesuający wózek raz po raz potrąca tokarza. Oto w źle wyposażonej narzędziowni coraz to wybuchają kłótnie o świder, który jest jeden, a wciąż potrzebuje go kilku ślusarzy. Oto w centrali nie wiadomo, do kogo należy przyjmowanie reklamacji, i każdy urzędnik stara się „wrobić” kolegę. Tam że organizacyjne „luzy” powodują, że wszyscy wyrywają się do pracy łatwiejszej i spierają się o to, kto ma wykonać cięższą. W rezultacie powstają konflikty interesów.

Ogólnie biorąc konflikty, o których mowa, wynikają wtedy, gdy:

niejasny jest podział obowiązków i odpowiedzialności, a zatem niejasne jest, kto komu podlega, kto komu może dawać polecenia;

zadania są niesprawiedliwie rozdzielone; błędny jest rozkład czynności w czasie i przestrzeni; istnieją „wąskie gardła”, przy których wybuchają spory o pierwszeństwo;

pracownicy nie nadają się do wykonywanych funkcji. Organizacyjna sprawność to przede wszystkim inteligencja i doświadczenie, pozwalające na poprawne przewidywanie i dostrzeganie sedna sprawy. Ta sprawność zapobiega rozdrażnieniu, gdy wszystko się wali na ostatnią chwilę, zapobiega traceniu energii na niepotrzebne czynności i na dyskusje, kto ma co zrobić i kiedy to robi. Reperując stółek i przewidując, że będę jeszcze potrzebować młotka, nie chowam go do szuflady, lecz kładę pod ręką na ziemi. Skończywszy pracę nie wepchnę młotka pod szafę, lecz położę go tam, gdzie trzymam narzędzia; gdybym młotek zarzucił, to przy następnej reperacji, nie mogąc go znaleźć, zrobiłbym piekło w domu.

Osobnym zagadnieniem jest *niedopasowanie człowieka do funkcji*, zwłaszcza kierowniczych. Niewłaściwy człowiek na odpowiedzialnym stanowisku szkodzi nie tylko jako zły organizator, ale także zakłóca atmosferę współpracy wydając polecenia, które można określić jako: apodyktyczne, niegrzeczne, niecierpliwe (zdenerwowanie kierownika z reguły udziela się jego podwładnym);

niejasne, a przynajmniej niezrozumiałe dla podwładnych;

nie przemyślane, kłócające się ze zdrowym rozsądkiem;

przekraczające możliwości wykonawców.

Oczywiście psuć atmosferę współzycia może nie tylko zły kierownik. Denerwuje każdy niekompetentny i niesprawny współpracownik, każdy źle zorganizowany, roztrzepany domownik. Na pytanie: „dlaczego go (jej) nie lubisz?”, bardzo często otrzymujemy następujące odpowiedzi: „Wszystko robi na ostatnią chwilę”, „nic nigdy nie załatwi do końca”, „nigdy na czas nie przygotuje narzędzi”, „przez niego warsztat nie wykonuje normy”, „tak długo studiował rozkład jazdy, że spóźniliśmy się na pociąg”, „zapomina kluczy”, „nie nadaża, inni za niego muszą robić”, „nie potrafi mówić krótko”, „urządzane przez niego posiedzenia nie służą żadnemu celowi”.

Jedną z typowych i typowo irytujących postaci niesprawności jest podejmowanie poszczególnych działań w niewłaściwym porządku. Przygotowując kolację pani domu sięga głębiej na półki spiżarni i stwierdziwszy, że konfitury pleśnieją, zabiera się do ich przesmażania. W poszukiwaniu materiałów na południową konferencję urzędnik trafia na nie załatwione pisma i gorliwie się do nich zabiera. W rezultacie pani domu nie jest gotowa na czas, wszystko jej z rąk leci, jest przemęczona, o byle co wybucha! W rezultacie, uczestnicy konferencji marnują kilkadziesiąt roboczogodzin, są zdenerwowani, skłonni do wzajemnego oskarżania się.

Czytelnik jest może zaskoczony tym przechodzeniem z małej sceny na dużą, ale — jak świetnie wyraził Cyceron:

„Jest to śmieszna zarozumiałość, kiedy wyznajemy, że z małymi statkami postępować nie umiemy, i utrzymujemy, że statkami o pięciu rzędach wiosł, a nawet większymi, kierować potrafimy

[ Cyceron. Rozmowa o mówcy, ks. I, s. 43 ].

Błędy organizacyjne własnej pracy, które „psują krew” tylko na własnym podwórku, będą ją „psuć” na szerokim polu, gdy zły organizator przypadkiem na nie wstąpi.



## 5. Upředzenia

*Powoli i trudno przyjmował się w Anglii  
zaostrzony pręt piorunochronu, gdyż jego odkrywca Franklin  
był jednym z wodzów amerykańskiej walki o wyzwolenie  
spod brytyjskiego panowania.*

S. F. Mason

Z olbrzymiego i wieloaspektowego bogactwa świata widzimy przede wszystkim to, co chcemy i spodziewamy się dostrzec, to, co pasuje do naszych schematów myślenia i wyrobionych poglądów. Tak samo z olbrzymiego i wieloaspektowego bogactwa każdej ludzkiej osobowości dostrzegamy i zapamiętujemy przede wszystkim (a nieraz wyłącznie) to, na co jesteśmy nastawieni. I tak, jeśli mamy wyostrzoną uwagę na arogancję i zarozumiałość profesorów, to z pewnością znajdziemy wiele jej przykładów, przeocząc co najmniej równie liczne przykłady ich delikatności i skromności, oraz na pewno liczniejsze przykłady arogancji i zarozumiałości nieprofesorów.

Szczególnie łatwo poddajemy się upředzeniom, gdy mamy trudności z nawiązaniem kontaktów, a tym samym żyjemy wyobraźnią bardziej niż rzeczywistością, gdy się nam nie powodzi i musimy czymś wytłumaczyć nasze klęski, gdy potrzebujemy usprawiedliwić własne nieetyczne metody postępowania, gdy szukamy ujścia dla agresywności.

Upředzenia są trwale jak plamy z atramentu i trudno je usunąć. Kiedy jesteśmy negatywnie nastawieni względem Iksa, unikamy spotkań z nim, wykluczając tym samym szansę poznania go i zrozumienia; spotykając go okazujemy mu stosunkowo mało życzliwości i zainteresowania. Iks wyczuwając nasz negatywny stosunek, odplaca podobnym.

A skąd biorą się schematy upředzeń?

Przed wszystkim z otoczenia. Patrę na Iksa, słucham go i klasyfikuję tak, jak nauczono mnie patrzeć, słuchać i klasyfikować podobnych do niego ludzi. Jeśli żyję w przekonaniu, że brunetki są namiętne, a blondynki solidne, to sam tego nie wymyśliłem; moje doświadczenie nie jest dostatecznie duże. Nie sprawdziłem, czy rzeczywiście chłopcy to urodzeni indywidualiści, krakowiaczy to sobki, warszawiaczy to lekkoduchy, garbusi — złośliwi, a młodzi ludzie rozwydrzeni. Te wszystkie przekonania i upředzenia przyswoiłem sobie sam nie wiem kiedy, przejmując je ze środowiska razem z obyczajem i niejedną postawą.

Właściwy dla członków danej grupy sposób patrzenia wiąże się z rolą, jaką nieraz narzuca ona swoim członkom. Majster, patrząc na robotnika w sposób narzucony przez stosunek majster — robotnik, najłatwiej będzie dostrzegać w robotniku lenistwo i spryt. Robotnikowi znów łatwo nasuwa się schemat majster-poganiacz, majster-donosiciel.

Do każdego nowo poznanego człowieka podchodzę więc jak członek jednej grupy do członka innej. Przy tym nikt nie musi mi wprost objaśniać, że na przykład „Igrek to wróg”. Wystarczy, że widziałem, jak na wzmiankę o nim reagują moi znajomi, wystarczy, że choćby pośrednio wciągnięto mnie w akcję przeciw niemu, wystarczy, że słyszę tylko o złych stronach jego charakteru.

Ponadto powstanie i charakter upředzeń zależy od przekazywanych opinii, „pouczeń”, obmowy i plotek. Stosunkowo dużo dobrego dostrzegamy (przynajmniej w pierwszym okresie znajomości) w ludziach, o których wiele dobrego słyszeliśmy. I odwrotnie: z miejsca spostrzegamy wiele złego u tych, przed którymi nas przestrzegano. Ciekawy eksperyment opisuje H. H. Kelly: „Studenci otrzymali opis profesora, który miał wygłosić wykład. Połowa z nich otrzymała opis zawierający zwroty «raczej zimny», druga połowa — «bardzo ciepły». Po wykładzie ci studenci, którzy zostali poinformowani, że profesor jest «bardzo ciepły», wyżej oceniali jego życzliwość, dobroć, wiedzę, towarzyskość, popularność i poczucie humoru niż studenci, których upředzono, iż jest on «zimny»”

[ H. H. Kelly: The warm-cold variable in first impressions of person. Journal of Personality 1950, s. 431].

Powyższe doświadczenie potwierdziło, iż istnieje duży wpływ nastawienia na postrzeganie. Jeśli o człowieku, którego mam spotkać, słyszałem coś dobrego, a tym bardziej jeśli powtórzono mi, że on pochlebnie się o mnie wyrażał, będę silnie uprzedzony na korzyść i odkryję w nim wiele miłych cech; i odwrotnie, jeśli dowiem się, że ośmieszał mnie, szybko i ja odkryję w nim ośmieszające i kompromitujące go wady.

Opisane doświadczenie uwydatniło także wpływ dodatniej lub ujemnej oceny jednej cechy na ocenę pozostałych cech. Stwierdziwszy, iż ktoś jest uczynny, będę skłonny przeceniać na przykład jego inteligencję, stwierdziwszy, że jest niedelikatny, będę skłonny nie doceniać jego wiedzy itd.

To wszystko jednak nie wyjaśnia, dlaczego nie znoszę mężczyzn chodzących w butach z cholewami i dopatruję się w nich tępackiej brutalności. Może to uraz po mistrze pewnego sierżanta? Może skutki okupacji? W każdym razie działa tu nie nacisk opinii, lecz moje indywidualne -doświadczenie. Takich indywidualnych doświadczeń — często powierzchownych, lecz kształtujących sposób patrzenia — jest w życiu bez liku.

Niepoślednią rolę w uprzedzeniach gra także pierwsze wrażenie.

Często bywa ono niekorzystne. Być może, iż tak jak ucho jest uczulone na fałsze, a oko na plamy, tak cały nasz system nerwowy nastawiony jest przede wszystkim na dostrzeganie dysharmonii czy niebezpieczeństw i dlatego obserwujemy raczej gwałtowne ruchy i zaczepny ton nowo poznanego niż jego dobry uśmiech i zainteresowanie każdym poruszonym tematem. Jako konsekwencja tych wstępnych spostrzeżeń powstają uprzedzenia, które zaostwiają spostrzeganie cech ujemnych.

To samo zresztą odnosi się do wrażeń korzystnych. Jeśli na przykład pierwsze słowa usłyszane z ust nowo poznanego są dowcipne i celne, jestem skłonny przeceniać wartość dalszych jego wypowiedzi, aż do ewentualnego... rozczarowania. Pierwsze wrażenie bywa często fałszywe, ale raz odebrane tak kieruje naszym postrzeganiem i pamięcią, że umacniamy się w raz zajęтым stanowisku.

Wstępne indywidualne uprzedzenie zaczyna się nieraz od głupstwa, od żartu. Oto pracownik naukowy — wcale nie przesadzając — opowiada o swoich osiągnięciach; jego kolega napomyka o związanych z tymi osiągnięciami perspektywach. Pierwszy puszcza wodze fantazji, zwierza się ze swoich marzeń; drugi podsycza je, prowokuje. Pierwszy coraz bardziej przesuwając się z kręgu realiów do krainy pięknych snów, aż orientuje się, że padł ofiarą ironii, milknie... i odtąd już nigdy ze swoim kolegą nie rozmawia, za to przez długie lata odkrywa wady w jego charakterze i pracy.

Na marginesie omawianego problemu warto podkreślić, że wrażenie, jakie pracownik wynosi z pierwszego dnia pracy, może go negatywnie nastawić do nowego miejsca i nowych kolegów. Absolwentka seminarium nauczycielskiego tak opisuje swój pierwszy dzień w szkole i wejście do pokoju nauczycielskiego: „Na moje radosne «dzień dobry» odpowiedziało mi niezrozumiałe mruknięcie. (...) Miałam wrażenie, że swoim wejściem przeszkodziłam w jakiejś rozmowie przeznaczony dla moich uszu. Czulałam, że stopniowo twarz moją zalewa rumieniec i poczułam się ogromnie niezdarna i nieobyta. (...) Zawsze praca z dziećmi była szczytem moich marzeń, teraz jednak, patrząc na skwaszone miny koleżanek, poczułam lęk”. [ Moja pierwsza praca. Iskry, Warszawa 1964, s. 42—44].

Pierwszego dnia nowo zatrudniony przystępuje do pracy z wewnętrznym wahaniem i wątpliwościami. Jak będzie przyjęty? Jacy będą jego nowi koledzy? Jak ułożą się stosunki? Czy znowu spotka go rozczarowanie?... Pierwsze kroki skierowuje do szatni... gdzie nie ma dla niego miejsca. Słyszy pytanie: „Co z nim zrobimy?” Widzi, że przeszkadza. Ktoś niechętnie ustępuje mu półkę. Czuje się intruzem. Dostaje narzędzia raczej gorsze od innych. Nastawienie współpracowników może być dodatkowo niechętnie choćby przez lojalność do dawnego kolegi, na którego miejsce przyszedł. Zespół jest zgrany, on odosobniony... Roztoczenie opieki nad nowo wstępującymi do pracy może zapobiec temu złemu wrażeniu i jego fatalnym następstwom.

Dla pełniejszego zrozumienia natury uprzedzeń trzeba sobie uświadomić, że wynikają one

między innymi z naszej naturalnej skłonności do uogólniania obserwacji i upraszczania rzeczywistości. Na najprymitywniejszym poziomie skłonność ta wyraża się w wyświechtanych powiedzeniach: „wszyscy mężczyźni są egoistami”, „kobiety są niezaradne”, „Czesi sprytni” itd. Nieco ostrożniejsi powiadają, że „zawiść jest zawodową cechą artystów” albo: „trudno, by dziewczyna w Warszawie się nie wykoleiła”. Twierdzenia te są mniej kategoriyczne w formie, dopuszczają wyjątki, ale w praktyce wypowiedający je będzie interpretować uwagę grafika, zarzucającego pretensjonalność koledze — jako dowód zawiści, a zachowanie studentki zarzucającej w tańcu obie ręce na szyję partnera — jako dowód jej „niemoralności”.

W sumie tego rodzaju uogólnienia prowadzą do reagowania nie na rzeczywiste cechy danego człowieka, ale na nalepkę, którą na nim dość dowolnie przykleiliśmy. Przełamywanie uprzedzeń, dostrzeganie całego bogactwa prawd ukrytych pod nalepką jest zawsze trudne. I trzeba powtórzyć, że samo tłumaczenie, jakiś jednorazowy szturm informacyjno-logiczny nie wystarcza. Uprzedzenia — jak i w ogóle negatywne postawy — najprędzej topnieją, gdy przez pewien czas przebywamy w towarzystwie ludzi bez uprzedzeń, a także w towarzystwie właśnie tych, do których mamy uprzedzenia.

## 6. Wrogość

*Nikt nie żyje tak nędznie,  
jak nienawidzący ludzi mizantrop.*

N. I. Kalinin

Wiemy już, że wrogość można odczuwać względem kogoś, kto utrudnia zaspokojenie silnej potrzeby, że to utrudnienie może wynikać z sytuacji i że dużą rolę w, wywoływaniu i podtrzymywaniu wrogich uczuć grają uprzedzenia. Ale nie wszyscy są jednakowo skłonni do niechęci, a tym bardziej do nienawiści.

Trwałą dyspozycję do wrogich uczuć wykazują osobnicy, których silne potrzeby są wciąż wygólowane, ci, którzy długo przebywali w nieprzyjaznym, złośliwym lub brutalnym otoczeniu, i ci, którzy toczyli rzeczywiście ostrą walkę o byt. Poza ogólną dyspozycją (która oczywiście jest tylko skłonnością i wiele jednostek jej się opiera) istnieje szereg specjalnych uczuleń wywodzących się również z przeszłości danego człowieka.

Tak na przykład jedni będą specjalnie wrogo reagować na kaleczenie ich miłości własnej, a inni zwrócą się raczej przeciw tym, którzy ograniczają ich swobodę lub sprawują nad nimi kontrolę.

Przytoczę tu ciekawe spostrzeżenie prof. T. Tomaszewskiego. Proszę, by zastanawiając się nad nim czytelnik wrócił myślą do opisaną już sytuacji nowo przyjętego pracownika. „Starzy członkowie grupy doszukują się ujemnych stron nowicjusza, rozdmuchując nieraz szczegóły mało ważne lub podkreślając wady, od których sami nie są wolni. «Ona ma brudne ręce» — mówią z pogardą o nowicjuszcze dziewczęta, które same nie mają wcale bardziej czystych. U dorosłych miałem kiedyś okazję obserwować podobne zachowanie się w pewnym pensjonacie w Zakopanem. Przypadkowo zebrała się tam grupa ludzi, którzy po kilku tygodniach żyli się z sobą dość dobrze. Urządzali wspólne wycieczki i zabawy, nadając sobie, jak to często w takich wypadkach bywa, nazwy członków rodziny: dziadzio, tato, wujcio itd. Pewnego razu przyjechało parę osób nowych. Starzy przyjęli ich bardzo niechętnie, jakkolwiek «nowi» nie mieli jeszcze wcale okazji dać ku temu jakiegokolwiek powodu i później okazali się zupełnie sympatyczni. Nie dopuszczano nowych do żadnych wspólnych imprez, siadano osobno przy stole, czyniąc nieraz jawne docinki pod ich adresem, ku radości całej starej gwardii”. [T. Tomaszewski: Rodzaje i motywy reakcji negatywnych. Lublin 1946, s. 82].

Wrogość przejawia się najróżniej, zależnie od stopnia samoopanowania i kultury jednostki. Poza paroksyzmami gniewu, poza awanturami i rękoczynami wyrazem jej może być apodyktyczność i niecierpliwość, złośliwość i kpiny, plotki i chuligańskie wybryki, powracanie pewnych obrazów w marzeniu i tematów w twórczości, upodobanie do pewnego typu sztuki, ideologii lub metod działania, niszczytelstwo, przeszkadzanie, utrudnione współdziałanie, hipertrofia nastawienia na współzawodniczenie, a wreszcie — od strony wewnętrzno-organiczej — nerwice, choroby przewodu pokarmowego, układu krążenia i inne. Zrozumiałe, że nie każdy sarkazm, śmiech z cudzego potknięcia, a tym bardziej nie każde zaburzenie świadczy o wrogości. Trudno przecież nazywać wrogością przelotne chwile niechęci lub złości i trudno mówić o wrogich dyspozycjach kogoś, kto ma jakieś antypatie. Amerykański specjalista od omawianych zagadnień, Saul, twierdzi nawet, iż „zupełny brak wrogich odruchów u dzieci jest objawem niepokojącym, świadczącym o zbyt małej żywotności”. [L. J. Saul: Emotional Maturity. Lippincott, Philadelphia 1947, s. 110].

Rozdział o gniewie [dalej] zawiera wiele materiału odnoszącego się w ogóle do uczuć wrogich, a tu chcę zwrócić uwagę tylko na rozrastanie się ich i trwałość.

Podobnie jak przy innych uprzedzeniach, raz powstała niechęć umacnia się za pomocą specyficznie wyostrzonej uwagi i pamięci. Gdy kogoś nie lubię, dostrzegam w nim raczej wady i małości, doskonale je w pamięci notuję, a do tego rozpamiętuję i wyolbrzymiam doznawane od niego niesprawiedliwości, upokorzenia i krzywdy. Trudność wygaszenia raz rozpalonej wrogości

ilustruje następujące doświadczenie:

„Zorganizowano duży obóz, w którym początkowo wszyscy chłopcy byli razem. Po pewnym czasie podzielono ich jednak na dwie grupy, i to tak, że zawiązujące się grupki koleżeńskie zostały rozbite. Na tym etapie doświadczenia członek każdej z dwóch grup odczuwał więcej sympatii do członków grupy przeciwnej niż do członków grupy własnej.

Teraz obie grupy odizolowano i postarano się, by przez grupową działalność rozwinęło się uczucie grupowej solidarności. Kierownicy poszczególnych grup nie rozbudzali wrogości między nimi i tylko na nią zezwalali. Następnie urządzono międzygrupowe zawody o charakterze sportowym i nie tylko sportowym. Powstała silna rywalizacja i członkowie każdej z grup oskarżali przeciwników o oszustwa i grę «nie fair».

Napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny, gdy kierownicy urządzili z góry zaplanowaną frustrującą sytuację, w której obie grupy mogły się wzajemnie oskarżać. Zwycięzcy meczu zostali pierwsi wpuszczeni do stołówki, obiad dla obu grup stał na stole, ale tylko połowa obiadów była w należyтым porządku, a druga połowa była niechlujna i w gorszym gatunku. Zrozumiało, że ci, którzy weszli pierwsi, wybrali lepsze nakrycia. Członkowie drugiej grupy, gdy przyszli, oburzyli się, że pozostawiono im gorsze. To doprowadziło do całej serii wrogich wystąpień łącznie z «wycieczkami» na pomieszczenia drugiej grupy, złośliwe niszczenie rzeczy, obrzucanie się zielonymi jabłkami, a nawet wyciągnięcie noża w czasie sprzeczki.

Na tym etapie organizatorzy eksperymentu chcieli go zaprzestać i zaczęli stosować wszelkie możliwe środki, by przywrócić pokój i przyjaźń. Udało im się stłumić bardziej agresywne formy wrogości, ale nigdy nie skłonili członków grup do wzajemnej sympatii albo nawet do tego, by się chętnie ze sobą bawili”.

[ C. T. Morgan: Introduction to Psychology. Mc Graw Hill Book Company, New York 1956, s. 370].

## B. ZBLIŻENIE

### 1. Przynależność formalna

*Należysz, czy chcesz czy nie chcesz,  
ale jak należysz, zależy tylko od ciebie.*

A. S. Makarenko

Długo mówiliśmy o tym, co dzieli, o pochodzeniu niechęci i wrogości. Czas zastanowić się nad sytuacjami i układami, które łączą i skłaniają do uczuć przyjaźni.

Przez sam fakt urodzenia wchodzimy w grupę rodzinną; przez fakt sąsiedzowania — w grupę sąsiedzką; przez fakt powołania do wojska — w grupę wojskową. Zależnie lub niezależnie od naszej woli należymy do szeregu grup i sam fakt tej przynależności zbliża nas do jej członków. [Por.: Z. Bauman: Socjologia na co dzień. Iskry, Warszawa 1964].

Inna sprawa, że to zbliżenie może być przykre i przynależność do grupy uciążliwa. Powstaje pytanie, co sprzyja dobrym stosunkom między członkami grupy?

Psychologowie zaobserwowali, iż najszcześliwiej układają się stosunki w grupach, w których:

1. członkowie sprawnie współdziałają i tworzą wspólny front. Jednym z warunków sprzyjających dobrym stosunkom w grupie jest zrozumienie wspólnego celu oraz intelektualne i emocjonalne zaakceptowanie go przez wszystkich członków. Spoistość i solidarność grupy jest tym większa, im bardziej jej członkowie przejmują się wspólnym celem i im lepiej harmonizują z nim ich cele osobiste (cele osobiste to nie tylko materialne korzyści; uczestniczenie w ambitnym przedsięwzięciu może zadowalać potrzebę znaczenia, wzmacniać poczucie własnej wartości, powiększać prestiż jednostki). I właśnie ponieważ przejście się wspólnym celem sprzyja atmosferze przyjaźni, słusze jest wspólne wytyczanie tych celów. Dyskusja nad nimi podnosi identyfikację członka z grupą — przeżywanie jej porażek i sukcesów jak swoich własnych;
2. dyskusje (niekoniecznie formalne) nad celami, zadaniami, metodami i innymi związanymi z nimi sprawami toczą się przy aktywnym współudziale wszystkich członków; nie ma lęku przed ośmieszeniem się, wysłuchany zostaje każdy pomysł i każda wątpliwość;
3. krytyka jest częsta i szczerą, ale nie przybiera charakteru ataku;
4. nie ma jednomyślności; rozbieżności zdań nikt ani nie ukrywa, ani nie tłumi; poszczególni członkowie dążą nie tyle do narzucania swoich poglądów, ile do wzajemnego przekonania się. Nie to jest najważniejsze, by przeszedł mój projekt, lecz to, by przeszedł projekt naprawdę najlepszy;
5. rzadko dochodzi do formalnego głosowania; nie uznaje się prostej większości jako dostatecznej podstawy do podjęcia lub zaniechania działania;
6. kierownik jest raczej autorytetem niż dominującą władzą;
7. mało sporów i walk toczy się o władzę; istotniejsze od tego, kto rządzi, jest pytanie, jak wykonać zadanie i osiągnąć cel;
8. zadania indywidualne są jasno określone;
9. panuje atmosfera nieformalna i niesztuczna, naturalna i swobodna (jednym z jej przejawów jest szybkie przechodzenie „na ty”);
10. panuje solidarność m. in. dzięki temu, iż ich członkowie wyznają podobne wartości i zajmują podobne postawy.

[Według Mc D. Gregor: The Human Side of Enterprise. Mc Graw- Hill, New York 1960].

Przypomnijmy sobie wreszcie, że im więcej potrzeb swoich członków dana grupa zaspokaja, im mniej zaspokojen utrudnia, tym rzadsze są w niej tendencje odśrodkowe, a każda grupa zaspokaja co najmniej potrzebę przynależności wszystkich członków oraz potrzebę władzy niektórych.

## 2. Współdziałanie

*Ile w trudzie nieustannym wspólnych zmartwień,  
wspólnych dążeń.*

K. I. Gałczyński

Wspólna przynależność zbliża między innymi dlatego, że dostarcza wielu okazji do współdziałania. Oczywiście takie okazje istnieją i poza ramami przynależności.

Widywałem K. od wielu lat, ale zawsze byliśmy sobie obcy. On mruk, ja mruk — nic nie mogło nas zbliżyć. Lecz oto tak się złożyło, że w krytycznych okolicznościach pomagaliśmy inwalidzie wejść do pociągu. Wracając milczeliśmy jak zwykle, ale czuliśmy się względnie bliscy.

Aby poznać człowieka, aby zbliżyć się do niego, nie potrzeba ani beczki soli, ani wódki, ani nawet worka kawy — wystarczy współdziałanie. Jest co niemiara istot — zwłaszcza płci żeńskiej — które są pełne życia, śmiałe, buńczuczne, bystre, radosne, porywające, gdy wszystkie dni są wakacyjne, ale okazują się bezradne, przerażone, nieprzytomne, gdy trzeba podejmować decyzje, wykazywać szybką orientację albo pracować w monotonnych warunkach. A iluż to mężczyzn tryska energią i imponuje śmiałością wyłącznie przy kawie! W działaniu i tylko w działaniu ujawnia się wartość albo marność człowieka.

Ubiegłego lata miałem okazję obserwować zachowanie się dwóch zagranicznych gości. Jeden był „normalny”. Został zaproszony, więc przyjechał. I czekał. Czekał, że mu się pokaże kraj i życie. Czekał, aż wszystko się dla niego urządzi. Nawet swego pokoju nie sprzątał. Codziennie rano wysłuchiwał propozycji spędzenia dnia, uprzejmie na wszystko się zgadzał, po czym czekał, aż się zajedzie po niego taksówką. Gdy po tygodniu wyjeżdżał, żegnano go z uczuciem ulgi: „Już nigdy więcej zagranicznych gości!”

Drugi włączył się w życie domu. Momentalnie zorientował się, w czym może pomagać. Już pierwszego dnia z całą stanowczością zajął się sprzątaniami po posiłkach. Na drugi dzień, tłumacząc, że naprawdę chce poznać nasze życie, poszedł z panią domu po zakupy. Później nieraz chodził po nie sam, mówiąc, że go to bawi. Potrafił zainteresować dzieci nauką obcego języka. Sam przeglądał gazety starając się odgadnąć

(bo nie znał polskiego), jakie muzea są otwarte, na jaki koncert warto pójść. Poznał nasze życie, bo częściowo nim żył. Gdy po trzech tygodniach wyjeżdżał, żegnano go z żalem: „Więcej takich gości!”

Jeden remont dokonany wspólnymi siłami bardziej zbliża i wiąże, lepiej pozwala się poznać niż miesiące włóczenia się po mieście; wspólne redagowanie gazetki — bardziej niż najpoważniejsze rozmowy na osobiste tematy. Przyjaźń zawiera się raczej dzięki godzinom razem przeżyтым w szkole, w organizacji, w pracy niż przegadaniem w kawiarni, na dansingu, u znajomych. Dlatego „człowiek leniwy nie zdobywa przyjaciół, a bardzo leniwy nie umie utrzymać nawet tych, których posiada” [Andre Maurois: *Un art de vivre*. Librairie Plon, Paris, s. 75].

Niedyskretne pytanie zadałem kiedyś młodej mężatce: „Czy nigdy nie myślisz o Zdzisiu?”

„O Zdzisiu? — odpowiedziała. — Nie. Owszem, lubiłam go, ale w gruncie rzeczy z nim tylko dobrze mi się tańczyło. A z mężem dobrze mi się sprząta mieszkanie, dobrze mi się krząta po kuchni i dobrze mi się pracuje”.

Tak. Współdziałanie jest próbą, która — jak żadna inna — ujawnia obcość i dysharmonię ludzi w gruncie rzeczy obcych sobie, a zbliża ludzi „dla siebie stworzonych”.

Kryterium współdziałania jest także jednym z najlepszych sprawdzianów małżeńskiej harmonii i kultury. Mamy domy, w których pan-mąż z najwyższą niechęcią przyjął na siebie jakieś minimalne zadania, na przykład wynoszenie śmieci czy zakup koksu, i nie pozwala, by go w tym żona kiedykolwiek wyręczyła, ale też wprost nie do pomyślenia jest, by sam pomógł żonie w jej dużo liczniejszych zadaniach, zmył naczynia lub ubrał dziecko! Można spotkać też męża, który w dość wielu domowych czynnościach doraźnie pomaga: zmywa, nieraz wypierze sobie koszulę, zrobi śniadanie, obierze kartofle, ale daje do zrozumienia, iż są to sytuacje wyjątkowe, że nie

trzeba przyjmować jego pomocy jako samo przez się zrozumiałej, i że są prace, które absolutnie do niego nie należą, nigdy na przykład nie upierze czegoś żonie ani nie kupi mięsa.

I wreszcie, na krańcu pozytywnym, znajdują się małżeństwa, w których podział zadań ma tylko organizacyjny charakter. Nie istnieje żadne tabu. Obie strony niemal automatycznie, oddzielnie lub razem, biorą się do każdej pracy, która jest do zrobienia w zależności od tego, kto w danej chwili ma więcej sił i czasu. Nikt nie czeka, aż się go poprosi. Zdarza się nawet, że żona węgla z piwnicy przyniesie, i zdarza się, że idzie do kina, a mąż kładzie dzieci spać i czeka z gotową kolacją.

Tak. Współżycie jest trwałym kontaktem produkcyjnym. Kontakt o charakterze wyłącznie konsumpcyjnym jest z natury rzeczy przelotny. „Jeśli węzeł przyjaźni zawiązuje się tylko ze względu na rozrywki, nieobecność, obowiązki, troski życiowe mogą go rozwiązać. Nowe słodycze, jakich kosztujemy z nowymi przyjaciółmi, zatrą wspomnienia minionych przyjemności” [Saint-Evremond: O sztuce życia i życiu sztuki. Czytelnik, Warszawa 1962. s.80].

Zwłaszcza w naszych czasach produkcyjne nastawienie całego społeczeństwa prowadzi do osłabienia czysto konsumpcyjnych kontaktów. Stosunki mające w sobie więcej życia wypierają przeżytki epoki salonów. Może to szkoda, ale życie towarzyskie wygasa na rzecz życia koleżeńskiego.

Ale wspólne działanie jest czymś więcej niż pomocą w zawarciu lub utrwaleniu przyjaźni. Jest także drogą do osiągnięcia zadowolenia z życia. „Wszelka praca wykonywana z umiłowaniem jest szczęściem, ale gdy do pracy włącza się miłość, wtedy nie ma nic szczęśliwszego na świecie” [Andre Maurois: Lettres à l'inconnue. Fayard, Paris 1956].

Co jest prawdą dla rodziny — nawet dwuosobowej — odnosi się tym bardziej do szerszych społeczności. W granicach jednego domu współdziałanie tylko zacieśnia, usensownia i ożywia kontakty, ale w wypadku większych grup współdziałanie tę więź stwarza. Indywidualnie odczuwa to jednostka, która poty nie może znaleźć dla siebie miejsca w szerszym gronie, póki nie stworzy go sobie przyjmując jakąś funkcję.

Człowiek bez wyrobionego instynktu współdziałania jest człowiekiem za burtą. Ta jego aspołeczność zaczyna się od niewspółdziałania w domu. Siedzi sobie synalek w kuchni, matka sprzątnęła i zabiera się do szorowania podłogi, a on czyta „Kulisy”. W gorącym okresie robót polnych przyjeżdża z miasta syn gospodarza i gdy inni harują, on z koleżanką (z miasta!) chodzi na spacer. Młoda urzędniczka, która — niby chora — została w domu, liczy na to, że cięższą niż zwykle pracę zrobią za nią w biurze koleżanki. Albo ta skarga na współlokatorkę: „Przychodzi do mnie, gdy po północy pracuję, przytula się, użala się nade mną (taki pracus — mówi — taka biedniutka, ty się zamordujesz), ale brudne naczynia w zlewie zostawi i kuchni nie zamiecie!”

W Anglii określenie „niekooperatywny” jest jednym z najcięższych zarzutów. U nas społeczeństwo nie jest aż tak wyczulone, ale kto zawsze przychodzi na gotowe, kto stoi jak kołek, kto ma dwie lewe ręce, ten choćby najrzęczniejszy od pracy się uchylał, prędzej czy później wzbudzi niechęć i złość. Denerwuje nas koleżanka, która tapiruje sobie włosy, gdy inni robią remanent, i prowokuje do złośliwości współlokatora plotkując przez telefon, gdy pozostali domownicy zajęci są porządkami.

Albo czy rzadki jest następujący typ dialogu?

— Czy mogłabyś mi uprasować koszulę?

— A czy ty zaniósłes mi wczoraj buty do szewca?

Ten niesmaczny targ odzwierciedla niesmaczny stosunek oparty na wiecznym „ja tobie to — a ty mnie co?” Z przyjemnością nieraz obserwowałem, że ci, którzy najlepiej liczą, bardzo często źle liczą...

Pierwszym warunkiem współdziałania jest powstanie odpowiedniej sytuacji, drugim wewnętrzna gotowość do aktywnego uczestnictwa w tym, co się wokół nas dzieje.

Psycholog szwajcarski F. Baumgarten wymienia następujące psychiczne przyczyny mogące paraliżować współdziałanie:



- 1) Aspołeczność, niechęć czy niemożność dopasowania, brak poczucia wspólności, brak zainteresowania innymi ludźmi, postawa „nie chcę mieć z nimi nic wspólnego”.
- 2) Antyspołeczność, wrogie nastawienie, skłonność do wyrządzania przykrości, robienia na złość, wyrządzania szkód.
- 3) Wywodzące się z potrzeby znaczenia przewrażliwienie, w następstwie którego dostosowanie się, a tym bardziej wykonywanie czyichś poleceń odczuwane jest jako uchybienie własnej godności.
- 4) Kompleks niższości, wyrażający się refleksami w rodzaju: „gdybym był kierownikiem, nie musiałbym tego robić”, „gdyby mnie bardziej szanowali, nie oczekiwaliby ode mnie pomocy w kuchni”.
- 5) Przeżytki dziecinnej przekory, demonstrowanie swej indywidualności postawą „nie!”
- 6) Osobiste antypatie, konflikty otwarte lub utajone z osobami biorącymi udział w danej działalności.
- 7) Niechęć do danego zajęcia wynikająca z przykrych wspomnień lub z braku umiejętności.

[ F. Baumgarten: Die Psychologie der Menschenbehandlung. Rascher Verlag, Zürich 1946, s. 108].

Jak widać, brak współdziałania świadczy przeważnie o jakimś psychicznym skrzywieniu. Osobnik, który nie przyłączy się do żadnej wspólnej akcji, bo mu za to nie płacą, jest rzeczywiście tylko najemnym pracownikiem i niczym więcej.

Istnieją różne stopnie angażowania się:

- 1) Minimalne, konieczne dla uniknięcia nagany czy wstydu.
- 2) Przeciętne, w oczekiwanym zakresie.
- 3) Ponadprzeciętne wychodzące poza oczekiwania.

Poprawność jest tytułem do suchej akceptacji, natomiast współdziałanie ponadprzeciętne przynosi zazwyczaj akceptację entuzjastyczną. Jeśli nauczyciel dobrze uczy, to powiadamy, że spełnia swój obowiązek i nie darzymy go za to szczególną sympatią, ale gdy ponadto bierze szerszy udział w życiu społeczności, gdy zadba o chore dziecko, pomoże zdobyć dla niego trudny lek, organizuje rozrywki, służy dobrą radą, wtedy, dając z siebie coś ekstra, otrzymuje w zamian sympatię ekstra.

Można ludzi dzielić na tych, z którymi się dobrze współpracuje i tych, z którymi współpracuje się źle. Ci pierwsi poza gotowością do współdziałania posiadają także inteligentną i zorganizowaną sprawność. Gdzie indziej -składam jej hołd, a tu przypomnę, że niesprawność bywa niekiedy świadomie lub podświadomie umyślna. Najmłodsza córka domu nie ma zupełnie drygu do gotowania, nie potrafi sprzątnąć pokoju ani napalić w piecu, a gdy zmywa lub choćby tylko wyciera naczynia, talerze jej lecą „przez dziurawe ręce”. Ciekawe, że celuje w sporcie, że na boisku jest doskonale zaradna i zręczna. Tańczy też lepiej od pozostałych sióstr. Nic dziwnego: gdy reszta rodzeństwa część czasu poświęca na prace domowe, ona, jako ta niesprawna, ma więcej niż inni czasu na siatkówkę, bridża i twista. Osiąga swój cel. Ale na krótką metę. Sprawne i przyjemne współdziałanie jest przyzwyczajeniem, które wyrabia się i doskonali przez, długie lata. Jego brak może ciężko zaważyć na całym życiu. Współżycie to współpraca. Człowiek, z którym się źle współpracuje, jest człowiekiem, z którym źle się współżyje.

Ujmując rzecz szerzej powiemy, iż specjalnie społeczeństwo demokratyczne wymaga wysokiej kultury współdziałania. Potrzebujemy ludzi, którzy umieją uzgadniać poglądy, których nie wyprowadza z równowagi krytyka, lecz przeciwnie, potrafią z niej korzystać. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią podporządkować interesy prywatne interesom ogólnym i nie unikają brania na siebie odpowiedzialności. Potrzebujemy ludzi mających łatwość angażowania się w zespołowe przedsięwzięcia i dających z siebie coś ekstra. Słowem, potrzebujemy ludzi, z którymi się dobrze współdziała nie tylko w skali indywidualnej, ale i społecznej.

### 3. Wspólny front

*Trzeba umieć włączyć swoje życie  
w życie społeczności.  
To nie ascetyzm. Przeciwnie.  
W ten sposób właśnie życie jednostki  
najbardziej się wzbogaca.*

N. K. Krupska

Przynależność to ramy, współdziałanie to akcja; natomiast wspólność frontu to solidarność w sporze lub w walce. Przynależność może taki front stworzyć lub może być jego następstwem. Współdziałanie przeważnie z niego wynika, decyduje jednak wspólność postawy w określonej sytuacji. Stąd wiele myśli zawartych w tym rozdziale jest rozwinięciem tego, co powiedziano o postawach, przynależności i współdziałaniu.

Z Izą wiązało mnie ogromne uczucie. Poza tym tylko marzenie. Niczego razem nie dokonaliśmy, niczego nie próbowaliśmy dokonać. Nie łączyła nas żadna praca, żadna ambicja czy walka, żadne dążenie. Ubogi był nasz stosunek, choć tyle w nim było wykrzykników. Nigdy nie łączył nas wspólny front. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi i dziś jesteśmy sobie obcy.

Dorywanie się do siebie zakonspirowanych kochanków jest w danej chwili przeżyciem wysoce intensywnym, ale mimo to ubogim. Stosunek „tylko ja i ty” prowadzi do wzajemnego znudzenia, do rozczarowania, do szukania nowego romansu. „Spójnia dwóch istot... wymaga czynników zewnętrznych, potęgujących smak rozkoszy oraz radość”

[Saint-Evremond: dz. cyt., s. 111].

Stosunek „ja-ty-świat” nie tylko wzbogaca kontakt „ja-ty”, ale także ożywia i uintensywnia kontakt „ja-świat” i „ty-świat”. Dlatego właśnie tym, którzy prawdziwie kochają, nie wystarcza padanie sobie w ramiona, nie wystarcza wolna miłość; dążą oni do wspólnego budowania i gospodarowania, do tworzenia wspólnego życiowego frontu.

Z Danką pracowaliśmy razem w biurze; razem zdobywaliśmy kredyty i razem perswadowaliśmy to i owo naszemu niezbyt rzutkiemu dyrektorowi. W rezultacie, choć widzimy się raz na rok, do dziś łączy nas nić porozumienia i sympatii.

Przed sądem sąsiadki oskarżają się wzajemnie o szykany, złośliwości, plotki i grube słowa. „Pyskówka” jest w pełnym toku, ale jedno zdanie sędziego gwałtownie jej bieg zmienia. Sędzia przypomina, że obie podsądne należy oskarżyć o zakłócanie spokoju sąsiadom. „My? Panie sędzio, my najwyżej zwracamy sobie uwagę, tak po sąsiedzku — mówi jedna. — My?! A ci nasi sąsiedzi — woła druga — ja zaraz powiem, co to są za ludzie!” I niczym dwie serdeczne przyjaciółki, podsądne solidarnie oskarżają sąsiadów. Po rozprawie wychodzą razem w najlepszej komitywie. Sąd dokonał cudu.

Znalezienie się po jednej stronie w mniej lub więcej przypadkowym sporze jest „wspólnym frontem” tylko w cudzysłowie. W pełnym tego słowa znaczeniu wspólny front oznacza trwałe współdziałanie wytwarzające się dzięki trwałej sytuacji oraz trwałej wspólności celu i zadań. Jego psychicznym akompaniamentem jest trwałe poczucie wspólnego zaangażowania.

Zastanowimy się nad czterema różnymi typami wspólnych frontów:

1. Najważniejszym jest rodzina, wspólne tworzenie i utrzymywanie domu, dzielenie się losem dobrym i złym, wychowywanie dzieci, pomaganie rodzicom. Wiąż rodzinna, mając jednocześnie emocjonalny i ekonomiczny charakter, obejmuje zwłaszcza na wsi ogromny zakres współdziałania.

W podsumowaniu ankiety „Młodzi po ślubie” M. Czerwiński pisze: „Wydaje się, że próbą ogniomą małżeństwa jest solidarne zdobywanie podstaw bytowych rodziny. W zakres tych starań wchodzi praca, rozsądne gospodarowanie, a także nabywanie kwalifikacji zwiększających szanse

życiowe”

[ „Życie Warszawy” nr 269, r. 1964].

Gdy ten zakres jest szczupły, gdy mało jest współodpowiedzialności, wspólnie podejmowanych decyzji, gdy — jak opisano w poprzednim rozdziale — brak harmonijnego współdziałania, wtedy nikła jest i więź rodzinna.

2. Front rodzinny jest ważny, bardzo ważny, ale waziutki i może nawet brzmieć fałszywą nutą, gdy stanowi zespolenie sił w obliczu reszty „wrogiego świata”. Jeszcze węższy i jeszcze bardziej prozaiczny jest front prywatnych interesów. Pracowity i zręczny współnik, dzięki któremu pieniądze lekko płyną do kieszeni, ma wszelkie dane, by zajmować ciepłe miejsce w naszym sercu. Jak między członkami rodziny, tak i między współnikami może być kwasów co niemiara, ale na zewnątrz front jest jednolity i twardy.

3. Wspólne fronty powstające w miejscu pracy są bardziej zróżnicowane. I tak, może istnieć front jednej sekcji przeciw innym, front pracowników przeciw kierownictwu i wspólny front pracowników i kierownictwa w walce o wykonanie planu. Jasne, że nie są to fronty wykluczające się, że struktura ich zależy od zbieżnych i rozbieżnych interesów, od harmonizujących lub dysharmonizujących potrzeb.

4. Czwarty typ wspólnego frontu jest może przedsięwzięciem najciekawszym. Jest on czymś więcej niż znalezieniem wspólnej antypatii czy wspólnego wroga, czymś więcej niż wspólnym interesem lufo wzajemną asekuracją. Jest radosną pewnością, że moje szlachetne cele są także twoimi. Jest dobrowolnym zaangażowaniem się w realizację zadań przekraczających cele pojedynczych ludzi. Jest zbliżeniem na gruncie tego, co w nas najlepsze.

W tym miejscu należy wspomnieć o celach wielkiej miary. Piękna to prawda, że wiążąc się z czymś większym od siebie człowiek sam rośnie. Im szersze są jego umysłowe i uczuciowe możliwości, tym szersze pole zainteresowań, szersze perspektywy działania i prawdopodobnie szersze i głębsze powiązanie z jakimś zespołem.

Zaczynając od interesu własnego, myśli i przedsięwzięcia jednostki mogą się rozciągać na interes rodziny, grupy, instytucji, społeczności lokalnej, społeczeństwa i całej ludzkości. Ciekawe, że te rozległe perspektywy, charakterystyczne dla celów wielkiej miary, towarzyszą każdemu nasileniu twórczości indywidualnej i społecznej, wszelkim okresom rozwoju jednostek i narodów. Tak jak historia narodów biegnie równoległe do historii ich idei, historia jednostek biegnie równoległe do historii ich miłości, zapałów i realizowanych zamierzeń. Dzięki nim łowcy przyjemności przeradzają się w ludzi dających z gestem, walczących z odwagą, pracujących z inicjatywą. Dzięki nim krótkotrwałe wybuchy entuzjazmu przeradzają się w upór konsekwentnego dążenia, a pojedyncze zrywy rozproszonych osobników w potęgę kolektywnego działania.

Prawda, że świadomość celów wielkiej miary nie przyświeca nam stale z jednakową jasnością. W każdym typie wspólnego frontu — w rodzinie, w spółce, w zespole, w organizacji jednostek czy państw — różnice indywidualnych interesów występują na co dzień jaskrawiej niż elementy łączące. Zaabsorbowani drobnymi konfliktami zapominamy o istotnej więzi. Ale przecież w miarę postępu pogłębia się i rozszerza ogólnoludzka współzależność losów. Interesy poszczególnych państw mogą być i są różne, w mniejszym stopniu mogą być i są różne interesy poszczególnych narodów, ale ważniejszy od tych sprzeczności jest wspólny interes zachowania pokoju. Konsoliduje się solidarność ludzkości wobec grozy wojny, w obliczu atomowej zagłady. Co więcej, pogłębia się solidarność ludzkości także wobec grozy życia w obliczu chorób, głodu i niesprawiedliwości.

## 4. Wspólnota z konfliktem

*Nie ma tak doskonałej sympatii, której  
nie towarzyszyłyby pewne opory.*

Saint-Evremond

Podział na rozłam i zbliżenie, na to, co łączy, i to, co dzieli, jest trochę sztuczny. We wszystkich trwałych współzyciowych sytuacjach motywy antagonizujące występują obok harmonizujących. Każde zbliżenie zwiększa prawdopodobieństwo konfliktów. Pamiętam, jak po kilkunastu latach przyjaźni znalazłem się z T. w jednej instytucji, a nawet, niestety, w tym samym jej dziale. Pierwsze starcia wybuchły już w pierwszym tygodniu. Po dwóch miesiącach nie byliśmy już przyjaciółmi, po pół roku już nie pracowaliśmy razem, a po roku... przyjaźń nasza odżyła.

Znalezienie się w jednym zaprzęgu stwarza warunki do zaprzyjaźnienia się albo zniechęcenia. Wspólna przynależność formalna i nawet rzeczywiście przeżywana wspólność frontu zbliża tylko wtedy, gdy współpartnerzy nie mają cech, które ich wzajemnie do siebie zrażają. Cechy bez znaczenia w luźniejszych kontaktach mogą denerwować przy bliskich. Roztargnienie, narwany charakter czy lekkomyślność mogą dodać uroku dziewczynie i zozydzić żonę.

Bardzo zbliżają lub bardzo oddalają s y t u a c j e k r y t y c z n e, okresy niepowodzeń i załamań, ciężkie choroby i śmierć najbliższych. Wtedy ujawnia się słabość lub siła człowieka, to, co w nim najlepsze, i to, co najpodlejsze. Właśnie w sytuacjach krytycznych najczęściej załamują się stare, ale nie wypróbowane przyjaźnie, a na ich miejscu powstają nowe.

Poza cechami tkwiącymi w samych partnerach istnieją sytuacje i role, które jednocześnie zawierają e l e m e n t y h a r m o n i z u j ą c e i k o n f l i k t u j ą c e. Weźmy stosunek nauczyciel-uczeń. Nauczyciel jest stroną wymagającą, wymagającą dużo, a to, co daje w zamian, nie sprawia bezpośredniej przyjemności. Z racji swej roli patrzy na życie ucznia jako na wstęp, jest tym, który żąda ofiar na rzecz przyszłości, a uczeń buntuje się w imię chwili bieżącej. Marzeniem ucznia jest, żeby nauczyciel zachorował, żeby była wolna godzina, żeby nie było strachu przed pytaniem, żeby zamiast przygotowywać lekcje można było pójść do kina.

A tymczasem nauczyciel idzie do szkoły, choć ma w domu chorą żonę, choć sam źle się czuje, choć głowa go boli i cierpienie na myśl o tym, że raz po raz będzie musiał powtarzać: „proszę o spokój, proszę o spokój, proszę...”

Uczeń pragnie, by nauczyciel nie dostrzegł tego czy tamtego błędu, by nie wytykał mu brudnego zeszytu, a nauczyciel z trudnością opiera się pokusie, by udać, że nie zauważa niechlujstwa i kompromitującej ortografii ucznia. Jeśli się tej pokusie opiera, jeśli raczej zepsuje uczniowi niedzielę niż przepuści usterki i błędy, to dlatego, że czuje się odpowiedzialny za jego przyszłość, boi się, aby jego uczeń za parę lat nie przegrał jakiejś życiowej stawki wskutek nieporządku w warsztacie czy laboratorium albo niedoprowadzenia do końca rozumowania w referacie. Często spotykane uczucie wrogości w stosunku do nauczyciela wynika więc z konfliktu aktualnego interesu ucznia z jego interesem przyszłym, konfliktu, w którym nauczyciel reprezentuje przyszłość.

Podobny pod tym względem bywa stosunek pracownik—szef. Szef wymaga przestrzegania dyscypliny, wymierza kary, a ten i ów pracownik ma skłonność do łamania regulaminu. Dzień w dzień dziesiątki tysięcy kierowników mniej lub więcej taktownie zwraca uwagę pracownikom, że się spóźniają, że nie wykonują w terminie zadania, że w pracy ich są usterki, a setki tysięcy urzędników i robotników zżyma się i zgrzyta zębami. Napięcie pretensji, żalu, nawet złości może być duże, mimo to — w naszym ustroju — wspólność frontu jest oczywista. Cel — jakość i ilość produkcji czy usług — jest wspólny. Wspólna jest także naczelna myśl służenia krajowi, możliwie .sprawnego zaspokajania potrzeb społeczeństwa. Toteż konflikty między pracownikami a kierownictwem mają przeważnie charakter nieistotny, przelotny, pod warunkiem, że pracownicy rozumieją sytuację, a kierownik odznacza się sprawiedliwością, zmysłem organizacyjnym i kulturą współzycia.

## 5. Przyjaźń

### a) Rodzaje przyjaźni

*Kakowu družby, zawiediesz, takowu i żizń powediesz.  
(Jaka przyjaźń – takie życie)*

(Przysłowie)

Aby uniknąć nieporozumień, wyodrębnijmy najpierw kilka rodzajów przyjaźni.

Pierwszy ma w sobie coś zmysłowego. X. podoba mi się i basta. Rusza się i uśmiecha tak, jak lubię. Ma przyjemną barwę głosu. Dobrze się czuję w jego towarzystwie.

Drugi rodzaj przyjaciela to miły kompan. Dodaje rozędu każdej zabawie. Nie krytykuje i nie wydziwia. Łatwo się z nim pośmiać i łatwo dogadać.

Trzeci rodzaj to kumpel od interesu. „Taka przyjaźń warta jest sto tysięcy rocznie” — usłyszałem wypowiedź bardzo kulturalnego pana. Trochę subtelniejsza jest ta przyjaźń, gdy nie oblicza korzyści świadomie, lecz nigdy nie zastanawiając się nad tym, co może dać, skrzętnie inkasuje wszystko, co może wziąć.

Czwarty rodzaj przyjaciela urzeka umysłowym bogactwem. Jego styl bycia i światopogląd jest ożywczy, niemal rewelacyjny, wiadomości oryginalne i bogate. Przez pewien czas jesteśmy pod wrażeniem jego doświadczenia i wiedzy, ale każda studnia ma dno i po jakimś czasie powie nam on wszystko, co ma do powiedzenia. Jeśli nie ma w nim nic poza tym, czego nauczył się z książek i z życia, niedługo będzie nas interesował i bawił. Szybko nawiązana bliska znajomość zostanie równie szybko zerwana. Może nawet pozostawi po sobie pewien niesmak. Zawód towarzyszący odkryciu, że pod złym adresem zwróciliśmy się z zachwytem, łatwo przechodzi w pogardę i odrazę. Bywa i tak, że z tego czy innego powodu w dalszym ciągu spotykamy się z tym człowiekiem, wykorzystujemy go jako pośrednika do zawierania innych znajomości albo widzimy na tyle rzadko, że w międzyczasie może on wzbogacić się o nowe doświadczenia i przemyślenia. Stopniowo wraz z przyzwyczajeniem do jego wad przychodzi większa wyrozumiałość, zacierają się uczucie zawodu i dość miła znajomość może trwać wiele lat.

Istnieje wreszcie piąty rodzaj przyjaciela. W wyżej opisanym krytycznym momencie także i on traci nieco w naszych oczach, ale to, co pozostaje, przedstawia większą wartość od atrakcyjnej świeżości nowych znajomych. Reprezentuje coś więcej niż sumę myśli i doświadczeń. Jego godny zaufania charakter, a może także żywe uczucia i rzutki, dociekliwy umysł sprawiają, że nasze przywiązanie ma trwałe podstawy. Jeśli dojdzie do tego wspólne umiłowanie muzyki lub teatru, malarstwa czy literatury, przyrody albo filozoficznych rozważań, wtedy zab czasu łatwo takiej przyjaźni nie naruszy. Oprze mu się ona tym pewniej, im poważniejsze będzie to zamiłowanie, albo — jeszcze lepiej — im z większym przejściem i doskonalszą harmonią obie strony będą realizować wspólne dzieło.

Przyjaźń zależy nie tylko od jej partnera, ale także od czasu i okoliczności.

Czas, choć osłabia pierwszy poryw wzajemnej atrakcyjności, to jednocześnie umożliwia dojrzewanie przyjaźni. Dla jej zawarcia nie wystarczą — zwłaszcza u osób starszych — miłe uśmiechy, dobre słowa i celne myśli. Słusznie Lis tłumaczył Małemu Księżciu, że aby kogoś poznać, trzeba go oswoić, a tymczasem „ludzie nie mają czasu nic poznać. Kupują wszystko gotowe w sklepach. A ponieważ nie ma sklepu z przyjaciółmi, ludzie nie mają przyjaciół” [Saint-Exupéry: Mały książę].

Rolę okoliczności opisano gdzie indziej, ale jeszcze raz chcę podkreślić znaczenie wspólnego działania. Są w życiu okresy, w których, przesłaniając wszystko inne, wysuwają się na plan pierwszy choroby, konflikty rodzinne lub trudności mieszkaniowe, ale w zasadzie najważniejszą rolę odgrywa w życiu praca. Dlatego właśnie szczególnie dobrze ułoży się ta przyjaźń i ta miłość,

która zawiązała się w pracy lub trwale się z nią związała. Czy może być coś piękniejszego nad te małżeństwa, w których on i ona wzajemnie się uzupełniają, gdy on — świetny konstruktor — wygrywa konkursy dzięki jej talentom plastycznym, a ona — pisząca łatwo i z talentem — zdobywa Parnas dzięki jego surowemu krytycyzmowi, gdy matka dopilnowuje odżywienia i ubrania dzieci, jest ich powiernikiem i korepetytorem w naukach humanistycznych, a ojciec uczy je systematyczności, rozbudza zainteresowania techniczne, kontroluje lekcje w zakresie nauk, przyrodniczych i ścisłych? Powtarzam, iż może najsilniejszym argumentem za małżeństwem z tym, a nie innym człowiekiem jest to, że dobrze nam się z nim pracuje.

## b) Wartości przyjaźni

*Czym sen dla ciała, tym przyjaźń dla ducha — odświeża siły.*

Cycon

Zapytany, czy lubię kwiaty odpowiedziałem, że to zależy od towarzystwa. Odpowiedź tę przyjęto za żart, a mówiłem serio. Także na wystawy chodziłem tylko kiedyś, z kimś. Sam nie umiem cieszyć się ani obrazami, ani lasem, ani śpiewem ptaków, ani gwiazdami. Niekiedy wystarczy mi wyobrazić sobie, że z kimś idę, by dostrzec po drodze więcej niż zwykle rzeczy wartych zauważenia; niekiedy wystarczy mi wyobrazić sobie, że wspólnie z kimś czytam, by odkryć w książce więcej swiatełek i światel.

Obok radości wspólnego odkrywania piękna istnieje radość wspólnego ustawiania namiotu i wiosłowania, radość porozumienia w drobiazgach i nie w drobiazgach, radość harmonii w tańcu, w przygotowaniach do świąt. Tym bardziej potrzebny jest przyjaciel, by można było pomówić z nim o tym, co najdroższe, wspomnieć zmarłą, westchnąć nad zawiedzioną ambicją, dzielić zachwyty i entuzjazm, pasję walki i upojenie zwycięstwem.

„Można być szczęśliwym w małym miasteczku, nawet w oazie na Saharze, jeśli tylko ma się dwóch czy trzech wiernych przyjaciół. I odwrotnie, nie wierzę, aby słynny artysta lub wielki mąż stanu był szczęśliwy, jeżeli nie ma przy sobie choćby jednej istoty, przed którą może zdjąć maskę. Stąd ogromna rola, jaką w życiu wielkich ludzi odegrały powiernice, żony lub przyjaciółki. Jestem wciąż samotny — mówił mi słynny człowiek, otoczony rojem wielbicieli. Miłość, obojętne czy synowska, małżeńska czy przyjacielska rozbija okowy samotności”

[A. Maurois: *Lettres à l'inconnue*. Fayard, Paris 1956, s. 193].

Dzięki temu, że przyjaciele są do siebie podobni, wzajemnie utwierdzają się w przekonaniach, a dzięki temu, że doświadczenia i koleje losu odrębnie ukształtowały ich psychiczne pokłady, inaczej widzą świat, inaczej przeżywają aktualne sytuacje, jeden drugiego może wprowadzić w świat nie znanych mu umiejętności, odczuć i refleksji.

W interesującej rozmowie z przypadkowym towarzyszem wycieczki stwierdziłem, że wybornie zna się na teatrze. „Czy ma pan coś wspólnego ze sceną? — zapytałem. — O tak — odpowiedział z uśmiechem. — Mój przyjaciel jest reżyserem”.

„Podwójnie żyje, kto przyjaciela posiada” — poucza przysłowie.

A. chciał podróżować, ale nie mógł, natomiast B. podróżował dużo i coś mu ze swoich przeżyć udzielił. B. chciał być bohaterem, lecz nie miał okazji i tym silniej przeżył bohaterstwo przyjaciela. C. chciał być malarzem — nie wystarczyło mu talentu, ale przebywając z D. wchłania artystyczną atmosferę jego pracowni i przeżywa jego dzieła. D. chciał być sportowcem... nie miał dosyć sił, ale współuczestniczył w triumfach C. Przyjacielem człowieka czynu bywa cichy filozof, a poeta łączy do pedantycznego uczonego.

Jednostki pod każdym względem do siebie podobne rzadko uznają się za interesujące. Do tego, by zostać przyjaciółmi, muszą się różnić, ale różnić szlachetnie (jak określił Jastrun przyjaźń Tuwima i Staffa). Wtedy, to wzajemne wzbogacanie się jest najpełniejsze. A czy nie ma go bez przyjaźni?

Jest, tylko w uboższym zakresie. Ogranicza się wówczas do dyskusji i wymiany faktycznych doświadczeń. By jednak doszło do wzbogacenia się nie tylko intelektualnego, potrzebne jest przejmowanie się tym, co druga strona robi, myśli i czuje. Najwięcej uczymy się od tych, których

kochamy.

Mówi się, że znakomity pedagog pomaga uczniowi m. in. odkrywać w sobie skarby, których istnienia sam uczeń nie podejrzewał. Tym bardziej odnosi się to do przyjaciela. Każdy człowiek nosi w sobie utajone wartości umysłu i charakteru, które ożyją dopiero wtedy, gdy trafią na sprzyjające warunki zaufania, zachęty, sprawiedliwej oceny, podziwu, na warunki, które najdoskonalej spełnia przyjaźń i miłość. Są ludzie, przy których jestem tępy i zły, są inni, przy których staję się bystry i dobry. Czyż można się dziwić, że wolę tych drugich?

Przyjaźń regeneruje siły, ponieważ daje wiarę we własne możliwości, sposobi do pracy nad sobą, ułatwia samouświadomienie celów i zastanowienie się nad metodami, dynamizuje życie sensem.

Żeby wierzyć w siebie, potrzebujemy, żeby ktoś w nas wierzył. Pamiętam, jak pierwszy raz przemawiałem. Byłem bardzo młody, a sala w ministerstwie była bardzo duża. Szeptem zwierzyłem się przyjacielowi, że miałbym coś do powiedzenia. „Zapisz się do głosu” — poradził. Przeraziłem się. Ale on nalegał. I właściwie wypchnął mnie. W ostatniej chwili szepnął: „Umiesz mówić w małym gronie, tak samo potrafisz tutaj”. Przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. On uśmiechnął się. Myśli i słowa popłynęły...

Przykład kontrastujący:

Ryszard brał udział w zawodach hipicznych i zajął piąte miejsce. Jego ambitnej narzeczonej bardzo się to nie podobało. „Ty nigdy nie wygrasz!” — powiedziała ze złością. Ryszard przestał trenować, a w dwa tygodnie później narzeczeństwo ich rozpadło się... Jeśli kogoś nie lubimy, to zwykle nie doceniamy jego możliwości i osiągnięć. (Znakomity krytyk Świętosławski przepowiadał Sienkiewiczowi, że za kilka lat nikt jego powieści czytać nie będzie!) I na odwrót. Przyjaciel wierzy w przyjaciela.

Zwłaszcza osoby cierpiące na przerost samokrytycyzmu i brak poczucia własnej wartości potrzebują tego „wierzę w ciebie, potrafisz, dokonasz, zwyciężysz!”. Dla nich rozstanie z przyjacielem czy porzucenie przez sympatię jest ciosem, podcinającym życiowy rozpęd, bo odejście znaczy „nie wystarczasz mi”. Psychiatrzy często stwierdzają, że kryzysowym momentem w zachorowaniu była śmierć lub odsunięcie się kogoś bardzo bliskiego i że niejeden człowiek znajdujący się na pograniczu choroby umysłowej wyzdrowiał, gdy pokochał kogoś z wzajemnością.

„Ten człowiek, którego kochasz we mnie, oczywiście jest lepszy ode mnie. Ja nie jestem taki. Ale ty kochaj, a ja postaram się być lepszym, niż jestem” (M. Priszwin).

Nie sposób pięknie wyrazić, że przyjaźń zobowiązuje do pracy nad sobą i ułatwia ją. Składa się na to parę przyczyn.

Samooceńca jest jednostronna, a zatem fałszywa. Dreszcz zgrozy wstrząsa mną na samą myśl o tym, że w cudzych oczach przedstawiam się prawdziwiej niż we własnych, ale chcę znać i ten przedziwny obraz, muszę go znać. Sami patrzymy na siebie poprzez kompleksy i urazy, widzimy się może oczyma uwielbiającej nas matki lub przesadnie surowego nauczyciela. Bez spokojnej i godnej zaufania informacji o tym, jak nas widzą postronni, nie zdołamy poprawić postawy i stylu. Na to potrzeba perspektywy. Rzeźbiarz co chwila odrywa się od bryły, by ocenić ją z odległości paru kroków. Człowiek nie może sam oderwać się od siebie, ale może mieć przyjaciela.

„Ryba psuje się bez soli, a człowiek bez rad przyjaciela” — powiada wietnamskie przysłowie. Tak, bo przyjaciel jest tym krytykiem, którego żywo obchodzi nasz kształt psychiczny i sprawność, jest czujnym wychowawcą, jest... sumieniem. On pierwszy alarmuje, gdy pod naporem starego nawyku schodzimy z obranej ścieżki. On pierwszy ocenia nasz trud. To jego przyjaźń, będąc bardziej wymagająca niż sprawiedliwość, wspiera nas w mozolnym dążeniu do doskonałości stylu życiowego i pracy.

Na oddzielną wzmiankę zasługuje przyjaciel-wzór. Upodabniamy się do towarzystwa, w którym dużo przebywamy, a specjalnie do osób, które lubimy i podziwiamy. Powoli „nasiakamy” ich sposobem bycia i poglądami. To najskuteczniejszy sposób przekształcania się.

Rolę przyjaciela-wzoru naszkicował autor jednej z wypowiedzi w ankiecie „Sztandaru Młodych”:

„...Jeden z moich przyjaciół był Uzbekiem, nazywał się Kierim Działatow. Byliśmy razem w wojsku w Turkmenii. Ten Azjata pochodził z jakiegoś odległego aułu z Doliny Fergańskiej. Zaszczepił we mnie miłość do nauki, do wiedzy. Zanim zaprzyjaźniłem się z nim, podziwiałem go, małego, chudego, czarnego żołnierza, źle mówiącego po rosyjsku, gdy całymi godzinami po służbie

«gryzł» trygonometrię, fizykę, chemię, literaturę...

Byłem wtedy niczym, nie umiałem nic, nawet nie chciałem nic umieć. Kierim nauczył mnie kochać naukę, zaraził swoją pasją poznawczą... Od tego czasu minęło 10 lat. Przyjechałem do Polski, jestem kierownikiem Domu Dziecka, studiuję pedagogikę, ale szara, chuda i mała sylwetka Kierim Działatowa, mego prawdziwego przyjaciela, na zawsze pozostała w mojej pamięci”.

Banalna to, lecz wielka prawda, że przyjacielska dyskusja nad zamierzeniami czy metodami wprowadza do nich poprawki mogące ustrzec przed klęską. Każda rozmowa może pchnąć myśl na nowe tory. Są ludzie, którzy w ogóle umieją myśleć tylko głośno, potrzebują, zewnętrznej podniety, potrzebują słuchacza, by uruchomić swój umysł. Jeszcze inni, a jest ich większość, nie potrafią w samotności rozumować systematycznie, ważyć argumentów, układać planów. Nikt nie wyraził tego lepiej niż Cynceron: „Jeśli... przyjaźń łączy w sobie bardzo wiele nader ważnych pożytków, tedy pierwsze miejsce zajmuje wśród nich wszystkich bez wątpienia to, że przyświeca nam na przyszłość dobrą nadzieją i nie pozwala duszom naszym ani na osłabnięcie, ani na upadek”. [Cynceron: Leliusz — O przyjaźni 7, 23. Pisma filozoficzne t. IV. PWN, Warszawa 1963, s. 76].

Gdy zamysł jest jeszcze nieopierzony, a projekt zbyt gorący, decydująca dla ich przyszłości może być reakcja pierwszego człowieka, któremu go przedstawiamy. Musi to być ktoś życzliwy, ale nie pobłażliwy — nie jeden z tych, którzy grzecznie chwala każde głupstwo — ktoś, kto ma dość wiedzy lub rozsądku, byśmy się liczyli z jego opinią. Tacy powiernicy byli zawsze obecni przy krystalizowaniu się pomysłów artystycznych, społecznych czy naukowych i przy rozpoczynaniu nowych cykli działalności. „Ileż to razy jedno słowo w poufnych zwierzeniach ośmiela w nas nieporadną lub oporną myśl, budzi nie znany i nie przeczuwany cel, a później inne słowo wspiera nas w zwątpieniach i upadkach!”

[J. Parandowski: Wspomnienia i sylwety. Ossolineum. Wrocław . 1960, s. 6].

Odkrywanie prawd i ich krążenie, działalność i powodzenie jednostki, a w niektórych razach przyspieszenie lub opóźnienie postępu całych społeczeństw zależy między innymi od przyjaźni lub braku przyjaźni. Marks nie dokonałby tak wiele, gdyby nie było przy nim Engelsa.

Przyjaźń jest źródłem siły także dlatego, że nadaje życiu wyższą rangę — napędza je sensem. Aby moje życie było ważne, musi być ważne dla kogoś. To najłatwiej osiągalny cel: chronić bliskich i przyjaciół, pomagać im, przyczyniać radości. Najdobitniej stwierdzają to lekarze podkreślając, iż wola życia dla kogoś jest doniosłym, a czasem w krytycznych sytuacjach rozstrzygającym czynnikiem wyzdrowienia.

Witaminą B są dla życia zamiłowania i cele. „Tylko z powiększeniem się czucia powiększy się człowieka czynność” — pisał S. Staszic [S. Staszic: Przestrogi dla Polski. Biblioteka Narodowa. 1926, s. 18].

Otóż bez przyjaciół przejmujących się tym samym, co my, zamiłowania słabną, cele przestają być warte trudów. Owszem, zdarzają się potężne indywidualności, których nie przeraża brak oddźwięku, ale bardziej typowa jest choćby ta dziewczyna, która rzeczywiście zaczęła powątpiewać o swojej przytomności, słysząc raz po raz, że jest wariatką, ponieważ lubi długie spacery, gapi się na obłoki i dla przyjemności zajmuje się cybernetyką.

Mało kto potrafi samemu wzbudzić w sobie zapał, wykrzesać moc konieczną dla dokonania dzieła dużej miary. „Robić coś — nawet pisać wyłącznie dla siebie i samodzielnie — jest mi bardzo trudno” — wyznaje K. Mansfield.

[K. Mansfield: Dziennik. Czytelnik, Warszawa 1963, s. 70].

Każde dzieło i każda walka wymaga poświęceń. Czy podejmujemy je dla dzieła „samego w sobie”, czy dla „walki jako takiej”? Rzadko, bardzo rzadko. Częściej powodujemy się myślą o ludziach dalekich i obcych, którzy nasz trud oceniają, którzy z niego skorzystają. Jeszcze częściej na zapleczu prac i walk stoi kobieta, którą tak radują nasze sukcesy, że tym samym stają się warte swej ceny, warte przełamania lenistwa i wyrzeczenia się łatwych, napraszających się przyjemności. Może jednak najczęściej tym psychicznym zapleczem jest rodzina i grono przyjaciół, których zrozumienie i podziw dodaje otuchy, zobowiązuje do wytrwałości. Trzeba być tytanem, by realizować jakikolwiek ideał bez oparcia się na kimś, kto ten ideał rozumie.

Powiadamy „ambicja”, „pracowitość”, „energia”, ale skąd się bierze ta ambicja, pracowitość



i energia? Co ją z nas wydobywa, jaka myśl uruchamia? Jakże często jest to myśl o chwili, kiedy wybiegniemy do przyjaciela ze słowami: „Zrobiłem, zwycięstwo!” Obojętne, czy tym przyjacielem będzie ojciec, mąż, sympatia czy kolega, byle to był ktoś, komu chcemy przysporzyć radości i kto pragnie naszego powodzenia, prawie jak matka, której bardziej zależy na sukcesach dzieci niż na własnym.

Najwięcej sił do pracy i walki wyzwala nie myśl o sobie, lecz o innych, kochanych i kochających.

## 6. Miłość

### a) Pochwała miłości

*A jeśli serce jest tylko mięśniami,  
Cóż po urodzie wszechrzeczy!*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Chcę kochać i być kochanym, tak samo jak chcę mieć dach nad głową i chleb na stole. Nic w tym dziwnego! Kochając, żyję intensywniej, więcej się we mnie dzieje, więcej myślę, a także — mówiąc językiem Żeromskiego — „czuję się na siłach do zaczęcia nowego życia, do pracy podwójnej, potrójnej z czterokrotnie mocniejszym uporem miłości”. Kto nie odczuł nigdy, jak dalece miłość mobilizuje wszystkie siły człowieka, ten jej nigdy nie zaznał — pisze N. G. Czernyszewski.

Jak dach nad głową i chleb na stole wzajemna miłość może zaspokajać potężne potrzeby naprężenia i odprężenia, akceptacji, bezpieczeństwa, estetycznego upodobania, intymności, domu, budzenia podziwu, współdziałania i podnoszenia poczucia własnej wartości. Ale łatwiej o dach i chleb niż o trwałą i wzajemną miłość. Jeśli tak często o niej mówimy, to dlatego, że odczuwamy jej brak, że potrzeby, które ona może i powinna zaspokajać, są częściowo lub całkowicie wygólowane. W rezultacie co drugi człowiek cierpi na samotność, bo samotnym jest każdy, kto wzajemnie nie kocha, a najhardziej samotny ten, kto poznał miłość i stracił ją. Co drugi człowiek nasłuchuje miłosnej tonacji głosu. Gdy ją usłyszy, pojawia się w jego życiu coś ważniejszego od spokoju, wygody i wyrachowania, gdy zaś traci nadzieję, łatwo wpada w apatię, chłód, gorycz, a nawet w okrucieństwo.

Jest radość w sztuce i w pracy, jest radość w tworzeniu, w rozwijaniu sprawności i w osiągnięciu szczytów, ale żadna nie może się równać radości ze znalezienia kogoś, kto chce żyć dla nas i dla kogo my żyć pragniemy. Tylko u wyjątkowych jednostek siła uczuć patriotycznych, siła przeżyć idei społecznych, filozoficznych czy artystycznych dorównuje potędze przeżyć erotycznych. Jeśli tyle jest miłości w książkach, na scenach i ekranach, to dlatego, że ona właśnie najpotężniej „gra” w twórcach i odbiorcach, że dzięki niej prawie każdy choć raz w życiu staje się poetą, nie tym żonglującym słowami i sprzedającym deklamację, ale tym, który wyróżnia się niezwykłym uczuleniem na piękno, nawet w najskromniejszych jego przejawach, i wiarą w drugiego człowieka, wiarą może ryzykowną, ale zawsze godną najwyższego szacunku.

Obejmując szeroki horyzont przeżyć, godząc skromność z dumą, spokój z namiętnością, gwałtowność z subtelnością, wyolbrzymienie „ja” z całkowitą z niego rezygnacją — miłość jest przeżyciem nieodzownym dla pełnego rozwoju jednostki ludzkiej. Ona to wydobywa człowieka z jego skorupy jak magik królika ze swego kapelusza. Wbrew wszystkiemu, co się potocznie mówi, spodziewamy się od miłości nie za dużo, lecz wciąż za mało.

Inna rzecz, że nasze oczekiwania zależą w dużym stopniu od czegoś, co nazwałbym społeczną wyobraźnią, i od pojęć przerażających w danym miejscu i w danym czasie. Śledząc zmiany pojęcia miłości amerykański psycholog E. Fromm dowodzi, że po pierwszej wojnie światowej panowało przekonanie, iż podstawą zadowalających stosunków miłosnych, a zwłaszcza podstawą szczęśliwego małżeństwa jest osiągnięcie przez obie strony doskonałego seksualnego zaspokojenia. Powtarzano, iż najczęstszą przyczyną rozpadu małżeństw jest seksualne niedopasowanie. Wychodzono z założenia, iż miłość jest produktem tak zwanej rozkoszy i że kluczem do miłości jest nauczenie partnerów techniki wzajemnego zaspokajania. Tego rodzaju podejście harmonizowało z ówczesnym przekonaniem, iż właściwa technika rozwiązuje nie tylko zagadnienia przemysłowe,

ale wszystkie ludzkie problemy.

Tymczasem — pisze Fromm — jest odwrotnie: „Miłość nie jest produktem seksualnego zaspokojenia, lecz seksualne zadowolenie — a nawet tak zwana technika — jest rezultatem miłości. Jeżeli, niezależnie od ogólnej znajomości życia, twierdzenie to wymaga dowodów, to pod dostatkim znaleźć ich można w informacjach pochodzących z pracowni psychoanalityków. Badania najczęściej spotykanych trudności — oziębłości u kobiet i impotencji pochodzenia psychicznego u mężczyzn — wykazały, że ich przyczyną nie jest nieznanostwo własciwej techniki, ale nieśmiałość, obawa przed własnà nieudolnoścjà, myśł o następstwach lub odczuwana względem partnera niechęć czy nienawiść” [ E. Fromm: *The Art of Loving*. Harper. New York 1956, s. 89].

Po drugiej wojnie światowej — powiada Fromm — zaczęła przeważać opinia, iż najbardziej istotnym wyrazem miłości, zwłaszcza małżeńskiej, jest współgranie w działaniu. Szczęśliwe małżeństwo przedstawia się jako gładko i sprawnie funkcjonujący zespół. Jego idealni partnerzy przypominają idealnych urzędników, są rozsądnie niezależni, tolerancyjni, współdziałający, a przy tym ambitni i dynamiczni. W poradni mąż otrzymuje pouczenie, że powinien rozumieć żonę i pomagać jej. Powinien zauważyć jej nowà suknię i ocenić obiad. Żona ze swej strony powinna rozumieć męża, chodzić na palcach, gdy wróci zdenerwowany z pracy, z zainteresowaniem wysłuchiwać jego opowiadań i nie gniewać się, gdy zapomni o rocznicy ślubu. „Tego rodzaju wzajemne odnoszenie się jest w gruncie rzeczy tylko dobrze naoliwionym stosunkiem dwóch osób, które choć traktują się z doskonałą kurtuazją, choć starają się, by druga strona dobrze się czuła, to jednak całe życie pozostają sobie obcy, nigdy nie osiągają porozumienia centralnego” [ E. Fromm: dz. cyt. s. 90].

Do takiej lub innej koncepcji współżycia dopasowuje się dominujący w danym czasie ideał kobiety. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu w sferach mieszczańskich istota oświadczająca, że mdleje na widok krwi mogła budzić dodatkowe wzruszenie swoją miękką kobiecością. Słabość i wrażliwość mogły być atrakcją. Dziś, gdy mężczyźni patrzą na kobietę jako na towarzysza, powiedzenie w rodzaju „na widok cierpień dostaję mdłości” sprowadza kobietę do rzędu luksusowej pieśczołki.

Nie jest jasne, co Fromm rozumie przez „centralne porozumienie”, ale główny nacisk zdaje się kłaść na współdoznawanie, przy czym jego głębołość i szerokość zależałaby w pierwszym rzędie od emocjonalnego zblżenia.

Sądzę jednak, że żadna koncepcja miłości nie jest sama w sobie wystarczająca. Dopasowanie seksualne, którego podstawowym, choć nie jedynym warunkiem jest silne uczucie, ma niewątpliwie ogromne znaczenie. Trudno powiedzieć, czy większe, czy mniejsze znaczenie ma harmonijne współgranie w działaniu, zarówno drobnym, na przykład w kuchni, jak i zasadniczym, na przykład przy wychowywaniu dzieci lub układaniu stosunków z otoczeniem. Niemniej istotne jest umożliwiające wzajemne rozumienie podobieństwo typów inteligencji, smaku, postaw i zamiłowań. Ostatecznie, aby „zespół” mógł dobrze funkcjonować, podobne muszą być cele i przewodnie nuty życia jego członków, tak samo jak doszlifowany ich styl działania. Zważywszy, że partnerzy każdego dnia mają ze sobą rozmawiać, nie jest też obojętne, czy typ refleksji i obserwacji, a nawet sposób ich wypowiedzania brzmi dla drugiej strony drażniaco czy miło.

Po tyłu sceptycznych uwagach o małżeństwie, które się słyszy głównie ze strony zwolenników wolnej miłości, dobrze będzie wysłuchać, co o nim mówi autor „Szkiców sceptycznych”, którego kiedyś wyproszono ze Stanów Zjednoczonych za sianie „gorszących” poglądów — B. Russel:

„Jest zatem zupełnie możliwe, by dzisiejsi ludzie byli szczęśliwi w małżeństwie, musi być

jednak spełniony szereg warunków. Konieczna jest jednak obustronna świadomość zupełnej równości, nie może być wzajemnego ograniczania swobody, musi istnieć możliwość całkowitego zbliżenia umysłowego i fizycznego, jak również pewne podobieństwo w sposobie wartościowania. Byłoby fatalne, gdyby na przykład jedna strona ceniła tylko pieniądze, a druga rzetelną pracę. Uważam, że jeśli te wszystkie warunki mogą być spełnione, wówczas małżeństwo staje się najlepszym

i najpoważniejszym związkiem dwojga ludzi”

[ B. Russel: *Małżeństwo i moralność*. Rój, Warszawa 1931, s. 113].

Miłość mieści w sobie wszystkie poruszone w tej książce zagadnienia. Jest ona sumą silnego pociągu i przyjaźni. W pierwszym okresie ważniejsza jest zmysłowa atrakcyjność, w dalszych — przyjaźń. Dlatego właśnie jak szkielet dla ciała, tak dla miłości konieczna jest rozumna treść. Niedługi żywot ma przed sobą podniecenie, czy nawet uczucie, które wyraża się tylko gorącymi zapewnieniami i pieszczotami. Krótki oddech ma miłość, która żywi się samą miłością. Proponuję, by czytelnik powrócił do rozdziału o przyjaźni z myślą, że czyta o trwałej, prawdziwie udanej miłości.

### **b) Niebezpieczeństwa miłości**

*Miłość mu dała, wiarę mu dała,  
więc przy nadziei sama została.*

Puget

Zdobycie kobiety przypomina zdobycie niepodległości. Zamyka się rozdział młodzińskich marzeń i burzliwych walk, mija romantyzm z jego wiarą we wszechmoc uczuć i rozpoczyna się okres realizowania twórczych zadań w szarym trudzie codzienności. Ta próba życia jest trudniejsza od patetycznych zrywów walki, stawia inne, większe wymagania charakterom i wysuwa inne, bardziej złożone problemy.

Jedną z cech okresu zdobywania jest *n a s t a w i e n i e n a f i l m o w ą n a d z w y c z a j n o ś ć*, oczekiwanie, że nowo spotkany człowiek będzie partnerem w kolorowej przygodzie. Ale film się kończy, trzeba wyjść z pałacu snów. Następuje wstrząs. Kto nie umie znajdować zadowolenia w codziennych pospolitych kontaktach, kto nie potrafi nadać im swoistego tonu, zabarwić swoistym wdziękiem i sensem, ten pełnię życia znajdować będzie tylko w kinie.

Pisze o tym A. Maurois:

„Promienne święta namiętności, takie, jakie znać mogą szczęśliwi kochankowie, podobne są do owych jasnych, letnich dni, gdy słoneczna kąpiel napelnia nas rozkosznym rozleniwieniem i błogością; czystość nieba jest tak niezmacona najmniejszym śladem mgły, tak doskonała, że wprost trudno sobie wyobrazić, że może się zaciągnąć chmurami, a na równinie najskromniejsza wioska staje się w tym oświetleniu bajkowym objawieniem. Te piękne dni, zaczarowane wspomnienie o nich i nadzieja, że kiedyś jeszcze przeżyjemy podobne, potrzebne są nam jako źródło siły i odwagi, dzięki której możemy zwycięsko przejść przez burze. Ale jako że ani lato, ani namiętność nie może żyć dłużej, niż na to pozwala natura, musimy nauczyć się kochać także i szare dni, także i jesienne mgły, także i długie, zimowe wieczory...

Co składa się na to szczęście poważniejsze i bardziej czułe, które w zaraniu miłości staje obok fizycznego pragnienia zrazu nieśmiało, by z czasem wyrosnąć ponad wszystko inne? Co składa się na tę miłość, która zrodzona z pragnienia żyje dłużej od niego? Składa się na nią zaufanie, przyzwyczajenie i podziw”

[ A. Maurois: *Un art de vivre*. Plon, Paris, s. 84].

Ostatnie słowa Maurois są efektywnym uproszczeniem. Na miłość, która żyje dłużej od pragnienia, składa się nie tylko zaufanie, przyzwyczajenie i podziw. Gdy stosunek dwojga osób nie zaspokaja silnych potrzeb, na których zaspokojenie liczyli, powstaje skłonność do szukania stosunków uzupełniających albo do całkowitej zmiany partnera. A zważmy, iż na wzajemne zaspokojenie potrzeb, zadbania, oparcia, pomocy, zrozumienia, harmonizowania we wspólnym froncie itd. składa się wiele codziennych starań.

Jedna z najpoważniejszych różnic między różnymi okresami miłości zachodzi w odczuwaniu *d o l e g l i w o ś c i w i ę z ó w*. Zrazu nie myślimy o tym, że kto ofiarowuje nam swoją miłość, ten sięga po naszą wolność. Nabywając samochód również nie zastanawiamy się nad tym, że nie tylko my jego, ale także on nas będzie posiadać. Im więcej kilometrów przejedziemy, tym bardziej dolega ta druga zależność... I wtedy powstanie refleksja, czy warto było zdobywać samochód.

Okres promiennego świętowania nie daje się wydłużać w nieskończoność. Nasycona potrzeba miłości przestaje być najważniejsza. I „nie ma uroku zdolnego wytrzymać próbę ustawicznej zażyłości. Najpiękniejsze afekty z upływem czasu stają się śmieszne, najmocniejsze przyjaźnie słabną; każdy dzień znaczy je nowym wyłomem. Chcemy w uczuciach tak szybko iść naprzód, że w połowie drogi już nam tchu brak. Człowiek sam ulega zmęczeniu, zmęczeniu też ulegają partnerzy. (...) Trzeba tedy przyznać, że najprzystwoitsi ludzie przeżywają w najsilniejszych uczuciach okresy zmęczenia i chłodu, których przyczyn czasami ustalić nie mogą”.

[ Saint-Evremond, dz. cyt. s. 80—81].

Gdy więc kończy się czas promiennego świętowania, okazać się może, że partnerzy przybierają *s p r z e c z n e p o s t a w y*, że nastawieni są na różne koncepcje współżycia, że mają nie dające się pogodzić i głęboko zakorzenione nawyki, przyzwyczajenia i oczekiwania. Tak na przykład mężczyzna, dla którego matka była wszystkim, spodziewa się, że umiłowana kobieta będzie miała cechy podobne do wyidealizowanego obrazu matki i że otoczy go taką opieką, obroną i bezwarunkową miłością jak matka. Oczekuje, że będzie kochany taki, jaki jest, bez konieczności zabiegania o miłość, bez pracy nad nią, bez obawy, że może ją utracić. Łatwo sobie wyobrazić jego rozczarowanie, gdy zakocha się w kobiecie typu rozpieszczonej jedynaczki, która nastawiona jest nie na opiekowanie się kimś i zachwycanie nim, lecz odwrotnie, spodziewa się, że sama będzie przedmiotem kultu i jednostronnej troski.

Dysharmonizujące różnice utrudniają więc przekształcenie się emocjonalnego uniesienia w trwałą przyjaźń. Mogą to być różnice w stylu zachowania, w postawach życiowych lub w seksualnym temperamencie, w typie życia emocjonalnego, w rodzaju zainteresowań, w poziomie inteligencji. Niebezpieczeństwo polega na tym, że przy dużym napięciu różnice te, jeśli nawet są dostrzegane, to w każdym razie wydają się nieważne. Podsluchana rozmowa:

— Skąd ta pewność, że ona czuje tak samo jak ty?

— Gdy wieczorem idziemy ulicą i gdy zatrzymuję się zafascynowany widokiem ładnej lampy w cudzym mieszkaniu albo liści oświetlonych uliczną latarnią; ona stoi obok mnie i mówi „tak”.

— To wystarcza, by mieć pewność?

— Tak.

Chcąc usprawiedliwić siłę naszego uczucia idealizujemy jego obiekt. Jeśli chłopiec opowiada, jak kiedyś w dzieciństwie bronił katowanego konia, dziewczyna wyobraża sobie, że jest odważny i dobry. Jeśli pomaga jej w pracy, ona wyobraża sobie, że jest bezinteresowny. Jeśli ostro występuje przeciw cwaniakowi, który się wślizguje do kolejki po cytryny, wyobraża sobie, że jest energiczny. Wiadomo, namiętności są potężne, a wyobraźnia usłużna. Widzimy i słyszymy to, co chcemy widzieć i słyszeć. Chcemy być okłamywani, toteż jesteśmy okłamywani. Przede wszystkim przez samych siebie. Winę za rozczarowanie ponosi nasza własna fantazja. Oszukują nas własne pragnienia i nadzieje.

Od niebezpieczeństw idealizacji zwróćmy się do *n i e b e z p i e c z e ń s t w w u l g a r y z a c j i*.

Czy znacie Mietka? „Piękno to wszystko!” — deklaruje, ale nie chce mu się chodzić na wystawy ani czytać dobrych książek. „Prawda to wszystko!” — woła, ale nie sprawdza powtarzanych przez siebie wiadomości. „Miłość to wszystko!” — głosi przy innych okazjach, ale nie poświęca dla niej możliwości przeżycia nadprogramowego dreszczyka.

Kultura życia emocjonalnego, jak każda inna, wymaga poświęceń. Miłość ginie w zarodku, gdy bez ograniczeń korzystamy z dzisiejszych warunków upraszczających męsko-damskie sprawy. „Deprecjacja znaczenia opinii — pisał J. Brzechwa w jednym ze swoich felietonów — przewartościowanie pojęć moralnych, wczesna samodzielność młodzieży, przystępność dziewcząt, tempo życia i pośpiech, warunki mieszkaniowe — wszystko to zabija delikatność uczuć, mrozi ich kwitnienie, obniża temperaturę”. W rezultacie miłość staje się w życiu epizodem, choć może być epoką.

Do niedawna przeszkodą w zaspokajaniu każdego zwrotu zmysłowej ochoty był lęk przed karą w piekle i konsekwencjami na ziemi; dziś etykę płciową rozpatruje się uwzględniając racje higieny, ekonomii i psychologii. I właśnie ta ostatnia, która do niedawna z Freudem na czele torowała drogę większej swobodzie stosunków płciowych, teraz wytacza najpoważniejsze argumenty za jej ograniczeniem. Oto niektóre z nich:

1. Specjalizujący się w zagadnieniu potrzeb amerykański psycholog A. H. Masłow stwierdza, że „jako konsekwencje dużej swobody występują psychopatia, nieodpowiedzialność, niezdolność do wytrzymywania napięcia i długotrwałego wysiłku, niedojrzałość i inne spaczenia charakteru”.

[ A. H. Masłow: *Psychological Data and Value Theory*. Ze zbioru: *New Knowledge in Human Values*. Harper & Brothers, New York 1959, s. 133].

Groźna dla charakteru jest każda łatwizna. „Choć prawdą jest, że łatwe zaspokajanie potrzeb prowadzi do pewnego zautomatyzowania czynności, a tym samym umożliwia ześrodkowanie większej uwagi na innych problemach, to jednak wcale nie jest pewne, że człowiek z tych możliwości skorzysta. Zautomatyzowanie postępowania może... ograniczyć i usztywnić reakcje. Jeśli wówczas człowiek znajdzie się w nowej sytuacji, do której nie pasuje dotychczasowy schemat jego postępowania, okazać się może zupełnie bezradny. Jeśli latami nie potrzebował radzić sobie z żadnymi trudnościami, to mógł zatracić zdolność przystosowywania się i wyrabiania nowych umiejętności. Jeśli nie miał problemów, nie dostrzegał ich, nie słyszał i nie mówił o nich, to nie rozwinął szerszej techniki rozwiązywania spraw związanych z międzyludzkimi stosunkami. Wreszcie, następstwem łatwego zaspokajania potrzeb może być przecenianie własnych możliwości, stawianie sobie zbyt wysokich celów, brak realizmu i... katastrofa”

[ Kretch, Crutchfield, Ballachey: *Individual in Society*. McGraw, New York 1962, s. 116].

2. „Prawie każdy przyzna, że stosunek dwojga ludzi, bogaty w elementy psychiczne, stoi wyżej od związku wyłącznie fizycznego...” [ B. Russel: *Małżeństwo i moralność*, dz. cyt. s. 8].

„Żadnemu człowiekowi kulturalnemu ani, o ile wiem, żadnemu barbarzyńcy nie wystarczy sam surowy akt spółkowania. Jeśli popęd, prowadzący do aktu płciowego, ma znaleźć zupełne zadowolenie, musi poprzedzać go okres zdobywania względów, musi istnieć miłość i przyjaźń. Bez tych czynników można chwilowo zaspokoić apetyt seksualny, lecz głód psychiczny pozostaje i uniemożliwia prawdziwe zaspokojenie” [ Tamże, s. 231].

Innymi słowy traktowanie aktu jako odprężającego zabiegu, przy którym druga strona odgrywa rolę narzędzia, utrudnia lub uniemożliwia przeżywanie aktu jako pełnego zbliżenia i bazuje na wygłodzenie inne potężne potrzeby. Łatwo jest puścić potencjalny kapitał uczuć na drobne przygodnych dreszczyków! Łatwo jest uczynić z miłości to, o czym bełkocą pijacy! Ale trudno jest przywrócić jej czystość i głębię tonu. Kto raz poszarpał struny, na których gra miłość, ten będzie fałszował całe życie; kto słysząc ten fałsz i szukając czegoś prawdziwego wciąż zmienia partnera, przypomina skrzypka, który mając rozstrojone skrzypce i chcąc dać dobry koncert, raz po raz zmienia — akompaniatora.

Romain Rolland powiada, iż „ciało jest tym najmniejszym, co kobieta może dać mężczyźnie”, ale rzecz w tym, że jeśli lekko je daje, to może stać się niezdolna do dawania czegoś więcej. To samo jest prawdą dla mężczyzny. Znakomity uwodziciel zna wszystkie chwytły, wie, co powiedzieć, by dziewczyna pozwoliła się dotknąć, wie, jak ją dotknąć, by mu się oddała, zna wiele technik, nie zna tylko patosu miłości.

3. Miłość oparta na samej seksualnej atrakcyjności stygnie jak woda zagotowana na patelni. Szukanie podniecenia staje się przyzwyczajeniem, bez którego życie jest nie do zniesienia.

Z biegiem lat, faszerowana „ubawem”, tępieje wrażliwość. Podniety wzrastają w postępie geometrycznym, ale wywołane nimi wrażenia rosną w postępie arytmetycznym. Osiągnięcie tego samego podniecenia wymaga coraz silniejszego bodźca, coraz częstszej zmiany, a wszystko to na nic — wyścig, wygrywa nuda, męczy pustka i niedosyt, dusi szarzyzna i banal.

4. Choć do pewnego czasu dziewczęta i chłopcy lubią odżegnywać się od myśli o małżeństwie, to jednak z wiekiem powstaje potrzeba założenia domu, a wtedy komuś, kto przyzwyczał się do stałych zmian partnera, zbyt trudno będzie trwać przy jednym.

5. Niedaleko siebie płyną dwie rzeki. Natura widać: przeznaczyła, by połączyły swe wody. Co się stanie, jeśli w pewnej odległości przed miejscem ich spotkania wyrosną tamy? Wody obu rzek spiętrzą się, rozleją na szerokie tereny i połączą się dopiero w postaci dwóch, jezior. Tak samo opory i przeszkody spiętrzają emocjonalne i umysłowe energie prawdziwie zakochanych. Może dlatego duże uczucie nieraz samo sobie wynajduje trudności?

Jak nie do pomyślenia jest pełnowartościowe życie intelektualne bez dyscypliny umysłu, tak niemożliwa jest pełnia życia emocjonalnego bez dyscypliny zmysłów. Właśnie niedosyt pobudza energię i wyobraźnię. Może dlatego w niektórych krajach wymagano wstrzemięźliwości od artystów?

6. „Prawdziwie ludzka miłość może opierać się jedynie na wzajemnym poszanowaniu ludzkiego dostojeństwa” — powiada W. G. Bieliński. „Przekonanie o niezmiernej wartości upragnionej kobiety jest psychologicznym wynikiem trudu zdobycia jej. Jeśli mężczyzna bardzo łatwo zdobywa kobietę, uczucie jego dla niej będzie pozbawione cech miłości romantycznej” — pisze B. Russel. [B. Russel: *Małżeństwo i moralność*, dz. cyt. s. 55].

Powiem mocniej: akt płciowy jest pełnym przeżyciem tylko wtedy, gdy stanowi kulminacyjny punkt uczuciowego zbliżenia, a degradowanie go do rzędu załatwiania czysto fizycznej potrzeby jest nieodwracalnym procesem wulgaryzacji życia erotycznego. Chłopcy co innego mówią dziewczynie w oczy, a co innego za jej plecami. Do niej powiedzą: „A co ci zależy, nie bądź głupia”, ale między sobą powiedzą: „Wycirus, łatwo u niej skorzystać”. Użyją jeszcze innych słów, mało oryginalnych określeń, które nie dotrą do uszu dziewczyny, ale wyrobią jej złą markę.

Nie ma innej rady. Jeśli chcemy, by nas szanowano, sami musimy się szanować.

Piszę o miłości dlatego, że w książce poświęconej współżyciu nie mogę pominąć milczeniem najintensywniejszej jego postaci. Piszę o miłości, choć wiem, że wszystko, co o niej powiem, będzie zawsze prawdą niepełną. Wszystko dobre i wszystko złe.

Przecież, jeśli najgorsze z typowych rozczarowań są rozczarowania miłosne, to dlatego, że miłość jest największą człowieczą nadzieją i największym przedsięwzięciem. Ten, kto z powodu przeżytego zawodu usiłuje wykreślić miłość ze swego życia, przypomina błazenka, który chce dać sobie uciąć głowę z powodu źle dobranej czapki.

### **c) Warunki miłości**

*Znowu dopadło mnie stare pytanie:  
Czemuśmy nie mogli stać się  
przyjaciółmi?*

T. Eliot

Dziewczyna, która odkryła, jak niewiele potrzeba, by się podobać, i chłopak, któremu się zdaje, że kochać znaczy poddać się chwilowemu uniesieniu, oboje są przekonani, że wiedzą o miłości wszystko, co najważniejsze. On i ona milcząco zakładają, że istotną sprawą jest znalezienie odpowiedniego obiektu, że jeśli znajdą kogoś, kto ich pokocha i kogo oni pokochają, to realizacja emocjonalnej strony życia załatwi się sama przez się.

Mniej naiwni zadają sobie pytanie: co robić, by mnie kochano? i dużo rzadziej: co robić, żebym sam umiał kochać?

Odpowiedzią na te pytania jest cała ta książka. Sytuacje i cechy zrażające zwykle utrudniają wzbudzenie miłości, a zawsze skracają jej żywot, sytuacje i cechy zjednujące ułatwiają wzbudzenie miłości, a w każdym razie przedłużają jej żywot. Tylko dziecko kochamy za to, że jest, człowieka

doroślego kochamy za to, czym jest.

Aby być przyjacielem, trzeba być kimś. Tak samo trzeba być kimś, by umieć kochać. Znajdujemy w miłości przede wszystkim to, co sami do niej wnosimy. Jest ona dostrzeganiem piękna i tworzeniem go, jest najwyższym stopniem współdoznawania i współdziałania, a więc wyraża się w niej cała osobowość — uboga lub bogata, pospolita lub wyjątkowa, płytka lub intensywna. Właśnie dlatego przygotowanie do miłości, a potem praca nad nią jest w dużej mierze równoznaczna z kształtowaniem charakteru i umysłu.

Tak samo idea doskonalenia się dla miłości i przez miłość nie jest romantycznym postulatem, a naturalnym procesem. Dziecko stara się być grzeczne, żeby nie martwić mamusi, uwielbiający swego profesora młody naukowiec podwaja zapał, z jakim pracuje, a zakochanego można poznać po tym, że bardziej niż zwykle dba o wygląd zewnętrzny, ogólną kulturę, sprawność fizyczną, pozycję, by się bardziej podobać lub — mówiąc językiem dziewiętnastego wieku — by stać się godnym wzajemności.

Z tego wynika, iż do tego szczęścia, jakim jest miłość-przymierze i miłość-przyjaźń nie pasuje żaden klucz, nie tworzy go żadna technika, nie zatrzyma żaden chwyt. Sztuka kochania, jak każda inna, wymaga przede wszystkim treści, którą znaleźć możemy tylko w sobie. Ponadto wymaga dyscypliny, skupienia i cierpliwości. Nie opanuje jej ten, kto działa tylko pod wpływem i pod dyktandem natchnienia, ani ten, czyja uwaga nie potrafi się skupić całkowicie i trwale na jednym przedmiocie, ani ten, kto zniechęca się, gdy po pierwszych próbach nie zbliży się do ideału.



## Rozdział II **CECHY ZRAŻAJĄCE**

### Charakter i zachowanie

*Gdybyśmy sami nie mieli wad, nie sprawiałoby nam  
takiej przyjemności stwierdzać je u drugich.*  
La Rochefoucauld

Omówiliśmy sytuacje, które ludzi do siebie zbliżają, i te, które ich dzielą, ale przecież sytuacja sprawy nie przesądza. Można nienawidzić członka wspólnego frontu, a lubić, nawet kochać członka frontu przeciwnego. W ostatecznym rachunku o tym, czy kogoś lubimy, czy nie — decyduje jego charakter i postępowanie. Co więcej, pierwszym i podstawowym elementem, zasadniczą komórką szerszych społecznych stosunków jest wzajemne odnoszenie się do siebie jednostek. Człowiek czuje się w danej grupie dobrze albo źle dlatego, że dobrze albo źle układają się jego indywidualne stosunki z poszczególnymi jej członkami. To samo dotyczy jego nastawienia do pracy, które w dużym stopniu zależy od sumy układów poszczególnych koleżeńskich stosunków. Nawet nastawienie obywatela do państwa zależy często od tego, jak indywidualnie odnoszą się do obywatela ci reprezentanci państwa, z którymi się najczęściej spotyka: milicjant, urzędnik Rady Narodowej lub panienka na poczcie.

Podział na cechy zrażające i zjednujące jest arbitralny. Każda cecha negatywna ma swoje pozytywne przeciwieństwo. Przeciwieństwem zarozumiałości jest skromność, nienaturalności — prostota, kłamstwa — prawdomówność itd. Jeśli opisujemy te pary raczej od strony negatywnej, to dlatego, że uwaga koncentruje się raczej na dolegliwościach i zgrzytach, że wychwytuje raczej fałsz niż harmonię, że innymi słowy, bardziej zrażają cechy negatywne, niż zjednują ich pozytywne przeciwieństwa. Gdy kogoś urazimy lub obrazimy, trudno jest rzecz „odrobić”.

Jakie cechy charakteru i postępowania najczęściej ludzi zrażają? W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie psychologowie prowadzą skrupulatne badania. Najprostszy test polega na zwróceniu się do wzajemnie znających się osób z poleceniem, by każda wskazała (na nie podpisanej kartce), z kim chciałyby się zaprzyjaźnić. Po zebraniu kartek psycholog sumuje odpowiedzi, ustala, na kogo padło najmniej głosów, po czym przystępuje do obserwacji niepopularnego osobnika. Suma takich diagnoz daje odpowiedź na pytanie, co najczęściej budzi antypatię.

Inne badania (polegają na ankietowaniu możliwie dużej ilości osób; każda ma pomyśleć o kimś, kogo najbardziej nie lubi, i głośno wyjaśnić, dlaczego tak jest. Niekiedy odpowiedzi są zbyt specyficzne (np. „Nie lubię go, bo powiedział, że mój pomysł jest głupi”), często zbyt ogólnikowe (np. „Nie lubię go, bo jest niedobry”), ale ich suma pozwala na wyrobienie sobie poglądu na cechy charakteru i postępowania, które budzą najwięcej niechęci.

Natomiast bardzo trzeba uważać z ocenami subiektywnymi. Jakże często za najgorszą uważamy tę cechę charakteru, która najbardziej nam u kogoś dokuczyla. Żartem powiemy, że najgorsza jest ta wada, którą posiada najbliższy nam człowiek.

Następnie niechęć i ujemna ocena drugiego człowieka może być ze źródeł nie mających nic

wspólnego z jego charakterem. (Wyjaśniliśmy to mówiąc o s y t u a c j a c h i r o l a c h : ktoś, kto miewał zatargi z urzędem skarbowym, może z miejsca poczuć antypatię do miłego wczasowicza, o którym wiadomo, że w tym urzędzie pracuje.

Konflikty i towarzyszące im uczucia niechęci mogą powstawać mimo zbliżającej sytuacji, i to nawet wtedy, gdy charaktery nie są trudne, a postępowanie — obiektywnie biorąc — nie jest zrażające. Określenie „niezgodność charakterów” jest nadużywane, niemniej zawiera bogatą treść. Ta niezgodność występuje zwłaszcza wtedy, gdy:

usposobienia są zbyt różne (człowiek małomówny, skryty i chłodny będzie mroził kogoś, kto wciąż potrzebuje słów zachęty i dowodów serdeczności, człowiek „bardzo serio” nie ścierpi na dłużej towarzystwa ironisty, pedant — towarzystwa roztrzępańca),

usposobienia są identyczne (niemożliwe, by mogli współdziałać ze sobą ludzie jednakowo wyzbyci inicjatywy i samodzielności albo mający podobną skłonność do despotyzmu i komenderowania).

Następna komplikacja wynika stąd, że „rzadko w ludziach wszystko bywa cnotliwe czy też wszystko występne; dobre i złe cechy występują razem i tylko delikatne rozeznanie pozwala wyróżnić składniki tej mieszaniny”.

[ Saint-Evremond, dz. cyt. s. 104]

Z doświadczenia wiemy, że zależnie od sytuacji, układu stosunków i przyzwyczajenia się do zachowania określonego typu w określonej grupie ten sam człowiek może mieć r ó ż n e o b l i c z a . Pewien bardzo energiczny i trochę apodyktyczny dyrektor szpitala jest zdecydowanym fajtlapą i pantoflarzem w domu, Tomasz jest idealnym przyjacielem w ciężkich chwilach, choć trudno z nim wytrzymać na co dzień.

Nie zawsze wiemy, dlaczego kogoś nie lubimy. Może wchodzi w grę jakieś skojarzenia, jego zewnętrzne podobieństwo do kogoś, kto kiedyś nas skrzywdził? Może źródło antypatii kryje się w podświadomości i ujawnienie go byłoby przykre? Uczciwie tłumaczmy niechęć do Czarka jego rubasnością, choć wcale by nam ona nie przeszkadzała, gdybyśmy w głębi duszy nie obawiali się, że ten sposób bycia może mu zjednać sympatię Marysi.

Sądząc jakiegoś osobnika, nieraz bierzemy skutek za przyczynę. Ulegamy wrażeniu, że nasze nastawienie względem niego — przychylne lub wrogie — wynika stąd, że jego charakter jest dobry lub zły, a najczęściej jest odwrotnie. Ze szczególną wyrazistością dostrzegamy złe lub dobre cechy jego charakteru, bo przychylny lub nieprzychylny jest nasz stosunek do niego.

Iksa nie lubię, bo samą swoją obecnością przypomina mi o tym, że kiedyś stchórzyłem. Igrek wydaje mi się wstrętny, bo — prawie obcy — zaopiekował się moją babcią, o którą ja powinienem się być zatroszczyć. Zet jest po prostu lepszym ode mnie lekarzem, ale kiedy jako młodszy poucza mnie, drażni tym samym moją miłość własną. W rezultacie przy pierwszej lepszej okazji odkrywam, że Iks jest idiotą, Igrek — pozerem, a Zet — zarozumiałcem. Podstawa tego odkrycia może być nikła, ale to mi nie przeszkadza. Teraz, gdy moja antypatia wyrobiła sobie legitymację, mogę nie tylko odnosić się do tych trzech panów z usprawiedliwioną niechęcią, ale mogę nimi gardzić. Potrzeba dobrego o sobie mniemania obroniła się.

Uderzająca jest zwłaszcza stronniczość sądów o ludziach, których skrzywdziliśmy. Wspominaliśmy o tym opisując „moralne usprawiedliwienia” wynajdywane z łatwością przy konflikcie interesów. Pan X., który rozrabianiem, intrygą i plotką wysadził z siodła dawnego kierownika działu, by samemu zająć jego miejsce, z dobrą wiarą głosi, iż tamten działał na szkodę kolegów; pan B. znów niezbitnie wierzy, że stara żona, którą rzucił, ponosi winę za jego wykolejenie i zmarnowane życie. Wszyscy, którzy z naszego powodu cierpią, są wprost nieznośni, bo utrudniają nam zaspokojenie potrzeby dobrej samooceny. Przekonanie o ich moralnej nędzy, a przynajmniej o ich złym wpływie na nasze życie potrzebne nam jest dla dobrego samopoczucia.

Kiedy powstaje reakcja negatywna względem drugiego człowieka, z reguły sądzymy, że to on jest winien, a tymczasem sympatia, pogarda, cześć, nienawiść i każda inna postawa uczuciowa pojawia się zazwyczaj na tle jakiejś sytuacji i ma dwa korzenie: jeden tkwi w człowieku, który ją wywołuje, a drugi w tym, który jej doznaje. Doznający ma pewne potrzeby i obawy, a ten drugi albo jego potrzebom odpowiada, albo te obawy ożywia. W pierwszym wypadku budzi reakcję dodatnią, jest miły, sympatyczny, pożądaný; w drugim — ujemną, jest niemiły, antypatyczny,

nieznośny.

Powyższe uwagi są przestrożą. Opis cech zrażających, do którego przystępujemy, na nic nie przyda się człowiekowi, który nie potrafi ustrzec się przed szukaniem winy poza sobą. Ciekawe bowiem, że tak jak naszą antypatię względem pana Wacka tłumaczymy jego wadami, tak i przyczyn jego antypatii do nas szukamy także w jego charakterze. Gorzej: poświęcamy wiele uwagi jego odnoszeniu się do nas, a mało zastanawiamy się nad naszym odnoszeniem się do niego. Ta skłonność utrudnia już nie tyle badania psychologa, co ocenę naszej własnej sztuki współżycia.

Dlatego proszę, aby pod wpływem tej książki czytelnik zastanawiał się nie nad postępowaniem Wacka, a nad swoim własnym.

## Trudność kontaktu

*Zawsze mi się wydaje, że najtrudniejszym etapem w budowie mostu jest początek.*

R. Benchley

Marek siedzi obok Zosi. I co? I nic. Zosia stara się ułatwić przełamanie lodów. „Miło tu” — powiada. On kiwa głową i nic... Ona niecierpliwi się, on jest nieszczęśliwy. I... nic!

Marek — powiadamy — jest niewyrobiony i nieobyty. Nawet gdy chce okazać radość i serdeczność, jakoś mu to nie wychodzi. Wydaje się, że krępujący jest dla niego każdy kontakt, każde wejście do pokoju, w którym już ktoś jest, każde pytanie. Co gorsze, jego skrupowanie udziela się innym. Z nim się męczą i on się męczy.

Z nim się męczą, bo dystans, który go oddziela od otoczenia, sprawia przykrość tym, którzy go kochają, a niecierpliwi i drażni pozostałych. Jego niekomunikatywność uchodzi za wynoszenie się albo za wrogość. I mało kto gotów jest siłować się z opancerzonym orzechem, gdy inne są mniej twarde.

Marek sam się męczy, bo choć nie nawiązuje bliższych kontaktów, choć uprawia rodzaj izolacji, to wcale mu nie jest z tym dobrze. Zależy mu na akceptacji bardziej niż innym — dlatego jest taki napięty. Bardziej niż innym zależy mu na serdecznych stosunkach z ludźmi

— dlatego paraliżuje go lęk przed odrzuceniem, dlatego jest nieśmiały.

Kiedy miał pięć lat, chciał, aby matka zaprosiła sześciolletnią córeczkę sąsiadki, ale gdy mała przyszła, nie dał się wyciągnąć spod stołu. Mając lat trzydzieści pięć przemyślnie aranżuje spotkania z umiłowaną po to, by obojętnie ją mijać lub żegnać po jednym „co słychać?”

Każdy taki trudny Marek jest materiałem na romantyka. Każda wygłodzona potrzeba rodzi marzenia. Jest on także materiałem na ofiarę, gotów wielbić każdego, kto go ośmieli i oswoi, oczekuje cudów i ciężko przeżywa rozczarowania.

Tak, to już widać w dzieciństwie: jeden malec jest ufny, towarzysko przedsiębiorczy, z łatwością włącza się do zabaw nawet obcych dzieci, samorzutnie zawiera znajomości ze starszymi, a drugi — zahukany, dziki, odcięty — cierpi na nie zaspokojoną potrzebę przynależności.

Narzuca się jakies „konstytucyjne” wytłumaczenie tych różnic. Wydaje się, jakby psychofizyczne właściwości predestynowały jednych do łatwych i gładkich kontaktów, a innych — do trudnych i wyboistych. Wśród psychologów przeważa jednak opinia, że „dar towarzyski” albo towarzyska nieporadność i skrupowanie pochodzą przeważnie z przeżyć dzieciństwa i młodości. Dziecko, na którego wyciągnięte ręce często reaguje się prychnięciem, może na zawsze stracić zdolność do okazywania czułości i „wychodzenia naprzeciw”. Jeśli z jakiegokolwiek względu rówieśnicy go odtrącają, to lęk przed odtrąceniem może mu pozostać na zawsze.

Ponieważ lęk przed powtórzeniem się bolesnego przeżycia jest główną przyczyną trudności kontaktowania, lekarstwem na niego jest seria powodzeń. Żeby się o tym przekonać, grupa studentów postanowiła przeobrazić na gwiazdę zalęknioną, „okompleksioną” i z reguły zaniechawaną koleżankę. W tym celu postarali się, by otrzymywała zaproszenia na wszystkie ważniejsze wieczorki, by nigdy nie zabrakło jej partnerów i aby w ogóle traktowano ją jak najatrakcyjniejszą dziewczynę na uczelni. Rzeczywiście, zanim rok upłynął, zaczęła zachowywać się z doskonałą swobodą osoby pewnej swego powodzenia. Po zaprzestaniu eksperymentalnego traktowania jej zmiana ta utrzymała się nadal, tym bardziej że dziewczyna w dalszym ciągu cieszyła się powodzeniem, i to już nie reżyserowanym, lecz autentycznym\*.

[ Według E. R. Guthrie: The Psychology of Human Conflict. Harper, New York 1938.]

Człowiek łatwo nawiązujący kontakty jest na ogół otwarty, bezpośredni i praktyczny, interesuje się otoczeniem, jest żywy, a ten, który czuje się „za murem”, jest raczej przeczulony, podejrzliwy, skryty, sztywny i sztuczny. Ten drugi jest także bardziej skłonny do różnych obsesji. Wyobrazić sobie może na przykład, że jest przedmiotem wrogiego, zainteresowania albo, przeciwnie, że go się w ogóle nie dostrzega. Szczególnie silna jest u niego potrzeba akceptacji i uznania. Towarzystwo, które ją zaspokoi, przywraca mu zaufanie do swoich sił, dowcipu, wiedzy i życiowych szans. Dlatego, gdy mowa o swobodnym obejściu, trzeba pamiętać, że ma ono dwie strony: własną łatwość kontaktu i ułatwianie kontaktu innym. Daleko do kultury bycia człowiekowi, w którego obecności inni czują się sztywni i skrępowani. Odznacza się nią tylko ten, przy kim wszyscy dobrze się czują, przy kim swobodnie czuje się nawet trudny Marek.

## Nienaturalność

*Jak niezrównany jest wdzięk dzieci,  
póki nie uczą się tańczyć.*

S. T. Coleridge

„Nie wiem, ale coś mnie tak drażni w Adzi, że po prostu nie mogę z nią rozmawiać”. Po zastanowieniu się doszliśmy do wniosku, że tym czymś drażniącym jest nienaturalność.

Ta dziewczyna byłaby ładna, gdyby umiała się poruszać, tamta znów ma nieznośną manierę w sposobie mówienia i trzymania papierosa, trzecia nie umie po ludzku ręki podać, czwarta jest przeraźliwie sztywna i pretensjonalna, piąta... ale dosyć, bo wszystkie wymienione skazy dadzą się sprowadzić do jednego — do nienaturalności. I właśnie z powodu nienaturalności kobieta zadająca sobie nieskończenie wiele trudu, by robić wrażenie, nie ma tyle wdzięku co kundel kładący nam pysk na kolana, a wystudiowane ruchy gwiazdy filmowej nigdy nie dorównają gestowi piętnastolatki posyłającej pierwszego w życiu całusa.

„W charakterze, w sposobie bycia, w stylu — we wszystkim najpiękniejsza jest prostota” (Kalinin). Bezpośredniość, funkcjonalność ruchu i słowa jest zawsze pociągająca, zawsze przyjemna i choć bywa naiwna, nigdy nie jest śmieszna. Śmieszność zaczyna się z udawaniem.

„Od wad, które posiadamy, bardziej ośmieszają nas cnoty, które udajemy” (La Rochefoucauld).

Śmieszne lub niesmaczne jest udawanie zarówno wszechwiedzy, jak naiwności, zarówno mroźnego chłodu, jak żarliwego zapału, zarówno obojętności, jak uczuć. Dlaczego A. jest afektowana? Dlaczego B. łasi się i szczerzy zęby w uśmiechu do C., choć wszyscy wiedzą, łącznie z C., że łączy ich tylko nienawiść?

Nawet aktor jest najświetniejszy, gdy gra rolę odpowiadającą jego fizycznym i psychicznym dyspozycjom. Podobnie każdy z nas jest najbardziej interesujący, gdy rozwija własną indywidualność, gdy na przykład pracuje nad tym talentem, który posiada, a nie nad tym, który mu imponuje u kogoś innego. Jednym z najważniejszych warunków osiągnięcia pełni wyrazu i powodzenia jest znalezienie stylu odpowiadającego naszej naturze, stylu wyrażającego naszą treść. Właśnie naturalność to w pierwszym rzędzie harmonia treści i formy.

Ale myli się ten, kto przypuszcza, że naturalność przychodzi sama z siebie. Przeważnie zatracamy ją już w dzieciństwie, przejmując od najbliższych jakieś mniej lub bardziej pokrętnie zmanierowanie. Jak w sztuce pisarskiej doskonała prostota jest owocem mozolnej pracy, jak w sporcie do najbardziej celowego, a zarazem najładniejszego ruchu dochodzi się drogą wieloletnich ćwiczeń, tak i w międzyludzkim obcowaniu szczerzy, swobodny, bezpretensjonalny sposób bycia osiąga się dzięki odrzuceniu maniery i sztuczności. Nie jest to łatwe zadanie, ale warte trudu. Opłaca się estetycznie, ale i ekonomicznie. Nienaturalność bowiem jest tak samo męcząca jak zbędne ruchy przy odbijaniu piłki.

Poza wpływem cudzej sztuczności nienaturalność może wynikać z braku wyrobienia. Wyzwolenie się z tego braku jest stosunkowo łatwe — sprowadza się do znalezienia wzoru i do obycia. Radio, telewizja, teatr, szkoła i organizacje dostarczają dosyć wzorów każdemu, kto umie patrzeć, słuchać i dostrzegać to, co warto naśladować, a obycie przychodzi z czasem, tym prędzej, im mniej myślimy o tym, jakie sprawiamy wrażenie, im mniej staramy się ukrywać takie cechy, jak nieśmiałość, zakłopotanie, a nawet ignorancję.

Brak wyrobienia jest mniej przykry niż wyrobienie polegające na łatwym operowaniu pustym słowem i przylepionym uśmiechem. Wolałbym, żeby B., który przeszedłby na drugą stronę ulicy, gdyby mnie w czas dostrzegł, nie mówił, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi. Wolałbym, żeby F. nie udawał, że mnie spotyka przypadkiem. Wolałbym, żeby O. nie plotła bezmyślnie; „w dwudziestym wieku nie można się kochać jak Romeo i Julia” i żeby nie życzyła mi wesołych świąt,

wiedząc, że będę mieć święta bardzo smutne. Wolałbym nie słyszeć pouczeń w rodzaju „moja pogoda pochodzi ze znajomości życia”, „życie trzeba brać takim, jakie ono jest”, „wszyscy to robią”. Słowem wolałbym, żeby słowa szły z myśli i z serca, choćby się potykały, niż żeby gładko spływały z gotowego zapasu nic nie znaczących frazesów.

Rzadszy i poważniejszy gatunek nienaturalności pochodzi z przewrażliwienia i z konfliktów wewnętrznych. Trudno, aby z doskonałą swobodą, prosto i dla każdego zrozumiale zachowywał się na przykład ktoś, kto z jednej strony jest chorobliwie nieśmiały i ma ochotę uciekać od ludzi, a z drugiej odczuwa dojmującą potrzebę towarzystwa i przyjaźni. Ciężkie konflikty rozgrywają się też w jednostkach owładniętych namiętnością, ambicją lub nienawiścią, gdy jednocześnie mają wrażliwe sumienie i umiejętność samokrytycznego spojrzenia. Gdyby Krysia rozumiała swego chłopaka, to przyjmowałaby jego sztuczność i trudność wysławiania jako największy i najprawdziwszy komplement.

Za szczególny gatunek nienaturalności można uznać snobizm, będący próbą podnoszenia się w cudzych oczach nie przez rzeczywiste własne cechy i osiągnięcia, lecz przez styczość z posiadającymi prestiż przedmiotami, instytucjami lub osobistościami. Snob kupuje drogi obraz nie dlatego, że go woli od oleodruku, ale dlatego, że ma nadzieję w ten sposób podnieść swój prestiż w oczach znajomych. W tym samym celu nabywa w komisie najdroższy angielski kapelusz i chodzi do filharmonii. Stara się budzić podziw nie dobrym wynikiem na bieżni, ale fotografią w towarzystwie Krzyszkowiaka. Napomyka o znajomych pisarzach, ambasadorach czy uczonech. Jeśli jest człowiekiem dawnego pokroju, to szczyli się tym, że jego „pra-pra-pra-pradziad z królem chodził za pan brat” [J. Porazińska: *W Wojtusiowej Izbie*. Czytelnik, Warszawa 1964.]

Snobizm, będąc sztucznym wywyższaniem się, jest zabawny, ale zabawne jest także wytaczanie przeciw niemu ciężkiej artylerii oburzenia i potępienia.

## Przeszkadzanie

*Noli turbare circulos meos!*  
(*Nie niszczyć moich kół!*)

Archimedes

Na dworze szarówka, ale w świetlicy pusto. Korzystając z tego wczasowicz otwiera radio, trafia na świetny koncert i reaguje na powracający jego motyw tym osobliwym przeżyciem, które ze wszystkich dreszczy i dreszczyków rozkoszy jest najbliższe szczęściu.

Wchodzą trzy panie.

— O, jaki piękny koncert — powiada jedna i wszystkie trzy siadają.

— Co to może być?

Słuchają.

— Może Chopin?

— A może Beethoven.

Słuchają.

— Brzmi jak Wagner.

Słuchają.

— Może Wagner, a może Bach.

Słuchają nieco dłużej. Może naprawdę przemówiło do nich solo na fortepianie? Nie. Po minucie zaczyna się na nowo:

— Pięknie gra.

— Fantastycznie!

— Co za uderzenie!

— I co za precyzja!

— Kto to może być?

— Może Smidowicz!

— Może Hesse-Bukowska!

— Może Ekier.

— Może...

Wczasowicz zrywa się i wychodzi trzaskając drzwiami.

— Co mu się stało? — zapytuje jedna z pań.

— Może...

Następna scena jest także autentyczna i także ilustruje przeszkadzanie z bezmyślności rodem:

— Wojtek!

— A co?

— Nie śpisz?

— Zasypiałem...

— Ale nie spałeś?

— Nie, a co?

— Nic, chciałem się tylko zapytać, czy jutro odstąpisz mi deser?

Odtworzone na papierze tego rodzaju spięcia brzmią humorystycznie, ale w życiu 'biją w uszy i nerwy tonem wcale nie zabawnym:

— O której odchodzi pociąg do Gdyni?

— O 8.20 i 16.40.

— Innych nie ma?

— Nie.

— Jest pani pewna?

— Tak.



- Ale może pani sprawdzi. Ja kiedyś jechałem innym.
- Innego nie ma.
- Zaraz, to może pani jeszcze powtórzy?
- O 8.20 i 16.40.
- O 8.20 i 16.40?
- Tak.
- A późno wieczorem? Tak, około dziesiątej?
- Nie ma takiego! Już panu mówiłam, że nie ma!
- Ale dlaczego się pani denerwuje? Zapytać nie można?

Nawet anioł odczuwa podmuch nienawiści względem radiochama, który przebijając ścianę sprawozdaniem z meczu nie pozwala skupić się nad podręcznikiem, względem kinochama komentującego obraz i względem wczasochama, który wrzaskami, piskami i gonitwami na korytarzu „urozmaica” odpoczynek współmieszkańcom.

Ogólnie biorąc przelotną lub trwałą niechęcią darzymy każdego, kto przeszkadza nam w odpoczynku lub w pracy, każdego, kto zastępuje nam ścieżkę lub drogę. Denerwuje nas gruby jegomość zagradzający przejście w tramwaju, gość przychodzący akurat wtedy, gdy nam się dobrze czyta, nie nadażający uczeń lub towarzysz wycieczki, brat szukający okularów, gdy znajomi już po nas zajechali, znajomy zasypujący nas prośbami i poleceniami, dyskutant nie dopuszczający innych do głosu albo babcia prosząca o zmianę okładu, gdy śpieszymy się do kina.

Od sporadycznego gorsze jest przeszkadzanie stałe. Najwięcej okazji nastęrcza do niego wspólne mieszkanie, łazienka, kuchnia. Nawet z „delikatną” koleżanką. Słyszałem charakterystyczny jej opis: „Wchodzi do pokoju, gdy się uczę. Oczywiście, przedtem puka. Widząc, że pracuję, pyta, co robię? — Uczę się — odpowiadam. — O, to nie będę ci przeszkadzać — oświadczam, staje przed lustrem i klepie się po twarzy. Nie wyobrażasz sobie, jak długo można się klepać po czole, po policzkach, po nosie i po szyi. To się powtarza co najmniej dwa razy dziennie”.

Przypomnijmy też sobie, ile złości nagromadzić się może wokół stojącej w przedpokoju skrzyni współlokatora. Kłaniam się tym domownikom, którzy nigdy nie milczą i swymi głosami wypełniają każdy kąt nawet największego mieszkania. Wspomnę i o tym koledze z akademika, który w sobotę wraca po północy, zapala światło, zwleka z położeniem się spać, a protestującym kolegom niezmiennie odpowiada: „Wyśpicie się rano, jutro niedziela”. I wspomnę o tej młodszej siostrze, która parę razy na godzinę pyta starszą: „Gdzie jest cukier? Nie widziałaś mojej torebki? Co się mogło stać z moją kurtką? Nie wiesz przypadkiem, gdzie położyłam klipsy?”

Głupie, codzienne przeszkadzanie niby nie jest problemem, a jednak psuje międzyludzkie stosunki pewniej i gorzej niż prawdziwe spory.

Rzeczywistym powodem rozejścia się Iksów była jej gadatliwość, ciągle odzywanie się do męża, długie i głośne telefoniczne rozmowy i ściąganie do domu znajomych na małą pogawędkę. Mąż za to odgrywał się w nocy — potężnie chrapał!

Zmacona woda staje się czystą, gdy stoi w spokoju — powiada Lao-tse. Rozdrażniony człowiek uspokaja się w ciszy i samotności. Bezustanny kontakt choćby z bliskimi i drogimi nuży i męczy. „Nawet jeśli jesteś pewna, że mąż ceni twoje towarzystwo ponad wszystko inne, dawaj mu od siebie odpocząć” — pisała mądra matka do córki na wakacjach.

Niechęć może wzbudzić nawet czysto psychologiczne przeszkadzanie. Pan B. w ciągu miesiąca zmienił swój stosunek do dawnych przyjaciół, choć nie miał z nimi żadnego sporu, choć nic się nie stało, choć z nimi nie zamieszkał. Co się za tym kryje? Otóż pan ma ochotę zrobić coś, co spotkałoby się z dezaprobatą przyjaciół. Ta dezaprobata nie byłaby agresywna, może nawet nie wyraziłaby się w słowach, niemniej byłaby niewątpliwa. Pana B. krępuje istnienie przyjaciół i stąd niechęć do nich.

Wyodrębnijmy cztery rodzaje przeszkadzania:

1. Przeszkadzanie z bezmyślności i niezdarności, na przykład „włożenie pod rękę”, „płatanie się pod nogami” przysłanego do fabryki praktykanta, dla którego nie znaleziono sensownego zajęcia.
2. Przeszkadzanie pochodzące z egocentrycznego zaabsorbowania sobą, gdy na przykład żona chirurga telefonuje do szpitala zanudzając męża pytaniami i prośbami.
3. Przeszkadzanie zamierzone i konieczne ze względu na dobro indywidualne lub ogólne, na przykład „przeszkadzanie” cwaniakowi, który szuka sposobu wejścia do lekarza poza kolejką,

„przeszkadzanie” robotnikom w popijaniu wzmocnionego piwa podczas pracy, „przeszkadzanie” dziecku w zabawie zapalkami.

4. Przeszkadzanie wynikające z konfliktowej sytuacji, na przykład z sytuacji żony, która z obowiązku trwa przy nieuleczalnie chorym mężu, ale patrzy na niego jak na przeszkodę uniemożliwiającą jej połączenie się z ukochanym mężczyzną; wszystko ją w chorym denerwuje, jego głos, uśmiech, nieśmiałe prośby, a nawet zawstydzienie i delikatność upokorzonego chorobą człowieka; wszystko ją w nim złości, bo złości ją jego istnienie: opiekuje się nim dość troskliwie, a jednocześnie przy każdej sposobności dokucza mu, obrzydza życie, „mści się”.

Ujmując rzecz najszerzej powiemy, że człowiek skłonny jest niechętnie lub wrogo odnosić się do każdego, kto zagradza mu drogę do zaspokojenia jakiejś silnej potrzeby. Trzeba tylko szybko dodać, że niesłusznie mówiąc o silnych potrzebach mamy zwykle na myśli tylko stół i tapczan, a nie doceniamy potęgi potrzeb psychicznych. Tymczasem w codziennych stosunkach między jednostkami wrogie uczucia pochodzą najczęściej z frustracji właśnie tych mniej konkretnych potrzeb. I tak na przykład odczuwam niechęć do A., bo — choć może sobie tego nawet nie uświadamiam — jego pytania i przechwałki niepokoją moją potrzebę dobrego o sobie mniemania; nie lubię B. gdyż jego błyskotliwość i zwyczaj monopolizowania rozmowy utrudnia mi zaspokojenie potrzeby zwracania na siebie uwagi; podobnie C. wydaje mi się antypatyczny, gdyż często krytykując mnie przy świadkach i odsuwając od wszystkich ważniejszych prac, uniemożliwia mi zaspokojenie potrzeby znaczenia. Analogiczne są źródła sympatii. Lubię D., gdyż zawsze okazując radość na mój widok zaspokajają moją potrzebę akceptacji; lubię E., gdyż ceni moje rady i entuzjazmując się pomysłami zaspokajają moją potrzebę znaczenia; lubię F., gdyż użyczając ucha zwierzeniom, a nawet się o nie upominając zaspokajają moją potrzebę serdeczności i bliskości; wreszcie lubię G., gdyż chętnie służąc mi pomocą, troszcząc się o moje zdrowie, a także przysparzając mi zaufania do własnych sił zaspokajają moją potrzebę bezpieczeństwa.

Niechęć, jaką do kogoś żywimy, pochodzi często nie z poznania istotnych wad jego charakteru, lecz stąd, że nam on na co dzień przeszkadza. Podobno Rzymianie nienawidzili Nerona nie za jego występki i zbrodnie, ale za to, że zbudował w środku Rzymu pałac, który zagradzał drogę do targowiska.

## Zrządzenie

*Na gańcę:  
Wszystko ganisz, nic w żadnym nie pochwalisz domu,  
Nikt ci się nie podoba i ty też nikomu*

Wespazjan Kochowski

Regularnie i monotonicznie Adamowa wypomina mężowi, jak nadludzkim wysiłkiem jest dla niej prowadzenie gospodarstwa. Adam niecierpliwi się. Ostatecznie jest ich tylko dwoje, nie ma potrzeby pieczenia ciasta co niedzielę, zupy można robić z torebki i nie zawsze na drugie danie musi być mięso, kartofle i jarzyny. Na nic tłumaczenie! Adamowa dalej staje w kolejkach, pracowicie skrobie włoszczyznę, skubie drób, piecze leguminy i żąda tylko tego, by mąż wysłuchiwał jej gderania. Tylko!? — Milszy i zdrowszy jest kupny makaron zajadany z uśmiechem niż indyk podlany gderaniem.

Żona Julka jest inna. Nikomu nie wymawia, że jak większość kobiet pracuje więcej od męża, nawet nie narzeka, że jej ciężko, ale niech tylko w jej schludnej kuchni jakiś pomocnik postawi garnek nie na swoim miejscu, a zaraz wysłucha parominutowego kazania zakończonego wezwaniem do szanowania jej pracy. Niedawno miałem przyjemność usłyszeć następujący monolog:

„Zawsze bierzesz nie ten garnek, co trzeba. To najlepszy garnek, do mleka. A ty, jak przesmażasz powidła, to zawsze je przypalasz. Potem się go doskro bać nie można. Jestem dziś w tak dobrym humorze, że nic nie mówię, ale ostatnio, jak skrobałeś tamten stary garnek do mleka, który też przypaliłeś, to poodpryskiwała emalia. Nic nie mówię, tylko szkoda marnować rzeczy”. Czy można więcej powiedzieć?

U Karola znów jest odwrotnie. Dokonał on prawdziwego cudu. Ożenił się z promienną Lusią, tą samą Lusią, która potrafiła dojrzeć coś zabawnego i dobrego prawie w każdej sytuacji. A Karol potrafił ją „zgasić”. Dokonał tego zgodnie ze swoją misją życiową. Jest czarnowidzem i kogo może na czarnowidztwo nawraca. Ma wyostrzony wzrok i słuch na wszystko, co ohydne i podłe.

- Wystąpię z krytyką organizacji naszego biura — powiada do niego kolega.
- Tylko się narazisz — brzmi odpowiedź.
- Zapisalem się na zaoczne — chwali się brat.
- Nie dasz rady — powiada Karol.
- Kocham się — zwierza się znajoma.
- Będą kłopoty — przewiduje Karol.

Inny typ ponuraka ze szczególną intensywnością przeżywa wszystkie braki. Od dzieciństwa uważa się za pokrzywdzonego. Ma pretensje do rodziców, że go finansowo nie wspierają, do personalnego, że mu nie daje podwyżki, do inżyniera, że innym więcej pomaga, do sympatii, że woli w większym towarzystwie iść na potańcówkę niż z nim na kawę, do... nie, gdybym chciał wyliczyć wszystkie jego pretensje, stałbym się równie nudny jak on.

Ciekawe, że jak pesymista lubi drapować się w togę trzeźwości, tak zrzęda podnosi swoje stetryczenie do rangi postawy. Mając talent do wyławiania obrzydliwości z krupniku lub z życia znajduje w tym moralną satysfakcję. Skąd mu się to bierze? Jak się to stało, że najczęściej odgrywa on długą taśmę zrzędzenia?

Zachodzi sześć możliwości:

1. Stylu bycia czy rozmowy uczymy się głównie przez naśladowanie. Wzorem są rodzice i inni dorośli, wzorem — dodajmy — kopiowanym często tylko w najgorszych fragmentach. Dając wyraz każdemu niezadowoleniu bardzo, być może, naśladujemy najbliższych.

2. Zrządzenie może być sposobem zwrócenia na siebie uwagi i budzenia uczuć opiekuńczych. Smutna minka, lzy i wołanie, że brzusek boli, sprowadzały w dzieciństwie pieśczętę i pociechę. Nagradzane w ten sposób postępowanie utrwaliło się. Mniej lub więcej świadomie narzekający

liczy na współczucie, życzliwość, może nawet pomoc. „Czasami — powiedziała mi w zaufaniu rozpieszczona panienska — mówię w domu, że mnie głowa boli, choć to nieprawda. Ale lubię, gdy się mną przejmują”. Powiedziała to bardzo ładnie, ale muszę ją przestrzec: narzekając, drogą autosugestii stworzy sobie rzeczywiste cierpienia lub powiększy istniejące. Narzekając dziś z dobrym skutkiem wyrabia sobie przyzwyczajenie do narzekania i za ileś lat będzie dalej gderać, choć wtedy otrzyma w zamian tylko znudzone lub zniecierpliwione spojrzenie obojętnego człowieka. Narzekanie przechodzi w nawyk. Nawykiem jest dostrzeganie przede wszystkim niekorzystnych stron każdej sytuacji i złych cech każdego człowieka. I myślowym nawykiem jest martwienie się lub znoszenie do towarzystwa wszystkich zasłyszanych okropności. A nawyk, raz przyswojony, trwa nawet wtedy, gdy jest nieprzydatny albo wręcz szkodliwy.

3. Gderanie może być także wyrazem postawy obronnej: „Nic już więcej dać nie mogę”. Opowiadanie o złym samopoczuciu, stałym zmęczeniu, przepracowaniu i chorobie bywa sposobem unikania dodatkowych prac i obowiązków, a nawet spychania na innych podjętych już zadań. „Potrzebuję dużo więcej, niż otrzymuję, a dawać mogę dużo mniej” — zdaje się mówić ten typ gderacza. Albo: „Robię rzeczy tak ważne, odpowiedzialne i trudne, jestem tak przeciążona pracą, że naprawdę nie mogę opiekować się matką, że naprawdę szaleństwem byłoby spodziewać się ode mnie jeszcze pracy społecznej”.

4. Spokrewnione z powyższym jest narzekanie na złośliwość ludzi i losu, będące w istocie usprawiedliwianiem się. Ten, kto tak narzeka, sugeruje, że nie słaby charakter lub mizerne zdolności winne są jego niepowodzeniom, lecz choroby, pech i kliki. Gdyby te złe moce nie sprzysięgły się przeciw niemu, jego gwiazda błyszczałaby nie dużo niżej, lecz dużo wyżej od gwiazd dawnych kolegów.

5. Dorabianiem „filozofii” do rzeczywistego upośledzenia jest stanowisko osobnika o ponurym usposobieniu, który głosi, iż usposobienie pogodne jest znakiem ślepoty, głupoty lub co najmniej braku wrażliwości. Mając wyostrzoną uwagę na wszystko, co drapieżne i niebezpieczne, bolesne i upokarzające, będąc samemu ofiarą depresji, apatii i może kompleksu niższości, chce wierzyć i wierzy, iż tylko kretyni mogą z uśmiechem chodzić po ziemi.

6. Na koniec zrządzenie może pochodzić z powszechnej skłonności do niedoceniań cudzych trudów i cierpień, a wyolbrzymiania własnych. Od tego naturalnego nastawienia jest tylko krok do licytowania się cierpieniami i nieszczęściami. — Co, Ania żąda współczucia, bo tyje? A ja mam chorą wątrobę! Co, Zosia zarabia „tylko” 1800 zł! Ja wprawdzie zarabiam 2500 zł, ale mam cztery osoby na utrzymaniu. Stąd przestroga Goethego:

*Znoś, jak możesz swoje bole,  
A nie żal się na złą dolę.  
Bo jedną skargę na los, co cię dręczy,  
Przyjaciel zaraz tuzinem odwdzięczy.*

[W. Goethe. Wybór wierszy. Biblioteka Narodowa. Wrocław 1955., s. 338].

Lecz uwaga! Podejrzewanie innych o to, że swoje dolegliwości wyolbrzymiają, bywa sposobem tłumienia poczucia obowiązku. „To histeria — powtarzam sobie po cichu — uspokoi się, gdy wyjdę”, i „dla jego własnego dobra” opuszczam cierpiącego, który potrzebuje opieki lub przynajmniej tej ulgi, jaką dać może obecność względnie bliskiego człowieka. Jakże łatwo jest uwierzyć w to, w co wierzyć jest wygodnie!

I jeszcze jedno! Nie nazywajmy zrzędą każdego, kto napomyka o swoich bolączkach i dolegliwościach. Każdy człowiek tak często robi coś, na co nie ma ochoty, tak często nie robi czegoś, na co ma ochotę, że gdy czasem wyrwie mu się krótkie westchnienie, nie powinniśmy zaraz otwierać ognia z ciężkiej artylerii morału o męskim charakterze. I nie bądźmy niecierpliwi, gdy ktoś, odczuwając potrzebę wyżalenia się, potrzebuje naszych uszu i serca. Miałbym za złe przyjacielowi, gdyby cierpiąc czy mając kłopoty nic mi o tym nie wspomniał. Także i sam nie chcę skazywać się na milczenie. Mam nadzieję, że zawsze znajdzie się ktoś, do kogo będę mógł pójść ze swoim smutkiem. Proszę, aby w takiej godzinie nie oczekiwał on po mnie ani kawałów, ani dysputy o filozoficznych przesłankach fizyki.

## Agresywność

*Kaleczą się i dręczą milczeniem i słowami,  
jakoby mieli przed sobą jeszcze jedno życie,*

T. Różewicz

- A. — Podobno jest pan dziennikarzem?  
— Tak.  
— Czytałem w „Problemach” doskonały artykuł. Autor powiada, że wszyscy dziennikarze są dyletantami, nie mającymi pojęcia o tym, co piszą. Poza tym są kłamcami, bo przecież...
- B. — Co tam zaglądasz?  
— Nic. Oglądam twoje książki.  
— I tak ci żadnej nie pożyczę! Zamknij szafę.
- C. — Dlaczego nie sprzątnęłaś pokoju?  
— Nie miałam czasu.  
— Nigdy nie masz czasu!
- D. — Nie rozumiem, kiedy używamy tego odczynnika?  
— Chyba nie chcesz zrozumieć!
- E. — Pytasz, skąd o tym wiem? Czy mi nie wierzysz? Nie będę dyskutować z kimś, kto mnie obraża!

Rodzajem agresywności jest łatwość oskarżania. Młoda nauczycielka złamała rękę i dostała trzy tygodnie zwolnienia. Meldując o tym dyrektorce chciała na zakończenie powiedzieć, że całego zwolnienia nie wykorzysta, że przyjdzie do szkoły już za tydzień. Ale dyrektorka nie pozwoliła jej skończyć: „Co!? Trzy tygodnie zwolnienia na złamanie ręki! Ja to muszę wyjaśnić!” „Bardzo proszę — odpowiedziała nauczycielka, tracąc w gniewie dobrą wolę. — Będę czekała w domu, aż to pani wyjaśni!”

Agresywne wzajemne oskarżenia występują zwłaszcza w sporach o winę:

- Gdybyś mnie tak późno nie zawiadomił, to zdażyłbym.
- Gdybyś wcześniej się ze mną spotkał, tak jak chciałem...
- Dawno mogłeś zatelefonować! Tylko że nie byłbyś sobą, gdybyś coś zrobił bezinteresownie.
- A może ty jesteś bezinteresowny?

W takich sporach mających początek w drobnej wymówce, a kończących się na ciskaniu oskarżeń trudno ustalić, „kto zaczął?”; natomiast łatwo można uniknąć kłótni biorąc winę na siebie:

- Gdybyś mnie tak późno nie zawiadomił, to zdażyłbym.
- To prawda, przepraszam!
- Inna rzecz, że wczoraj mieliśmy się spotkać i ja nie mogłem.
- Powinienem być zatelefonować.
- Nie mogłeś wiedzieć, że to dla mnie takie pilne.

Rezultatem pierwszego dialogu jest podmuch wrogości, rezultatem drugiego — wzmocnienie przyjaźni.

Reakcją na agresywne oskarżenia jest przeważnie kontratak lub trwanie przy swoim „na przekór całemu światu”.

- Zawsze masz humory, gdy jest Niusia!
- A ty zasnęłaś, gdy była moja mama.

Albo:

— Tak, teraz, na działkę przychodzisz, bo nie masz pieniędzy na wódkę, bo kumple ci nie stawiają.

Czy normalną reakcją na takie oświadczenie nie jest szukanie wódki i kumpli?

Wielu osobników idzie przez życie stylem zaczepno- obronnym, odnosząc się do otoczenia to z drwiną, to z jadem. Na każdym kroku wywołują konflikty. Ich życie jest ciągiem starć i sporów. Gdy argumentują, czynią to gorączkowo, krzykliwe, swarliwie. Łatwo podnoszą głos. Prawie każdy kontakt z człowiekiem jest dla nich obroną lub atakiem. Jeśli akurat na nikogo nie napadają, to przynajmniej głoszą swoje credo, że o wszystko trzeba się wyklócić: opowiadają o sporach z dozorcą o klucz do bramy, z kierowcą taksówki o wydanie reszty, z ekspedientką o wagę, z dzieckiem o niszczenie ubrania. To im poświęca prof. T. Kotarbiński następujący cztero wiersz:

*Jeż grożącego wroga czujnym noskiem woń ssie,  
Kolce szczerząc, gdy mu węch podpowiada: Broń się!  
I kontent. Więc to powtórz każdemu, ktoć szepnie,  
Iż chcąc żywot zachować, trzeba żyć zaczepnie.*

Osobnicy agresywni są przeważnie nietolerancyjni, apodyktyczni i nietaktowni. Sama ich obecność męczy i sprawia przykrość. Kto może, ten ich unika. Pozbawieni ludzkiego ciepła wciąż robią sobie nowych wrogów (bo agresja prowokuje kontratak). Coraz bardziej gorzknieją i coraz częściej atakują. Błędne koło z dziedziny psychopatologii.

A skąd im się to bierze?

Skłonność do agresywności i gniewu może być spowodowana przez:

1. Wyniesione z dzieciństwa przykłady i inne społeczne wzory. (Ciekawe, że w Japonii, gdzie nie do pomyślenia jest gniew kobiety na mężczyznę, gniew ten nie istnieje lub przynajmniej nie ujawnia się, a i u nas, choć kobiety mają raczej więcej powodów do irytacji, to jednak irytują się chyba rzadziej.)
2. Pochodzące z dzieciństwa urazy, pamięć upokorzeń i ośmieszania.
3. Zaburzenia fizjologiczne (zwłaszcza miażdżyca mózgu, niektóre choroby przewodu pokarmowego, serca i gruczołów).
4. Przejściowe stany organiczne, na przykład głód, a przede wszystkim zmęczenie i niewyspanie.
5. Przejściowe, nawet małe ilości alkoholu albo wywołane nim trwałe zmiany.
6. Aktualne niepowodzenia, niestabilna sytuacja zawodowa lub rodzinna, autokratyczne kierownictwo, spędzanie wielu godzin w agresywnym otoczeniu, męczące, nie rozwiązane konflikty, muliste pokłady starych żalów i utajanych pretensji, wpływające na wierzch za lada poruszeniem.
7. Długotrwałe udaremnianie zaspokojenia ważnych potrzeb. (Nie jest prawdą, że sukcesy i miękkie życie czynią ludzi twardymi; groźniejszy wpływ na charakter mają niepowodzenia; dnie najeżone przeszkodami i otoczenie najeżone humorami wypaczyły niejednego charakter i zrujnowały niejedno współzycie.)
8. Dyspozycja do gniewu — nawet o drobnostki — w stosunku do określonego człowieka może pochodzić z żywionej w stosunku do niego wrogości, która nie zawsze jest uświadomiona.

## Gniew

*Różnica między gniewem a obłędem  
sprowadza się do czasu trwania.*

Katon

Wolę towarzystwo miłego, opanowanego nicponia niż wątrobiarza, który o byle co warczy i zębami kłapie. Nie chcę też mieć do czynienia z jego bliskim kuzynem, tym, który wykrzywia się, gdy ktoś wolniej od niego pojmuje i wolniej pracuje. Brak opanowania to mała wada? Każda wada zatruwając współzycie jest wielka. I każdy, kto innym życie uprzykrza, w konsekwencji sobie je także utrudnia.

Dlaczego nie uchodzi za jeden z grzechów głównych zatruwanie życia bliźniemu, choćby tzw. drobnostkami: pokazywaniem humorów, opryskliwością, dokuczliwością?

Humory szefa mogą obrzydzić pracę, humory rodziców obrzydzić dom, humory sympatii — jej miłość. Znam ludzi, którzy na zawsze uciekli z domu lub rzucili pfacę z powodu awantur, i to awantur o głupstwa. Znam innych, którzy nie mają przyjaciół, nie są kochani nawet przez najbliższych, bo pozwalają sobie na ostre słowa i dzikie miny. Znam takich, których własne humory wpędziły w mizantropię: zrazili do siebie otoczenie (ludzie dłużej pamiętają złość niż uczynność) i teraz sami niechęcią odpowiadają na niechęć. I wreszcie znam takich, którzy przez wybuchy złych humorów doszli do nerwic. (Złośnik nieraz cierpi na podświadomy lęk — może lęk przed karą.)

Ponieważ nadto — jak powiada hinduska maksyma — nie należy doprowadzać do gniewu kucharza, poety, lekarza, tego, kto ma nóż w ręku, pana, bogacza ani tego, kto zna twoje słabości, słowem nikogo i ponieważ za wybuch odpowiedzialne są obie strony, ta, która nie potrafiła się pohamować, i ta, która rzuciła iskrę, warto zrobić przegląd najczęstszych przyczyn zniecierpliwienia i gniewu.

Obserwacje niemowląt wykazały, że pierwszym powodem gniewu są ograniczenia swobody ruchu, na przykład trzymanie za nóżkę. Kilkanaście lat później najczęstszą przyczyną spieć, sporów i awantur są zakazy. Człowiek dorosły nie różni się pod tym względem od dziecka i młodzieńca. Złości go ograniczenie swobody narzucane mu czy to przez rodzinę pytającą, gdzie idzie, czy też przez szefa dysponującego jego czasem.

Rodzajem ograniczenia swobody są przeszkody. Irytują trudności, krzyżowanie planów, nawet drobna złośliwość martwych przedmiotów. Byłem świadkiem wściekłości spowodowanej zacięciem się zamka i widziałem miotanie się człowieka, który nie mogąc znaleźć kluczy, obwinia o bałagan wszystkich domowników, po czym znajduje zgubę w kieszeni.

Przeszkodą jest także sprzeciw. Obserwowałem zaciskanie pięści u choleryka, gdy na jego propozycję przechadzki po lesie ktoś ośmielił się wystąpić z projektem spaceru wzdłuż rzeki; słyszałem awanturę przy budowie drogi, gdy kierownik zażądał dwunastogodzinnego dnia pracy, a robotnicy nie chcieli się zgodzić.

Najbardziej wybuchowo reagują na sprzeciw osobnicy nie przyzwyczajeni do odmowy: zepsuty jedynek, rozpieszczona jedynaczka, „wielki” dyrektor. Terroryzując otoczenie gniewem, prosperują dość dobrze ale do czasu.

Dalej przeszkodą jest przeszkadzanie. Oto Walek przygotowuje się do czekającego go nazajutrz egzaminu. „Pomóż mi otworzyć szufladę” — prosi siostra. Po chwili: „Pomóż mi przetłumaczyć to zdanie”. Po chwili: „Zadzwoń do Jurka i umów go ze mną, ale delikatnie, żeby się nie domyślił”. Walek czerwieni się, wrzeszczy: „Nie rozumiesz, kretynko, że się uczę!” Zdarza się, że taki wybuch uderza w kogoś niewinnego. Syn pracuje. Współlokator przeszkadza mu głośno nastawionym radiem. Wchodzi matka: „Co ci dać na kolację?” — „Nie widzisz, że jestem zajęty” — parska na nią syn, uprzednio rozdrażniony przez radio. Albo znów ojciec od paru miesięcy nie może skończyć pracy, którą pisze w domu: „Czemu mi się ciągle tu płaczesz?” —

ryczy ni stąd, ni zowąd na córeczkę i przynajmniej w tym momencie wierzy, że to domownicy są winni jego, brakowi koncepcji.

Denerwujące właściwości gadulstwa pochodzą między innymi stąd, że ono nam przeszkadza. Przeszkadza mówić, odpoczywać, myśleć, skupić się, słuchać kogoś innego lub pracować. „Nudziarz — pisał Tuwim — to gość, który gada, gdy ja mam ochotę mówić”.

Przeszkadzaniem są także niedorzeczne lub nieuzasadnione wymagania („Ja chcę mieć skuter” — powtarzane parę razy dziennie), robienie głupich trudności („Bez tej chusteczki nie wyjdę” — a chustka przepadła) albo tak zwane zawracanie głowy:

- Poszłabym do Iksińskich.
- Dobrze, chodźmy!
- Choć z drugiej strony zawsze u nich nudno.
- To lepiej zostaniemy w domu.
- Ale, a nuż będą tam Igrekowie?
- Jeżeli chcesz spotkać Igreków, chodźmy do Iksińskich.
- Ale nie mam ochoty wychodzić z domu.
- Ja też, zostaniemy.
- Ty, jak nie masz na coś ochoty, to już nie chcesz. Tak nie można.
- Dobrze, chodźmy, tylko już nie gadaj!!!
- Czemu się złościysz? Porozumieć się z tobą nie można.

Specjalnie wybrałem przykład rozmowy z istotą, która każdego może wyprowadzić z równowagi, ale też jest wiele słuszności w powiedzeniu, że nic tak dobrze nie charakteryzuje człowieka, jak jego sposób odnoszenia się do głupców.

Zauważono, że dzieci wybuchają częściej niż dorośli, a starzy i chorzy częściej niż osoby w sile wieku.

Obserwacja ta nasunęła przypuszczenie, że żyznym podłożem gniewu jest bezradność. Istotnie, każdy człowiek jest co najmniej rozdrażniony, gdy się znajdzie w ciężkim położeniu, z którego nie widzi wyjścia, lub gdy stoi przed zadaniem, które przekracza jego możliwości.

To samo odnosi się do całych zespołów. Gdy do oddziału wpłynie nagle, terminowe zamówienie, gdy ambicja i poczucie odpowiedzialności żądają wywiązania się z niego, a tymczasem brak jest sprawności, ludzie tracą głowę i o byle co wybuchają scysje.

Z adrażnionej miłości własnej poświęcono osobny rozdział. Tu wystarczą ilustracje wywołanego przez nią gniewu:

- Znowu brudny widelec!
- Głupstwo.
- Dla ciebie wszystko jest głupstwem.
- A ty ze wszystkiego robisz tragedię!
- Gdybym się zabiła, też powiedziałbyś „głupstwo”!
- Nie. Powiedziałbym „chwała Bogu!”

Słowa „chwała Bogu!” rzucone były z gniewem, i to przez „głupstwo”! To głupstwo było typową uwagą mającą działać uspokajająco, a w istocie dolewającą oliwy do ognia. „Głupstwo” zostało zrozumiane jako równoznaczne z powiedzeniem „Jesteś głupia, że się czymś takim przejmujesz”.

Inny przykład:

- Weź mnie ze sobą.
- No dobrze.
- Nie, nie chcę.
- To nie. Ale co ci jest?
- Nic — i oboje się dąsają. Dlaczego? Bo to „no dobrze” było powiedziane tonem łaskawego przyzwolenia.

I jeszcze inny:

- Przecież mówiłem, żeby tę ulicę zaprojektować tylko do placu.
- Ponieważ leży ona wyżej, sądziłem, że będzie lepiej, jeśli otworzymy perspektywę na pola.
- Ale ja kazałem uciąć ją na placu! — wybucha kierownik, dotknięty słuszną uwagą urbanisty.



Następną dużą grupą przyczyn gniewu jest wszystko, co może być odczute jako „akt agresji”, a więc:

1. Oskarżenia („To przez ciebie!”, „Nigdy nie jesteś zadowolony!”, „Tobie zawsze mało!”),
2. Niesprawiedliwe zarzuty („Ty się wcale nie starasz!”, „Pożyczasz moje książki, a ja potem ich szukam”).
3. Wspominanie czegoś, czego się nie da odrobić („Jak mogłeś być tak nieuważny? Odpowiedz mi!”, „Gdybyś wcześniej wstał, nigdy by do tego nie doszł!”)
4. Uparte czepianie się słów („Przed chwilą mówiłeś, że nie jesteś głodny, a teraz chcesz kompotu”).
5. Spieranie się o byle co („Co też wygadujesz? Blickle nigdy nie robił Mokki”, albo „Nic podobnego! Jakiś ty głupi! Muszka wcale nie musi być jedwabna!”)
6. Opryskliwość ( — Czy gile odlatują? — Co? — Zastanawiam się, czy gile odlatują? — Jakie znowu gile?!)
7. Absolutna pamięć do wszystkich błędów i potknięć („Doskonale pamiętam, że cztery lata temu tak samo upierałeś się, by pojechać na jeziora, a potem lało cały czas i mieliśmy zmarnowane wakacje!”)
8. Przysłapanie na kłamstwie („Sam widziałem, że przygotowywałeś się trzy miesiące, a nie, jak teraz mówisz, trzy tygodnie”. „A przed chwilą mówiłeś, że nigdy tej książki nie widziałe!”)
9. Pretensje i gderliwe pytania, na które nie ma odpowiedzi („A co powie ojciec, gdy się dowie, że masz dwóję?”, „Dlaczego ty nigdy niczego porządnie nie zrobisz?”, „Więc to ciebie nic a nic nie obchodzi?”, „Jak mogłeś zgubić takie drogie pióro!”).
10. Pedanteria, której celem wydaje się nie porządek, lecz złośliwość.
11. Kawały cudzym kosztem, dokuczliwość, choćby bezinteresowna, i śmiech z cudzego pośliznięcia.
12. Zdenerwowanie, które udziela się nawet tym, przeciw którym nie jest skierowane.

Zgoda — powie krytyczny czytelnik — ale te same słowa mogą wywołać u jednego osobnika przy gnębieniu, u drugiego strach, a u trzeciego gniew. Albo inaczej: te same słowa u tego samego osobnika mogą wywołać raz uśmiech, a drugi raz gniew. Ten sam współlokator, który długi czas spokojnie znosił nerwowe tiki kolegi, jego porozrzucane rzeczy i zabłocone buty, raptem wybucha z dziką awanturą.

To prawda. Rodzaj reakcji zależy od omówionej w poprzednim rozdziale trwałej lub chwilowej dyspozycji. Ale poza „iskrą”, która może być mała, i dyspozycją, która jest zmienna, istnieje proces narastania gniewu. Gniew łatwo daje się rozdmuchać. Małe dzieci nieraz dostają szału zacząwszy krzyczeć tylko trochę i podniecając się własnym krzykiem. Nie inaczej dorośli, którzy ponadto dysponują wyobraźnią i potęgą „rozmyślenia”. „Niezawodna” jest też pomoc drugiej strony: odgryzanie się jest tak naturalne, jak robienie na złość komuś, kto się już złości. Spór, który zaczął się od uwagi, że muszka wcale nie musi być jedwabna, może się przerodzić w kłótnię i zerwanie stosunków na długie lata.

Łatwo więc jest uniesienie wytłumaczyć, ale wytłumaczyć nie znaczy usprawiedliwić. Usprawiedliwić je mogą tylko przesłanki nie mające nic wspólnego z osobistym interesem lub uczuleniem, na przykład widok dużego chłopca, który bije malca za to, że ten nie chce mu przynosić dysku po każdym rzucie. Inna sprawa, że gniew rzadko kiedy wybucha w obronie słabszych. Daleko częściej jest on reakcją na sytuację, w której człowiek czuje się osobiście dotknięty. Ktoś, kogo nie poruszy widok chuliganów, strojących grube żarty ze staruszki, doświadczy „uderzenia krwi do głowy”, gdy sam stanie się przedmiotem niewinnej kpiny.

Mimo to nie piętnujmy cudzego gniewu zbyt surowo. Pamiętajmy, iż do jego wybuchów dochodzi, ponieważ wola opanowania okazuje się słabsza od pobudliwości. Ta dobra wola może być nawet bardzo duża — cóż z tego, gdy pobudliwość jest potężniejsza. Kto rozumie, że trudno opanować się człowiekowi przemęczonemu, choremu lub przegrywającemu życiową stawkę, ten wybaczy mu chwile opryskliwości. Niejeden odruch zniecierpliwienia wybacza się współmałżonkowi, który wraca do domu po ciężkim dniu, mając za sobą pasmo przykrości,

niesprawiedliwości i niepowodzeń. Od czego jest przyjaciel, jeśli nie potrafi stworzyć warunków psychicznego odprężenia, nie rozładuje burzy spokojem, ciszą lub wskazaniem na świeży pąk kaktusa!

Z drugiej strony źle się dzieje, gdy najbliższy człowiek służy wieczorem za zlew na całodzienne pomyje i brudy. Źle się dzieje, gdy liczymy się z każdym, ale nie z najbliższym. Wątpliwy to przywilej rodziny oglądanie wyłącznie dla niej zarezerwowanego zmęczenia i zdenerwowania. Słabą pociechą dla tych, którzy znają wszystkie nasze złe humory, jest refleksja, że najczęściej o nas wiedzą ci, z którymi się nie liczymy. Dżentelmenem nazwałbym człowieka, który jest grzeczny nawet we własnym domu.

A czy istnieje recepta na opanowanie gniewu? Recepty nie ma, ale są wypróbowane wskazówki:

1. Staraj się stłumić gniew w zarodku. Im więcej rzucono gorzkich słów, tym trudniej powstrzymać się od pójścia jeszcze dalej.

2. Nie wzmagaj goryczy wygrzebywaniem starych pretensji.

3. Gdy masz ochotę mówić bardzo głośno, mów bardzo cicho.

4. Zanim cokolwiek powiesz lub zrobisz w stanie wzburzenia, zadaj sobie pytanie „po co?”

5. Gdy masz powód do gniewu, powiedz sobie: „to doskonała okazja do popisania się opanowaniem”.

6. Jeśli jesteś kobietą, przypomnij sobie, że z biegiem lat częsty gniew nadaje twarzy trwałą, odstręczający wygląd.

7. Racjonalne jest także uspokajanie gniewu fizycznym wysiłkiem, gimnastyką, biegiem, froterowaniem podłogi.

Stosunkowo najtrudniej jest nie dać się sprowokować, nie odpowiadać gniewem na gniew. Pomocne okazuje się tu włączenie reakcji umysłowej zamiast emocjonalnej. Już sama obserwacja działa jak gaśnica. Oto przyglądam się rozgniewanemu panu Y. Rozumiem, że z powodu przemęczenia jego krew ma niewłaściwy skład. Widzę, że jest pozbawiony samokrytycyzmu, bo małe zdolności rozumowania idą u niego w parze z wielką dynamiką. Widzę, że w swym dążeniu natrafił na opór. Jak się miota! Jak szybko mówi! I jak dobrze. Gniew może być źródłem elokwencji. To jasne, bo przecież przy wzburzeniu krew żywiej krąży, obficie zasila mózg. Jakie gwałtowne wykonuje ruchy! To atawizm — u naszych przodków gniew łączył się zwykle z walką i dlatego powiększa ilość adrenaliny we krwi, wzmacnia potrzebę ruchu. Jaki on jest teraz malowniczy! Ale co to? Umilkł? Czeka, że ja coś powiem? Prawda, zapomniałem, że to na mnie ciskał te gromy.

Opanowanie gniewliwego usposobienia było od niepamiętnych czasów problemem i postulatem szarych ludzi i filozofów. Oto rady Plutareha:

„Zacząłem leczenie od przyglądania się gniewowi u innych. Widząc, że gniew przede wszystkim wyprowadza człowieka z równowagi i zmienia jego wzrok, cerę, chód, głos, wraziłem sobie w pamięć jakby obraz tej namiętności i ze wstrętem pomyślałem, że takiego przerażającego i wzburzonego mogłyby mnie zobaczyć kiedyś moja żona, córeczki i że nie tylko wygląd miałbym nieprzystępny i rozjuszony, ale i głos obcy, ostry i srogi.

...za chwalebne a pełne zasługi miałem owe ślubowane zobowiązania godne filozofów, by wyrzec się przez rok rozkoszy Afrodyty i wina dla uczczenia boga. wstrzeźliwością, albo znów przez określony czas powstrzymywać się od wszelkiego kłamstwa, pilnując się, by mówić zawsze prawdę i w żarcie, i na serio. Z tymi ślubami porównywałem swój, myślę, że niemniej święty i bogu miły; najpierw przeżyć kilka dni bez gniewu, tak jakby bez wina i pijaństwa, jak gdybym składał ofiary z miodu zamiast wina; następnie miesiąc, potem dwa, i tak po trochę doświadczając siebie, z czasem zrobiłem wielkie postępy w cierpliwości, wytrwale i stanowczo zachowując spokój, łagodność, uprzejmość w mowie, nie kalając się ani złym słowem, ani niepowściągliwym postępowaniem, ani namiętnością, która gwoździ krótkiej i niechwalebnej przyjemności powoduje wielkie zakłócenie spokoju, a potem sromotną skruchę” [Plutareh: O powściągnięciu gniewu 16. Moralia. Biblioteka Narodowa, Wrocław 1954, s. 277—278.]

I na zakończenie — akcent liryczny:

*Już zimny dzień jesienny zaczyna omdlewać  
I w myślach szukam kształtu twojej postaci*

*I ból, co mnie nurtuje, wszechwładną moc traci.  
Pójdziemy do ogrodu. Nie warto się gniewać.*

[ Jan Lechoń: Poezje. Czytelnik, Warszawa 1957, s. 26.]

## Zmęczenie

*Zmęczona, ledwie idzie, na kiju się  
opiera,  
Przejechana przez życie jak przez złego  
szofera.*

M. Pawlikowska-Jasnorzewska

Paniusia, która co wieczór narzeka na „potworne zmęczenie”, choć nie robi nic poza sprawianiem sobie zimowego okrycia, wywołuje tylko lekceważące wzruszenie ramionami. Lekceważące, zniecierpliwione, ale, być może, trochę krzywdzące. By zapobiec pewnej niesprawiedliwości przebijającej w takich pytaniach, jak: „Czym ty właściwie jesteś zmęczona?”, „Co takiego robiłaś?”, wymienię parę źródeł zmęczenia nie uzasadnionego obiektywnymi rezultatami pracy:

1. Konflikty wewnętrzne, trudność powzięcia decyzji, wahanie, rozterka, długotrwały brak rozstrzygnięcia istotnych, życiowych sytuacji, nie rozładowane z powodów etycznych oporów napięcia wyczerpujące jak najgorsza harówka. „Od dwóch miesięcy boli mnie głowa” — skarżył się mój znajomy. — „A od jak dawna — zapytałem — nie możesz się zdecydować, czy zostawić matkę i wyjechać z żoną na stałe do Jeleniej Góry, czy też dalej znosić napięte stosunki między matką a żoną?” — „Wiesz, to dziwne, ale też od dwóch miesięcy”.

2. Męczy i to, co się dzieje w wyobraźni. Zwłaszcza obrazy katastrof, jakie mogą się zdarzyć. Obrazy przeżyć erotycznych wyczerpują marzyciela nie mniej niż rzeczywiste doznania. Życie wyobraźnią wymaga tyle samo tlenu i powoduje takie same, jeśli nie większe napięcie, co życie rzeczywiste.

3. Także czekanie nieraz bardziej wyczerpuje niż działanie: czekanie miesiącami na ważną decyzję (wydadzą — nie wydadzą?), czekanie tygodniami na wciąż odkładaną operację, czekanie całymi dniami na obiecany telefon i godzinami na rozstrzygającą rozmowę z personalnym.

4. Czekanie męczy, bo jest przepojone uczuciem niepewności, zagubienia, nawet zagrożenia. Podobnie wyczerpuje każdy niepokój, na przykład myśl o tym, że może nie sprostam zadaniu, nie wytrzymam próby, obleję egzamin, nie dam sobie rady.

5. Wyczerpują konflikty zewnętrzne, nawet utajone, sama atmosfera, tak zwane złe stosunki w domu lub w miejscu pracy.

8. Męczy hałas i zbyt wielka ilość bodźców.

7. Męczy zbyt mała ich ilość (monotonia). Kobieta, która dzień za dniem i rok za rokiem prawie cały czas spędza sama w domu sprząając i gotując, może, nie pracując tak ciężko jak jej mąż, być bardziej od niego zmęczona. To samo odnosi się do monotonnych prac w fabrykach i biurach, zwłaszcza gdy wykonujący je odcięci są od kontaktów z żywymi ludźmi.

8. Wreszcie istnieje ucieczka w zmęczenie. Ucieczka przed pracą, przed obowiązkiem, przed odpowiedzialnością. Zmęczeniem tym 'człowiek zdaje się mówić: „Musicie zmniejszyć wasze wymagania i oczekiwania, to raczej ja mam prawo więcej się od was spodziewać”.

Dodajmy, że szybkość następowania normalnego, tj. chwilowego zmęczenia i rodzaje związanych z nim dolegliwości są bardzo różne u różnych ludzi, że przyspiesza je i zaostrza starszy wiek, zły stan zdrowia (zwłaszcza infekcje, reumatyzm, niedomogi krążenia i trawienia) oraz ogólne zachwianie równowagi nerwowej.

Ale dlaczego tyle o tym mówię?

Dlatego, że zmęczenie zwiększa wrażliwość, agresywność i wybuchowość. Zaostrza egotyzm i egoizm. Zmniejsza samokrytycyzm, utrudnia zrozumienie innych i przystosowanie się do nich. Człowiek zmęczony jest mniej niż zwykle towarzyski, jest raczej pesymistyczny, niezadowolony i — w najlepszym razie — apatyczny, nudny, nieatrakcyjny. Im zmęczenie jest częstsze i większe, tym częstsze i większe są trudności współżycia.

## Kaleczenie miłości własnej

*Kto ludźmi gardzi, musi być też od ludzi wzgardzon.*

M. Rej

Mówi się, że kobieta może przebaczyć mężczyźnie wszystkie krzywdy, ale nigdy nie wybaczy mu poświęceń. Ten żart kryje celną myśl. Łatwiej zapomnieć o doznanych krzywdach niż o zranionej miłości własnej. Łatwiej znosić wrogów niż przyjaciół podkopujących nasze dobre o sobie mniemanie.

Roman lubi i umie dobrze poradzić, a także dość chętnie służy pomocą. Mimo to jest samotny. Nawet w kawiarni przeważnie siedzi sam. Dlaczego?

Zapytałem o to jego brata, który zawdzięcza Romanowi wykształcenie i wszystko, co posiada.

— Nie mówię, że on jest zły — odpowiedział niechętnie — ale źle się czuję w jego towarzystwie. Zresztą sam spróbuj choćby pójść z nim na wycieczkę. Prędko stracisz dobre samopoczucie. Da ci poznać, że jesteś matolem bez charakteru. Gorzej! Przy nim rzeczywiście będziesz matolem.

Przykład odwrotny: Lilka jest młoda, żywa, atrakcyjna, a jej mąż jest — przynajmniej na pozór — przeciwieństwem tego wszystkiego: spokojny, trochę nudny, chłodny i pryncypialny.

— Czy ty go nigdy nie zdradzasz? — zapytałem ją kiedyś.

— Nigdy.

— Dlaczego?

— Bo — odpowiedziała bez chwili zastanowienia — on nigdy nie kaleczy moich uczuć.

Miłość własną najłatwiej dotknąć:

1. Okazywaniem lekceważenia
2. Kpiną
3. Niegrzecznością
4. Arogancją
5. Apodyktycznością
6. Autokratyzmem
7. Nieufnością
8. Wywyższaniem się

Najczęściej okazujemy l e k c e w a ż e n i e w rozmowie takim powiedzeniem jak: „Wszystko przekręcasz!”

„Zepsułeś pointę!”, „Ja to opowiem lepiej!”, „To nie tak, zapominasz o najważniejszym”. Przynajmniej w każdym razie okazujemy lekceważenie brakiem uwagi:

— Gdzie pójdziemy?

— Przed chwilą ci mówiłem.

— Nie słyszałam.

Tak, zbyt wiele żon uważnie słucha męża jedynie wtedy, gdy mamrocze przez sen.

Nie słuchać znaczy kaleczyć miłość własną, znaczy okazywać niskie mniemanie o tym, co rozmówca może powiedzieć. Tak samo — słuchać ze znużoną miną wyrażającą „wiem to wszystko”, „kiedy on skończy?”, „czego jeszcze chce?” Tak samo słuchać z roztargnieniem: „Co do mnie — pisał do syna lord Chesterfield — wolę znaleźć się w towarzystwie trupa niż człowieka z rozproszoną uwagą. Trup nie sprawia mi przyjemności, ale też nie okazuje mi lekceważenia, podczas gdy człowiek ów demonstruje, iż nie jestem wart jego uwagi”.

Osobników okazujących nam lekceważenie najchętniej mieszalibyśmy z błotem i gnojem, a że

nie zawsze jest to wykonalne i bezpieczne, unikamy ich, jak możemy. A gdy nie możemy? Wtedy narasta w nas gorycz i złość. Trudno wyobrazić sobie słodkie i spokojne współzycie w rodzinie, której członkowie nie mają dla siebie żadnego szacunku, w której matka okazuje lekceważenie ojcu, bo nie potrafi jak inni zarobić, ojciec — matce, bo nie umie rozmawiać o książkach, rodzice — dzieciom, bo źle się uczą, a dzieci — rodzicom, bo są staroświeccy i powtarzają wciąż te same dowcipy.

Trzeba podkreślić, że urazy mierzą się nie intencją kaleczącego, lecz wrażliwością kaleczonego. Zwłaszcza człowiek psychicznie nie zrównoważony, osłabiony chorobą lub starością, mający za sobą wiele klęsk skłonny jest traktować lada uchybienie jako dowód lekceważenia, a każdą niezgodność z jego poglądami jako zamach na jego autorytet.

W każdej instytucji można spotkać jednostki, które cierpią po prostu dlatego, że od kogoś zależą, upokarza ich to, że ktoś nad nimi stoi. Istnieją ponoć i tacy, którzy czują się zlekceważeni, gdy grypa ich ominie.

Tego generalnego przewrażliwienia nie należy mylić z uczuleniem miłości. Najmniejsze zniecierpliwienie i burknięcie ukochanego sprawia nieproporcjonalnie duży ból. Przy bliskim stosunku jesteśmy psychicznie obnażeni, toteż łatwo nas dotknąć. Gdzie jest duże uczucie, tam łatwo o duże cierpienie.

Skrajne wypadki przewrażliwienia nie powinny jednak przysłonić faktu, iż każdy ma swe obolałe miejsca, przy których potrącaniu bardzo cierpi. Nikomu też nie jest obca miłość własna; może nawet — jak powiada Oskar Wilde — jest ona jedyną miłością, która urywa się dopiero z końcem życia.

„Z przyjacielem igraj słówkiem rzadko, ale rączką nigdy — przestrzega M. Rej — i to słówkiem poćwiym, a nie obraźliwym, boć i słówko czasem rychlej obrazi niżli rączka”.

[M. Rej: *Żywot człowieka poczciwego*. Biblioteka Narodowa, Wrocław 1956, s. 249.]

Tak, żart cudzym kosztem jest zawsze ryzykowny. Nawet poczucie humoru nie musi przeważać irytacji pochodzącej z zadrażnienia miłości własnej.

— Smutno mi — wyznał S. znajomemu.

— Pewnie masz obstrukcję — usłyszał odpowiedź.

Od tego czasu nie widzieli się.

Niejedna przyjaźń skończyła się „dobrym kawałem”, a kroniki sądowe zawierają dosyć opisów morderstw sprowokowanych żartami z cudzych dolegliwości, śmieszności, słabości i potknięć.

By sprawić przykrość lub wzbudzić gniew, złośliwość czy uszczypliwość nie musi być bezpośrednia. Słyszałem pełne bólu narzekanie chłopca, który przez pięć lat oszczędzał na motorower, aż kiedy go kupił i z dumą pokazał kolegom, ci zaczęli szydzić: „Ale wyścigowiec! A gdzie miejsce na kociaka? Zajedziesz nim do Chłapkowic”. Przysłowiowe są urazy artystów, którzy mają za złe przyjaciołom, gdy nie padają na klęczki przed każdym ich nowym dziełem. Znana jest także wrażliwość matek na punkcie dzieci i zakochanych na punkcie ich sympatii. Broniek dawno się rozstał z Ireną, ale dotąd nie darował kuzynowi jego uwagi sprzed sześciu lat: „Już ona prochu nie wymyśli!”

Wszystkie te uwagi mogłyby się znaleźć dalej, w rozdziale poświęconym grzeczności. Przecież tzw. złe wychowanie to przede wszystkim brak uwzględniania cudzej wrażliwości. Dlaczego jest w złym tonie zapraszać na ostatnią chwilę? Bo zachodzi obawa, że zaproszony pomyśli, iż traktuje się go jako kogoś, kto zawsze ma czas, na byle gwizdek przyleci i zatka dziurę. Dlaczego nietaktem jest odwoływanie wizyty? Gdyż sprawia to wrażenie, że inne zajęcia czy inne randki są przyjemniejsze lub ważniejsze. Często powtarzane „Nie mam czasu” znaczy po prostu „nie mam czasu dla ciebie”. Jeszcze gorsze jest spóźnianie się lub zapominanie o spotkaniu. Gdy nam zależy, to na spotkania przychodzimy punktualnie, a już na pewno o nich nie zapominamy. Nie dziwię się też tej pani, która ma pretensję do męża o to, że rozmowa w kawiarni ważniejsza jest dla niego niż punktualne przyjście na obiad („on po prostu nie liczy się ze mną!”).

I słusznie — by wspomnieć o obyczajach sportowca — uważa się, iż niegrzecznie jest mówić przed grą, że się jest chorym, w złej formie, bez treningu; tego rodzaju uwagi obliczone są na to,

iby przeciwnik nie cieszył się zbytnio, gdy wygra, a czuł się tym bardziej pobity, gdy przegra. To samo odnosi się do zapowiadania zagadki słowami: „Jest bardzo łatwa, rozwiązałem ją w dwie minuty!”

Istnieje arogancja stanowiska i powodzenia, arogancja pieniądza i stosunków, urody i talentu, arogancja dzieci zamożnych rodziców i arogancja dorosłych należących do wpływowych organizacji. Arogancja ta przejawia się w rozkazodawczym lub protekcyjnym sposobie zwracania się do „maluczkich”, w lekceważeniu form grzeczności i w mrożącej rezerwie w stosunku do „niższych”, kontrastującej z przesadną serdecznością w stosunku do „równych”.

„Często jakaś nasza uwaga wywołuje u lekarza tylko pogardliwe wyđenje warg lub inny grymas” — skarży się pielęgniarka D. Borowicz i trafnie uogólnia: „Zauważyłam, że wiele z nas zaraz po skończeniu szkoły przystępuje do pierwszej pracy z zapalem, a czasem nawet z pewnym poświęceniem. Potem jednak zapal gaśnie, a obarczone nadmiarem obowiązków i często przeciążone pracą, młode pielęgniarki zniechęcają się do swego zawodu. Przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi chyba w braku jakiegoś porozumienia i harmonijnej współpracy z personelem towarzyszącym. Często kelnerka patrzy z wyższością na salową, pielęgniarka traktuje z góry salową, pielęgniarkom zaś z kolei usiłuje rozkazywać księgowy, a lekarz stale na nie pokrzykuje”.

[Wspomnienia pielęgniarek. PZWL, Warszawa 1962, s. 700—701]

Niekiedy rzecz załatwić może tylko zmiana słowa. Wiele osób czuje niechęć, gdy musi się podporządkować dyscyplinie, gdy się je „dyscyplinuje”. Co innego podporządkowanie się organizacji, toteż zręczny instruktor nie będzie żądać więcej dyscypliny, ale więcej organizacji.

W następnych dwóch rozdziałach wystąpią osobnicy „specjalizujący się” w kaleczeniu cudzej miłości własnej apodyktycznością, autokratyzmem, nieufnością i traktowaniem innych „z góry”.

## Apodyktyczność, autokratyzm, nieufność

*Panie Boże dopomóż, abym znalazł światło, gdy jestem w błędzie,  
i abym nie był nieznośny, gdy mam słuszność.*

(Z muzułmańskiej modlitwy)

Apodyktycznym nazywamy osobnika, który zachowuje się i zabiera głos z absolutną pewnością siebie, nie znosi sprzeciwu, o byle co zżyma się i beszta. Jego mina, ton i gest przypomina zawodowego podoficera z dawnych czasów, lub — jeśli mu się wiedzie — powiatowego kacyka. Lubi pokazywać, „kto tu rządzi”, i albo otwarcie powiada: „nie pytam o pana zdanie”, albo — gdy potrzeba więcej dyplomacji — oświadcza, że „zna swoich ludzi” i że „wie, czego oni potrzebują”.

Zdarza się, żeby było zabawniej, że apodyktycznie piętnuje niegrzeczność dzisiejszej młodzieży i poucza kogo może o doniosłości dobrego wychowania. Upodabnia się wtedy do kwoki opisanej przez J. Brzechwę:

*Proszę pana, pewna kwoka  
Traktowała świat z wysoka  
I mówiła z przekonaniem:  
Grunt, to dobre wychowanie!*  
[J. Brzechwa: Sto bajek. Czytelnik, Warszawa 1963.]

Ciekawe, że apodyktyczni są najczęściej osobnicy, którzy mają powody do niepokoju o swój prestiż.

Kierowanie to przede wszystkim umiejętność wpływania na ludzi wiedzą, doświadczeniem, walorami osobistymi, autorytetem. Ale autorytet nie przychodzi razem ze stanowiskiem. Zdobywa się go jak złoto małymi drobinkami i uporczywą pracą. Otóż, kto tych walorów osobistych nie posiada, ten przybiera postawy pozorujące autorytet: wysoko ceni zewnętrzne pozory władzy, domaga się dodatkowych telefonów na biurku i lepszej marki samochodu, żąda, by jego decyzje nie podlegały dyskusji, nadrabia tonem i miną. Jego apodyktyczność to jakby atak w przewidywaniu ataku. Nie mogąc wzbudzić szacunku chce przynajmniej budzić lęk. Sprawę pogarsza jeszcze to, że choć szafuje powiedzeniami w rodzaju: „musi być tak, jak ja chcę”, to jednak nie zawsze potrafi jasno powiedzieć, czego chce.

Jaką reakcję budzi apodyktyczny osobnik?

Przed wszystkim irytuje. Jego sposób mówienia znajomi odczuwają jako lekceważenie ich zdania. Wielu przestaje z nim rozmawiać. Nawet gdy mają do wyboru jako partnera rozmowy gościa nudnego albo apodyktycznego, wybierają nudziarza.

Jest znacznie gorzej, gdy apodyktyczny osobnik ma jakąkolwiek władzę nad innymi. Podleganie i posłuszeństwo zawsze jest trochę nieprzyjemne. U niejednego ucznia lub szeregowca sam fakt, że jest przedmiotem czyjejs woli, wywołuje sprężenie w buncie. A cóż dopiero, gdy rozkazy wydawane są tonem: „tak masz zrobić i basta”, gdy rozkazodawca jakby podkreśla: „liczy się tylko mój rozum, moja wola, a ty jesteś robotem postawionym do mojej dyspozycji!” W takich przypadkach podwładny czuje się słaby, pomiatany, a może i zagrożony. Ma ochotę odmawiać posłuszeństwa lub złośliwie zniekształcać otrzymany polecenia. Jeśli nawet stłumi tę chętkę, to nie potrafi stłumić złości i — gdy nadarzy się okazja — wyładuje ją na kimś innym. Jeśli natomiast zdobywa się na odwagę i zademonstruje swoją wolę, „pan i władca” natychmiast z pasją na niego się rzuca i awantura gotowa.

Powstaje błędne koło: autokrata budzi niechęć. Odczuwając ją powtarza sobie: „mogą mnie nie kochać, ale słuchać muszą”. Rozkazuje, gdy trzeba i gdy nie trzeba. Rozkazuje, gdy ma podstawy w znajomości rzeczy i gdy ich nie ma. Rozkazuje mszcząc się za niechęć i zaspokajając potrzebę znaczenia. Jego rozkazodawczy ton coraz bardziej antagonizuje wykonawców. Zabierają się do pracy z oporem i złością, są skłonni do odkładania jej, do zapominania lub wykonywania „na byle



zbyć”. Na to ich postępowanie kierownik reaguje nasileniem komenderowania.

By dać konkretny przykład, przypomnijmy sobie sytuacje zachodzące wtedy, gdy nowy ambitny pracownik z inicjatywą wchodzi do biura, fabryki, czy innej organizacji i z miejsca chce zaprowadzić duże zmiany. Cóż, wiadomo: nowy człowiek — nowe spojrzenie; dostrzega możliwości ulepszeń, których nie widzą inni, przyzwyczajeni do starych metod. Ale nowy trafia na opór. Zamiast entuzjazmu on i jego pomysł budzą niechęć.

Mówi się: „ludzie nie lubią zmian”. Czy to prawda? Owszem, niektórzy chcą uniknąć koniecznego dla przestawienia się wysiłku, a inni boją się ryzyka. Przede wszystkim jednak starzy pracownicy czują się urażeni, gdy ktoś narzuca im nową metodę, dając do zrozumienia, że źle dotychczas pracowali. Z drugiej strony nowy, uważając swój pomysł za genialny, despotycznie zabiera się do wprowadzania go, nie zasięga rady ewentualnych wykonawców, nie stwarza atmosfery wspólnej decyzji, ale traci cierpliwość i woła: „Z wami nic zrobić nie można!” A tymczasem, choć zdarzają się ludzie, którzy wprost nie dopuszczają do swej świadomości, że cudza koncepcja może być lepsza od ich własnej, to na ogół każdemu zależy na doskonaleniu swego warsztatu, byle tylko w trakcie tej „operacji” nie zachwiała się jego osobista pozycja i nie ucierpiało jego dobre o sobie mniemanie.

Przykład odwrotny: dyrektor pewnej instytucji, który zaangażował specjalistę-organizatora, przedstawił go na zebraniu pracowników jako ich pomocnika i zwrócił się z apelem, aby przedyskutowali z nim swoje pomysły. Gdy po pewnym czasie specjalista, znowu na zebraniu pracowników, przedłożył projekt reorganizacji jako owoc wspólnego przemyślenia, zaproszono pracowników, by zastanowili się nad najlepszymi możliwościami wprowadzenia go w życie. Tego rodzaju podejście zapewniło chętnie współdziałanie zainteresowanych. Dlaczego? Bo uniknięto apodyktycznego forsowania woli kierownictwa.

Za drugi przykład reakcji na nieautokratyczne zarządzanie posłuży cytowana przez Trybunę Ludu wypowiedź polerowaczek z przedsiębiorstwa przemysłu meblarskiego, dzięki którym ich zakład wybrnął z trudności:

„Pracowałyśmy w niedzielę, bo szczerze, po ludzku powiedział nam dyrektor o kłopotach. Ale gdyby to był nakaz administracyjny — palcem nie ruszyłybyśmy”.

[„Trybuna Ludu” z 6.XII.63. J. Adamowski „Przywiązani do fabryki”.]

E. Wolkowa [ Pomówmy o naszych dzieciach. Iskry, Warszawa 1962, s. 333—335] opisuje chłopca, który regularnie spóźniał się do szkoły, choć matka nigdy nie zapomniała go na czas obudzić. Pewnego dnia jednak po naradzie z nauczycielką zmieniła taktykę. Oświadczyła chłopcu, że punktualność będzie całkowicie jego sprawą. „Groźbę” wykonała, to znaczy przestała się interesować, o której syn wstaje, jak długo siedzi w łazience, guzdrze się przy śniadaniu i szuka porozrzucanych zeszytów. Gdy matka przestała się wtrącać, syn, o dziwo, stał się punktualny.

Powyższy przykład nie wskazuje metody wyrabiania punktualności u dzieci, ale uwydatnia fakt, iż stały nadzór, raniąc miłość własną, może wywołać reakcję odwrotną od zamierzonej. Brak zaufania do dzieci i dorosłych, odmawianie im prawa do samodzielności, nieliczenie się z ich zdaniem, ciągłe popędzanie, pouczanie i kontrolowanie zniechęca do samodzielnej pracy nad sobą, a nawet może doprowadzić do robienia na przekór.

Z tychże względów ścisły nadzór skłania do agresji, skierowanej przeciw zwierzchnikowi lub — gdy jest on zbyt wysoko postawiony —przeciw kolegom

[ Porównaj: J. Fastyn: Stan obłączenia. „Trybuna Ludu” z 30.IX.1963.]

Dzieje się tak dlatego, że ścisły nadzór sugeruje brak zaufania do kwalifikacji i uczciwości pracowników, a zatem rani ich miłość własną i niepokoi potrzebę znaczenia.

W epoce powszechnego nauczania i wysokich kwalifikacji nie da się komenderować ludźmi jak analfabetami z folwarku. W epoce głoszącej szacunek dla pracy styl zarządzania nie może zalać stylem sierżantów i kacyków. Postuluje się, by każdy kierownik był „na poziomie”, a przecież jedną z cech takiego kierownika jest, że nie podkreśla swej władzy. Jego polecenia brzmią jak rady. Dyscyplina, a często i pomysły wychodzą od dołu. Dzięki doborowi pracowników i dzięki panującej w zakładzie atmosferze rozwija się wśród nich duch odpowiedzialności i samodzielności. Powiedziałbym nawet, że najlepszym organizatorem i wychowawcą jest ten, kto potrafi stać się zbędnym.

Słusznie powiada mędrzec chiński Lao-tse:  
*O dobrym, wodzu,  
Gdy wykona zadanie i osiągnie cel,  
Ludzie powiedzą:  
Zrobiliśmy to sami.*

## „Wyższość”

*Wzdęci nadzieją lub przywilejem,  
Oni się śmieją!  
My się z nich śmiejem.*

Ignacy Krasicki

Onegdaj odwiedził mnie R. Narzekał na czarną, najczarniejszą niewdzięczność. Tyle robi dla kolegów, pomaga im w nauce, organizuje zabawy, rozkręca towarzystwo, nawet czasem parę złotych pożyczki, a tu odbyły się dwie zabawy, na które go nie zaproszono.

— Widzisz — odpowiedziałem mu — na tych zabawach były sympatie Janka i Heńka.

— Czy babki ode mnie uciekają, czy nie umiem się bawić?

— Umiesz lepiej niż inni.

— Więc?

— Więc koledzy woła, żeby ciebie nie było. Ty byś ich zgasił. Przy tobie nikt nie ma szans. Jesteś zawsze pierwszy. Pierwszy tancerz, organizator, kawalarz i w ogóle geniusz — to ty!

— Trudno, żebym udawał głupca.

— Właśnie. I dlatego ciebie nie proszą.

Człowiek zaczyna popisywać się opuszczając pieluchy i usiłuje popisywać się całe życie, a tym samym wchodzi w konflikt z otoczeniem, które woli być podziwiane niż podziwiać.

To dziecinne uproszczenie, ale czy nie jest charakterystyczne, jak w towarzystwie każdy rwie się do głosu, by wystąpić z czymś, co według niego będzie na pewno mądrzejsze lub dowcipniejsze od wszystkiego, co dotąd powiedziano. Prawie każdy chce zadziwić świat lub przynajmniej najbliższe kółko swoją osobą, a zwłaszcza swoją intelektualną przewagą. Tymczasem być zawsze najdowcipniejszym albo mieć zawsze rację — to błąd. „By się podobać — powiada Chamfort — musisz pozwolić, by ludzie, którzy mniej wiedzą od ciebie, objaśniali ci rzeczy, o których wiesz więcej od nich”. Jeśli to nawet przesada, to w każdym razie niejedynemu człowiekowi wiele by zyskał, gdyby swe popisy trochę ograniczył. Zyskałby, gdyby nie był „prymusem”.

Prymus — ale na szczęście nie każdy najlepszy uczeń jest prymusem — idzie przez szkołę i przez życie z ręką podniesioną do góry. On wie! Gestem, słowem i miną powtarza bez końca, że wie, że wie najlepiej. Jest tym uczniem, który demonstruje niecierpliwość, gdy kolega nie umie odpowiedzieć, co było na kongresie wiedeńskim. Jest tym kibicem, który stojąc z boku widzi wszystkie błędy i „nie może wytrzymać”. Jest uosobieniem rozwagi — nigdy nie przegrywa, nigdy się nie waha i nigdy się w przewidywaniach nie myli. Wszystko jest dla niego jasne i oczywiste. To, co kto inny robi z trudnością, on zrobiłby z łatwością. Jako ten „mądrzejszy” udziela rad, czy go o to proszą, czy nie. Jako ten „dojrzały” i „bardziej doświadczony” zajmuje stanowisko protekcyjnego wychowawcy, zapominając tylko o tym, że pouczenia pochodzące z piedestału rzadko są przyjmowane „na dole” i że najwięcej możliwości wywierania wpływu ma ten, kto wychowuje niepostrzeżenie. Ale „prymusowi” zależy nie na tym, by jego słowa coś działały, ale właśnie na tym, by dudniły na piedestale. Zależy mu nie na szczeniu pożytecznej prawdy, ale na wykazywaniu swojej przewagi.

Poznajemy go już w rozmowie. Jeśli kolega wspomni, że znaleziono sposób wykorzystania słońca do pompowania wody na pustyni, prymus uzupełni: „Tak, czytałem o tym w *Życiu Warszawy* — i jeszcze szybko doda: „Pewnie chcesz powiedzieć, że *Życie Warszawy* ma dobre informacje, oczywiście, ale...” Tak, prymus wie nawet, co ktoś mógłby lub chciałby powiedzieć.

Przypomina się anegdota o koniu. Wracając do domu wieczorem Brown zobaczył, że jego sąsiad Smith na próżno usiłuje wciągnąć konia do domu. Brown pomógł mu w tym przedsięwzięciu. Gdy przeprowadzili konia przez próg, Smith zaczął go ciągnąć na schody. Brown znowu pomógł. Potem wspólnymi siłami wprowadzili konia do mieszkania i do łazienki. Gdy dzieło zostało dokonane, zaspany Brown nie wytrzymał:

— Po co? — zapytał — po co? \*

— A bo widzi pan — odpowiedział Smith — mam bardzo mądrego brata. Cokolwiek mu powiem, on zawsze ze zblazowaną miną mruczy: Wiem, wiem! dziś usadowię się w fotelu i spokojnie będę czytać. Gdy brat przyjdzie, pierwsze kroki skieruje do łazienki i zaraz przybiegnie do mnie wołając: „W łazience jest koń!” A ja na to, nie odrywając oczu od książki, mruknę: „Wiem, wiem!”

Nawet gdy intencja jest czysta, skutki demonstrowania umysłowej wyższości czy stałego pouczenia mogą być... inne od zamierzonych. Tę prawdę zilustrują Beata i ludożercy.

— O co się pokłóciliście z tatusiem? — pytam Beaty.

— Mówił, że za dużo mamy kibiców, a za mało sportowców.

— Miał słuszość!

— Ale on zawsze ma słuszość! — prychnęła ze złością Beata.

K. Hojnacka [ K. Hojnacka: Współzycie z ludźmi. Żnin 1939.] opowiada, jak świeżo nawrócony na chrześcijaństwo szczep w Nowej Zelandii osądził i zabił jednego ze swych członków. Na czynione przez misjonarza wyrzuty wódz szczepu odpowiedział: „Panie, on ciągle nam dawał rady, tyle rad, że w końcu musieliśmy go zabić dla spokoju wszystkich”.

Obok popisów mądrali postawiłbym pouczenia świętoszka. Stary cynik La Rochefoucauld powiada, że zło, które czynimy, nie ściąga na nas tyle nienawiści, co nasze przymioty. To paradoks, ale istotnie budzi niechęć świętoszek, który ustawia się na wieży, by dowieść, jak nędznymi robakami są inni. „Ja bym tak nigdy nie postąpił” — powtarza świętoszek, ściąga usta i nadyma się oburzeniem. Ale osobnik nadęty nawet najszlachetniejszym oburzeniem pozostaje osobnikiem nadętym. Jako taki wywołuje dwie reakcje: wesołość albo gniew.

„Ludzie z natury swojej nie mogą znieść przewagi w jakimkolwiek względzie” — pisze Knigge

[ Knigge: Pożycie społeczne. Wadowice 1872, s. 34.] I gdzie indziej: „Żądza uchodzenia za znakomitego jest wielką nieprzyjemnością w towarzystwie, które zwykle poniża tych, którzy się sami wywyższają”.

[ Tamże, s. 81.]

Knigge tylko trochę przesadza. Rzeczywiście zarówno mądrala, jak i świętoszek budzą negatywną reakcję, ponieważ własną potrzebę znaczenia zaspokajają kosztem cudzej. Mądrość życiowa i takt nakazują postępowanie wręcz odwrotne. Kiedyś czyniłem wyrzuty redaktorowi dziennika, który najpierw zamówił u mnie parę felietonów, a potem nie chciał czy nie mógł z nich skorzystać. Redaktor wysłuchał mnie nie przerywając, po czym z zakłopotanym uśmiechem powiedział:

— Ma pan słuszość, to wszystko stało się z powodu mego braku doświadczenia.

Co mogłem odpowiedzieć? Byłem elegancko „rozbrojony”. Redaktor dał mi tę minimalną satysfakcję, jaką mógł dać, to jest przyznał mi rację, wziął winę na siebie. Bąknąłem coś w sensie: „No tak, to rozumiałe, nie ma się czym przejmować” i wyszedłem pod wrażeniem, „jaka to miła redakcja”. Kosztem własnej próżności redaktor uniknął zadrażnienia, a nawet wzbudził we mnie skłonność do zajęcia wspaniałomyślnego postawy.

Szczególnym rodzajem manifestowania rzeczywistej lub urojonej wyższości jest bezwzględne wyznawanie zasady: „Jeśli chcesz, by coś było zrobione, zrób to sam”. Znam ideowego człowieka na wysokim stanowisku, który w imię tej pozornie szlachetnej zasady zamordowuje się pracą. Robi za wielu innych, a mimo to nie jest lubiany. Może ci inni, choć im ułatwia życie, wyczuwają, że wyznawana przez ich szefa zasada jest równoznaczna z przekonaniem „tylko ja potrafię dobrze pracować”. „Dobrze zrobione” znaczy „zrobione całkowicie po mojej myśli”.

Piękny opis wynoszenia się nad innych dał W. Wiszniewski, polski filozof i psycholog z drugiej połowy ubiegłego wieku:

„Wszyscy głupcy pawią się rozumem, na którym im zbywa... Głupiec pyszny i zarozumiały, choć z nader ograniczonym i słabiutkim rozumem, choć istny drobnoidz, zwykle do najtrudniejszych zrywa się rzeczy i z najrozumniejszymi chodzi w zawody. Oczy miewa biegające, poruszenia żywe, nozdrza wydęte... Lubi surową przywdziewać powagę, nie śmieje się nigdy, lecz tylko uśmiecha z pogardą; przeciąga twarz; ręką, skinieniem głowy więcej odpowiada niż słowy, lecz najczęściej tylko ramionami wzrusza i ciągle nad głupotą drugich się lituje. Co sobie ubrda, tego mu i młotem z głowy nie wybijesz. Wszystko, cokolwiek on pisze, mówi i marzy, jest prawda, dowcipem

i mądrością, na miedzi i marmurze wyryć by należało”.

[ W. Wiszniewski: Charaktery rozumów ludzkich. Naukowe Wydawnictwa Pedagogiczne, Warszawa 1938, s. 39—40.]

Rozdział ten zawiera tylko przykłady, gdyż po tym, co powiedziano o drażnieniu miłości własnej, czytelnik sam zrozumie, dlaczego mądrale i zarozumialcy nie są lubiani.

Dla podsumowania warto tylko przypomnieć, że za miłego uchodzi ten, w którego towarzystwie inni dobrze się czują, a nikt nie czuje się dobrze przy kimś, kto innych „gasi”. Lubiany jest nie ten, kto sam się popisuje, lecz raczej ten, kto innym pomaga błyszczeć inteligencją, bystrością i wiedzą.

## Falszywa ambicja i zawiść

*Tak sunąc w górę jak po mydle  
Człowiek się często zmienia w bydle!*

Rodoć (M. Biernacki)

Od podkreślania swej „lepszości” odróżnić trzeba upartą i zażartą walkę o jej udowodnienie. Zwłaszcza młodzi odczuwają potrzebę potwierdzenia w ten sposób swych życiowych szans. Niejeden chłopak seriami podbija serca, by się .tymi podbojami przechwalać, niejedna dziewczyna prowadzi zeszyt, w którym skrupulatnie zapisuje personalia swoich niewolników, niejeden uczeń plami nauczycielowi ubranie, by zdobyć podziw równie głupich kolegów.

Nie każdy wyrasta z nastoletkowych wad. Osobnik, który cierpi na dotkliwą niepewność siebie, całe życie broni swego prestiżu i usiłuje dowodzić, że nie jest byle kim. Nie spotka się z dawnym przyjacielem, który paraduje w zdartym paletku, ani nie kupi potrzebnego w domu wiadra, by go ktoś nie zobaczył z nim na ulicy. Gdy kolega w biurze prosi, by idąc na drugie piętro zaniósł tam jakiś dokument, wyniośle odpowiada, że nie jest gońcem. Oburza się nawet, gdy dyrektor zwraca się do niego z prośbą, by jako doświadczony podróżnik wskazał najlepsze połączenie — to przecież funkcja sekretarki!

Cele i metody opętanych ambicyjką osobników zależą od wyznawanych przez ich grupę kryteriów prestiżu oraz od ich umysłowego i etycznego poziomu, niemniej osobnicy ci mają parę wspólnych cech: zajęcia, przedmioty i ludzi oceniają głównie z punktu widzenia nabywanego dzięki nim „blasku”, przy podejmowaniu decyzji kierują się przede wszystkim względem na wywyższenie się, a głównym celem ich życia jest imponowanie i dominowanie. Kazimierz zabiega o sympatię znanej aktorki nie dlatego, że sam ją lubi, ale dlatego, że sprawia mu przyjemność, gdy inni go widzą w jej towarzystwie. Kupuje wartburga nie dlatego, że lubi prowadzić wóz i że ma pieniądze — przeciwnie, brak mu smykałki do mechaniki i brnie w długi — ale chce, by znajomi powiedzieli „ho-ho!” Z tego samego powodu ubiega się o dość wysokie stanowisko nie mając kwalifikacji. Życie, jeśli ma mieć dla niego jakąś wartość, musi być patetycznym marszem od triumfu do triumfu, przy czym bardziej zależy mu na fanfarach i reflektorach niż na wartości osiągnięć.

Człowiek o tak rozdętej potrzebie znaczenia jest złym współpracownikiem i złym partnerem zarówno na boisku, jak w pracy i w życiu. Ustawicznie szukając samo wywyższenia ma wzrok skierowany wyłącznie na samego siebie. Każdy jego międzyludzki stosunek jest stosunkiem współzawodnictwa. Nie lubi, gdy się komuś powodzi, gdyż cudze sukcesy umniejszają jego własne osiągnięcia. Każde wystąpienie ocenia ze stanowiska osobistego zwycięstwa lub klęski, a klęską jest, gdy go ktoś „zaćmi” wymową, dowcipem, zręcznością czy wiedzą. Udaną zabawą jest dla niego tylko ta, na której on jest królem. Nawet gdy szansa gola jest znikoma, raczej sam strzela, niż poda piłkę innemu graczowi. Gdy nie może być gwiazdą, gdy nie panoszy się na pierwszym planie, najchętniej wycofuje się. Wykręca się od wszelkiej akcji, w której nie może zabłysnąć. Każdy, kto zamiast niego może pójść w górę, jest wrogiem. Stara się zawsze być tym, który kończy dzieło rozpoczęte przez kolegę. Lekceważy cudzy wkład, drażni go cudzy autorytet. Swego zdania broni do upadłego, a przyznanie komuś racji ciężko odchorowuje.

Nawet jeśli lubi się uczyć, nie lubi być pouczanym, instruowanym, poprawianym. A tymczasem tak samo jak nie można nauczyć się jeździć na łyżwach nie będąc śmiesznym, tak i niczego nie można nauczyć się bez robienia błędów i podporządkowania się cudzym wskazówkom. Mimo tego utrudnienia człowiek o przesadnej ambicji nieraz wysoko dociera, gdyż umie pracować. I wtedy dopiero używa sobie traktując arogancko „tych na dole”, demonstrując swą władzę i wyższość gdzie tylko się da i jak tylko się da.

Gdy tak rozdęta potrzeba znaczenia jest najważniejszą struną charakteru, nic nie wydobędzie z niego ciepłych tonów. Ustawicznie szukając samowywyższenia ma wzrok skierowany wyłącznie na samego siebie. A do tego, ponieważ bardziej niż na czymkolwiek innym zależy mu na wysokim

znaczeniu, prowokuje innych do złośliwego odmawiania mu go, czym rozpala wzajemną wrogość.

U osobnika próżnego, a przede wszystkim u osobnika o przesadnej ambicji motyw konfliktu interesów bezwzględnie góruje nad motywem wspólnego dokonania; zawzięte dążenie do przewagi rozsądza poczucie wspólnoty.

Zawiedzione ambicje łatwo rozbudzają inną namiętność — zawiść. Najczęstszym jej przedmiotem są pieniądze, władza, uroda, powodzenie u płci odmiennej, wykształcenie, typ pracy lub szczęście w życiu. Opętany zawiścią — tak samo jak opętany ambicyjką — bezustannie mierzy się z innymi i porównuje cudze sukcesy z własnymi. Nie potrafi cieszyć się tym, co ma. Tańcząc z doskonałą dziewczyną zawistnie spogląda na kolegę, którego partnerka ma ładniejsze nogi. Będąc na świetnych wakacjach w Ustroniu zazdrości znajomym, którzy wyjechali do Bułgarii. Mając zdrową i zdolną córkę myśli o synku znajomych, który jest cudownym dzieckiem. Przyjacielowi zazdrości stanowiska, jeśli sam go nie ma, albo spokoju, jeśli ma stanowisko. Zazdrości mu młodej i pięknej żony, albo jeśli sam ma taką, zazdrości żony spokojnej, gospodarnej i na pewno wiernej. Jeśli żyje z pióra, zazdrości pewnego chleba skromnemu urzędnikowi, a jeśli pracuje w biurze, zazdrości pisarzowi, że może się wysypiać i że nikt mu nad głową nie stoi. Każda jego ewentualna radość zatruta jest myślą: „on coś ma, czego ja nie mam”.

Źle powiedziałem mówiąc, że tego wszystkiego zawistnik zazdrości przyjacielowi. Nie może on mieć przyjaciela, bo nie potrafi być przyjacielem. W najlepszym razie potrafi współczuć w nieszczęściu, ale nie potrafi cieszyć się z czyichś sukcesów. Jest jak ten słowik ze starej legendy, który cierpi i umiera, gdy inny ptak pięknie śpiewa. Zawistnik nie umie być serdecznym, życzliwym człowiekiem. Trudno mu przychodzi pomaganie innym. Łatwo znajduje wymówki usprawiedliwiające swój brak współdziałania. Jest nieufny, zaczajony, może wyrachowany, skłonny do bezinteresownej złośliwości, do utrudniania życia innym, do odbierania czegoś, co posiadają. Czuje się pokrzywdzony i zależnie od pozostałych cech charakteru jest cichym mizantropem, zrzędą, albo wiecznym napastnikiem, próbującym poniżyć „rywala”. Nie zadając sobie trudu wnikania w cudze przeżycia, nigdy nie będzie dobrym znawcą ludzi: będzie krzywdzić ich sądami, słowami i postępowaniem. Może nawet pójdzie dalej, bo wiele jest prawdy w powiedzeniu La Rochefoucauld, że zawiść jest bardziej nieprzejeđnana niż nienawiść.

## Czepianie się czy krytyka

*Jakie to trudne być zadowolonym z kogoś!*

(Szpilki)

Bez krytyki nie ma postępu ani indywidualnego, ani społecznego. Zło ukrywane siedzi mocno i srodze. Nie ujawnione przywary zakorzeniają się i rozrastają. Drobne niedociągnięcia psują dobrze pomyślane dzieło. Środowiska i społeczeństwa, w których nikt nie reaguje na błąd i zło, spotyka najgorszy los.

Badania socjologiczne wykazały, że w grupach bardziej zwartych częściej dochodzi do kwestionowania trafności wypowiedzi partnera niż w grupach, których członkowie są sobie wzajemnie obojętni. Uchylenie się od dyskusji świadczy o powierzchowności kontaktu. Kiedyś usłyszałem pochwałę: „Poprawiłeś się, już mnie nie musztrujesz, nie dokuczasz mi, że palę, że się garbię, że...” W duchu odpowiedziałem: „Bo już mnie nie obchodzisz”. Im bliższy nam jest człowiek, tym czujniej go obserwujemy, tym więcej zgłaszamy zastrzeżeń co do jego postawy.

Ale tu uwaga! Piekło jest blisko. Zaczyna się wówczas, gdy nastawiamy się na bezwzględne tępienie wad i przywar drugiej strony, gdy zawzięta pasja wzajemnego poprawiania się nabiera charakteru napastliwego „czepiania się”, zniechęca do pracy, rozdmuchuje antagonizmy, pozbawia zaufania do własnych sił. Nie ma przyjaźni bez krytyki, ale też prędzej czy później skończy się przyjaźń z człowiekiem, który nigdy nie pozwala zapomnieć o naszych słabostkach i potknięciach.

Krytyka ma charakter napastliwego „czepiania się”, gdy nie jest czysta w intencji, gdy jej motorem jest zazdrość, wrogość, złość na siebie, samoobrona, dążenie do podkreślania własnych zalet, pragnienie wywyższenia się, pretensje.

**Z a z d r o ś ć**. Człowiek zazdrosny krytykuje przede wszystkim po to, by wykazać, że powodzenie innych pochodzi nie stąd, że są lepsi od niego, lecz stąd, że są gorsi. Pomniejsza cudze talenty i osiągnięcia, napomina o krętych drogach, protekcjach, zaprzędaniu się. I wierzy w to, co mówi.

**W r o g o ś ć**. Człowiek opętany nienawiścią ma wyostrzoną spostrzegawczość i pamięć w stosunku do wad, iposzliznień i błędów obiektu swych wrogich uczuć. Ze złośliwą pasją maluje jego obraz. Krytykuje wprost, by dokuczyć, lufo za plecami, by osłabić pozycję „wroga”.

Charakterystyczną cechą krytyki płynącej z zawiści lufo nienawiści jest radosne podniecenie. Życzliwemu odkrycie w kimś wady sprawia przykrość. Jeszcze większą przykrością jest konieczność wytknięcia jej. Ale człowiek zazdrosny i opętany nienawiścią rzuca się na dostrzeżoną usterkę jak jastrząb na chorego gołębia. Triumf przebija w jego głosie. Jego celem jest nie pomóc, lecz ośmieszyć, nie wzmocnić, lecz dokuczyć, nie poprawić, lecz zniszczyć.

**Z ł o ś ć n a s i e b i e**. Tak jak można się w kimś kochać, tak można się „w kimś” nienawidzić. To drugie wyrażenie jest nawet celniejsze. Jeśli prześladuję Iksa za jego bałaganiarstwo, Igreka za choleryczne usposobienie, a Zeta za słabość w stosunku do kobiet, to dlatego, że sam jestem bałaganiarzem i cholerykiem, bardzo wrażliwym na żeńskie wdzięki. Niezadowolony ze siebie korzystam z każdej sposobności, by to niezadowolenie wyładować na innych. Gdy się sam sobie nie podobam, to nikt mi się nie podoba. Nawet oglądając Świderskiego widzę tylko jego zmarszczki.

**S a m o o b r o n a**. Innym rodzajem nieczystej w intencji krytyki jest szukanie winy poza sobą: „Jak mogłeś postawić salaterkę w tym miejscu? Nic dziwnego, że ją zbiłem!” albo: „Profesor był wściekły. Dziekan mu powiedział, że skarżyliśmy się na niego. Dlatego dostałem dwójel!” albo: „Nie macie pojęcia o ekonomii. Ten wasz plan był po prostu niewykonalny”. Celem takiej krytyki jest nie poprawienie czegoś, nawet nie pogrążenie kogoś, lecz tylko oczyszczenie samego siebie.

**P o d k r e ś l a n i e w ł a s n y c h z a l e t**. Tylko o siebie zabiegam, gdy wytykam czyjeś wady po to, by zwrócić uwagę na własne zalety. Opowiadam o niepraktyczności kuzyna, by podkreślić własną praktyczność; wyśmiewam ignorancję kolegi, by błysnąć własną wiedzą; potępiam naiwność siostry, by uwydatnić własną bystrość.



Wywyższanie się. Bardzo „nieczysta” jest intencja krytyki, gdy jej motorem jest potrzeba znaczenia, wywyższanie się czymś kosztem. „Ja to widzę, ja bym to zrobił lepiej, ja umiem, ty nie umiesz, ja wiem, ty nie wiesz, ja mam prawo ciebie lajać, ty nie masz prawa mi odpowiadać!” Trzeba powtórzyć, że zadowolenie krytykującego jest zawsze podejrzone, a im ono jest większe, tym bardziej cierpi krytykowany i tym mniej skuteczna jest sama krytyka.

Pretensja. Oskarżenia w rodzaju: „Ty nigdy nie myślisz o innych” albo: „Chcesz tylko, żeby tobie było dobrze” bez trudu można odczytać: „Za mało myślisz o mnie” albo: „Postaraj się, żeby mnie było wygodniej”. Zamaskowana pretensja, nawet gdy płynie z uzasadnionego żalu, jest tylko pretensją, wywołującą częściej złość i kontratak niż świadomość winy i poprawę. To samo odnosi się oczywiście do wszelkich wyrzutów z klasycznym „zmarnowałeś moje najlepsze lata” na czele.

Cechami nieczystej w intencji krytyki mogą być:

- a) niesłuszność,
- b) nieistotność,
- c) niepotrzebność,
- d) charakter osobowy,
- e) charakter generalnego ataku.

a) Jeśli arkusz nie jest zrobiony tak, jak ja go sobie wyobrażałem, to nie znaczy, że jest zrobiony źle.

Jeśli kolega przemawiając użył innych argumentów niż te, które mu podsunąłem, to nie powód, by go stawiać pod pręgierzem. Jeśli jego projekt odbiega od latami uświęconej rutyny, to nie racja, by go ośmieszać. Niesłuszną jest krytyka jakiejś osoby także wtedy, gdy jest błąd, ale nie ma winy. Zbyt rzadko zastanawiamy się nad przyczyną błędów. Jakże często pochodzą one z niejasnej instrukcji! Albo do iluż „zdrad”, zaniedbań i zniechęceń nie doszłoby w ogóle, gdyby strona poszkodowana była bez zarzutu!

b) Krytyka jest nieistotna, gdy odnosi się do rzeczy nieszkodliwych, takich jak noszenie zegarka na prawym ręku, albo bezmyślne kreślenie geometrycznych figur. Kto — jak mówi chińskie przysłowie — łopata uderza muchę siedzącą na czole przyjaciela, ten traci przyjaciela.

Mistrzami krytyki nieistotnej są osobnicy, którzy patrzą z uwagą wyostrzoną jedynie na usterki i błędy. Pochwalą się nie tym, iż ocenili subtelności gry w dobrym filmie, ale tym, iż dostrzegli nie wykończony szczegół dekoracji.

c) Krytyka jest niepotrzebna, gdy zjawia się poniewczasie. Do tej serii należą pytania w rodzaju: „Dlaczego byłeś tak głupi?”, jak również powtarzanie śpieszącemu się, że jest późno i że wszystko robi na ostatnią chwilę, albo przegrywającemu, że widocznie źle się przygotował.

d) Jeśli celem krytyki jest poprawienie błędu czy wady, to nie może ona mieć charakteru ataku na osobę: „Wszystko przekrećasz”, „Nie starasz się”, „Nie masz pojęcia o tej pracy”. Kto ze swoich zarzutów szybko wyciąga ogólne wnioski albo w dyskusji pozwała sobie na „osobiste wycieczki”, ten kieruje się nie troską o prawdę i sprawę, lecz złośliwością.

e) Charakter generalnego ataku ma krytyka także wtedy, gdy naraz wytacza całą baterię zarzutów. Nawet rodzice popełniają ten błąd. Gdy w ciągu pięciu minut dziecko usłyszy, że ma brudne ręce, że za głośno je, że nie podziękowało, że buja się na krześle, że kaszląc nie zakrywa ust, że przeszkadza, to wreszcie odczuwa pokusę wejścia na stół w brudnych butach, postawienia na stole krzesła i bujania się na nim przy akompaniamencie dziarskiego porykiwania.

Reakcje dorosłych są podobne. Gdy znajdują się pod gęstym obstrzałem krytyki, to nie przyjmują jej jako życzliwej pomocy, ale traktują jak wyzwanie do walki, do obrony, do kontrataku.

Nawet przy najczystszej intencji krytyka może antagonizować z powodu fałszywego tonu, gdy na przykład jest złośliwa lub agresywna, gniewna lub niegrzeczna, uszczypliwa lub ironiczna. Ton nie zawsze jest wiernym odzwierciedleniem intencji. Celem ojca, który krzykliwie laje syna, nie jest uprzykrzanie mu życia ani wywyższanie samego siebie. Uwagi najżyczliwszego człowieka sprawiają niepotrzebny ból i budzą sprzeciw, gdy wypowiedane są zniecierpliwionym, podniesionym głosem.

Tym bardziej wiele trwałych szkód mogą wyrządzić takie wykrzykniki, jak: „Będiesz zawsze ofiarą!”, „Nigdy się niczego nie nauczysz!”, „Zawsze wszystko przekręcasz!”, „Psujesz wszystko czego się dotkniesz!” Krytyka, której celem jest pomoc nie może zadowalać się ogólnikami i wpadać w styl oskarżania.

Dopomożenie jest celem krytyki korygującej, ale obok niej istnieje krytyka potępiająca. Bez niej oszust, złodziej i łapówkarz lękałby się tylko prokuratora, a drobni szkodnicy, naciągacze, szafarze obietnic bez pokrycia, donżuani i rozrabiające, których działalność nie podpada pod żaden paragraf kodeksu karnego, nie czuliby żadnego wędzidła. Przecież decydującym czynnikiem w kształtowaniu postępowania i postaw człowieka są reakcje otoczenia. Przecież tak jak są ludzie, którzy mnie zbyt obchodzą, bym mógł milcząc przechodzić obok ich wad, tak są i sprawy, które uważam za zbyt ważne, by je zbywać wzruszeniem ramion. Przecież istnieją granice, poza którymi tolerancja przestaje być cnotą i staje się tchórzostwem.

Nie każde też omawianie czyichś zdolności, wiedzy i charakteru jest plotkarstwem. Doniosły proces formowania się opinii społecznej odbywa się między innymi w trakcie „obgadywania” znajomych i nieznajomych, małych i wielkich ludzi. Żądanie, by nigdy o nikim źle nie mówić, nie wydaje się rozsądne i słuszne. Zwłaszcza gdy wymaga tego dobro innych ludzi. Jako dawny kolega Zeta, powinienem przestrzec — jeśli będę miał okazję — jego nowych kolegów, że lubi on pożyczać, ale bardzo nie lubi oddawać. Nie wolno mi milczeć także i wtedy, gdy W. kandyduje na ważne społeczne stanowisko, a wiem, że już parokrotnie zawiódł zaufanie. Inna sprawa, że przyzwyczajenie do mówienia tylko źle i tylko wtedy, gdy da się coś złego powiedzieć, jest pod każdym względem szkodliwe. Na opinię społeczną składa się nie tylko oburzenie i potępienie, ale — co najmniej w równym stopniu — uznanie i podziw.

## Wdzięczność czy kontratak

*Największa wina jest w tym,  
Kto nie chce wysłuchać prawdy.*

Cycon

Jeżeli ci siostra zwróci uwagę, że nie umyłeś wanny po sobie, marzeniem twoim staje się złapać ją na tym samym. Nieraz z pozorną cierpliwością wysłuchując stawianych mi zarzutów więcej myślę o tym, jak je odeprzeć, niż o tym, jak z nich skorzystać. Gorzej! Skierowane pod moim adresem uwagi krytyczne przyjmuję jako przesadzone, a komplementy nigdy nie wydają mi się przesadne. Wcale też nie jestem pewny, czy znajomi, którzy mogliby mi wytknąć wady i błędy, są pewni, że ich pilnie i wdzięcznie wysłucham. Jeśli nie, to pozbawiam się ważnej pomocy w kształceniu siebie i w doskonaleniu moich prac.

Gwałtowna reakcja na krytykę jest typowa. Doskonale opisuje ją A. Rudnicki: „W pierwszej chwili zarzuty w ogóle nie docierają do świadomości, odbiera się je — biologicznie. Masz wrażenie, że krytyk chce cię zabić, dosłownie, bez przenośni. Więc chcesz go także zabić — nożem za nóż! Zalewa cię fala niepoczytalnej nienawiści: atak na bagnety!”

[Adolf Rudnicki. Niebieskie kartki. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, s. 32.]

Skłonność do uważania za wroga każdego, kto nas krytykuje, bierze się między innymi stąd, że krytyka utrudnia dodatnią samoocenę i rani miłość własną. Rzadko kiedy potrafimy też przyznać, że jesteśmy nie w porządku. Żaden łajdak nie da się przekonać, że jest łajdakiem. Nawet najuczciwsi ludzie wynajdują sobie usprawiedliwienia i jeszcze iwtedy, gdy przyznają się do winy, przekonują samych siebie, że większa jej część obciąża kogoś innego. Przypomina się anegdota o milicjancie, który ścigał mandat za niewłaściwe przechodzenie ulicy. „Powinniście łapać prawdziwych przestępców, naprawdę winnych!” — wołał zdenerwowany przechodzień. „Takich w ogóle nie spotykam” — z uśmiechem odpowiedział milicjant.

„Niejeden stłukł lustro, które ukazywało mu jego szpetotę” — mówi przysłowie. „Mało kto jest tak rozsądny, aby przekładać użyteczną naganę nad zwodniczą pochwałę” — zauważył La Rochefoucauld. Nawet tym, którzy nas krytykują najśluszej i najdelikatniej, jesteśmy wdzięczni dopiero po pewnym czasie.

Poza ogólną wrażliwością na krytykę istnieje wrażliwość specjalna. Prawie każdy ma jakiś punkt ambicji, jakąś cechę, z której jest dumny, albo której intensywnie się wstydzi. Tym wrażliwym miejscem może być przekonanie o swojej niezwykłej odpowiedzialności lub inicjatywie, pracowitości lub skrupulatności, wiedzy lub miłości. Może to być także coś, o czym się chce zapomnieć. Nie chcę myśleć o tym, że powinienem brać żywszy udział w pracach rady i że zbyt łapczywie biorę dla siebie najłatwiejsze prace zlecane. Każdy, kto mi o tym przypomina, naraża się na warknięcie.

Opanowywanie tej wrogiej reakcji, wdzięczność za krytykę, gotowość uznania wykniętych błędów i gotowość do pracy nad ich poprawieniem jest sprawdzianem rzetelności i dojrzałości człowieka, a także sprawdzianem jego kultury współżycia, której niezbędnym elementem jest wzajemne zwracanie sobie uwagi na usterki w pracy, na drobniejsze lub poważniejsze błędy myśli, charakteru i działania. Umieć pracować w zespole to w pierwszym rzędzie umieć prawidłowo przyjmować krytykę samego siebie i nie krępować się w rzeczowym i życzliwym krytykowaniu innych.

## Pępek świata (egocentryzm)

*Egocentryk, chce być panną młodą na każdym ślubie  
i nieboszczykiem na każdym pogrzebie.*

(Szpilki)

Na wieczorze poświęconym pamięci zmarłego poety przemawiał jego kolega. Charakterystyczne to były wspominki. Co drugie zdanie zaczynało się od „ja”. Dowiedzieliśmy się, że przemawiający był wielkim przyjacielem zmarłego, że mu często pożyczał pieniądze, że udzielał mu światłych rad, że zmarły zachwycił się jego wierszami.

Koniecznym warunkiem poezji — rozmyślałem — jest wychodzenie poza siebie, wnikanie w odczucia przygodnego dziwaka i podziwianego artysty, nawet w życie zwierzęcia, nawet w życie rośliny, a tymczasem ten „poeta” mówiąc nie o kimś obcym, ale o zmarłym przyjacielem, tkwi w sobie i tylko w sobie.

Nieprzyjemne wrażenie wyniosłem z tego wieczoru. Nieprzyjemne wrażenie sprawia każdy, kto jest tak dalece zajęty i przejęty własną osobą, że o czymkolwiek by mówił, wysuwa siebie na pierwszy plan.

Egocentryk jest bezpłodny jak sztuka, która interesuje się tylko samą sobą. Ludzie niechętnie się do niego odnoszą. Co krok wychodzi na jaw, że choć może nie jest złym człowiekiem, to jednak inni mało go obchodzą. Potrzebuje ich tylko po to, by budzić zainteresowanie, korzystać ze współczucia albo pysznić się rzeczywistymi lub urojonymi przewagami. Sami ludzie ze swymi radościami lub cierpieniami są mu obojętni. A tymczasem ludzie nieraz wołają, by im dokuczano, by ich atakowano, wołają być wyzyskiwani niż niedostrzegani. „Zachowujesz się, jakby mnie w ogóle nie było” — to ciężkie oskarżenie płynące z głębokiej urazy.

Różne są stopnie dostrzegania człowieka. Optyczne zanotowanie jego obecności to nawet nie początek. Dostrzegać kogoś — znaczy widzieć, że jest ładnie ubrany, że zmizerniał, że mu jest zimno, że jest zmęczony, że drażni go kapanie wody, że potrzebuje się zwierzyć, że jest zbyt ambitny, by prosić o pomoc, zbyt delikatny, by się często dowiadywać nawet o coś, co jest najważniejszą sprawą jego życia.

Tego wszystkiego egocentryk nie widzi i dlatego jest tą koleżanką, której głównym tematem rozmów jest „narzekanie” na agresywność mężczyzn, tym kolegą wspominającym bez przerwy dawne dzieje właśnie wtedy, kiedy czekają klienci, jest znajomym przysiadającym się do stolika, przy którym siedzisz w towarzystwie dziewczyny.

Bohater każdego z tych przykładów uważa się za dojrzałego człowieka, ale myli się. Nie ma dojrzałości bez wyjścia poza mur swojego „ja”. Egocentryzm dowodzi prymitywizmu, dziecinności lub zdziecinnienia. Tylko dziecko wierzy, że gdy idzie na spacer, słońce podąża za nim, by oświetlać mu drogę.

Człowiek dojrzały jest jak van Gogh, który pisze: „Zamiast myśleć, jakim jestem artystą, wolę dociekać, jak ręce, nogi i głowa łączą się z resztą ciała”. Odnosi się to do wszystkich wielkich artystów, myślicieli i działaczy. Nie czują się oni osiłą, wokół której kręci się życie, stosunkowo mało uwagi poświęcają sprawianemu przez siebie wrażeniu, stosunkowo mało uwzględniają w swoich ocenach i wytycznych postępowania kategorię „co mi to da”, raczej odznaczają się zainteresowaniem prawami ruchu, wrażliwością na cudze reakcje, wrażliwością na piękno, sprawiedliwość i prawdę.

Poniższe uwagi A. Rudnicki adresuje do pisarzy, sądzę jednak, że odnoszą się nie tylko do nich:

„Urodziłeś się w ciekawym okresie historycznym, w ciekawym punkcie geograficznym, w ciekawej rodzinie, dorastałeś w ciekawym środowisku, pośród ciekawych ludzi — niejedna duża myśl zrodziła się wśród nich! Ale kiedy zaczynasz pisać, odsuwasz od siebie to wszystko, na pierwszy plan wysuwasz swoją osobę i wypinając swą kurzą pierś wołasz: — Halo! Świecie, tutaj, na mnie! Halo, Świecie, zobacz no, co się dzieje w tej pierś! Świecie, widziałeś ty kiedyś coś tak niezwykłego? Takie przeżycia, takie uczucia, takie myśli?! Świecie, widziałeś ty kiedy takie muskuły? Sygnaliści, dajcie no czerwone światło i kładźcie się spać! Świat zabawi tu dłuższą chwilę. Oglądania

i słuchania będzie miał na długo!... — I zaczynasz o swej małej duszy, o swym małym charakterze, z rzadka przyprószonym kimś z zewnątrz niby kryształkiem soli.

Rzadkimi kępkami zgromadzony na trybunach Świat milczy. Ale ty jego milczenie tłumaczysz sobie intrygami fałszywych przyjaciół, nieprzyjaźnią chwili. Od czasu do czasu z trybun rozlega się chichot, ale ty go nie słyszysz”.

[ A. Rudnicki: Niebieskie kartki. Wydawnictwo literackie, Kraków 1956, s. 33.]

Do zapatrzonego w siebie egocentryka z największym trudem dociera tylko to, co zdoła się przedrzeć przez ciężki opar obojętności, a „obojętność — mówi Balzac — jest jak lód na biegunie, wszystko zabija”. Światek egocentryka zasłania mu resztę świata. Tylko groźba, tylko ból i poryw namiętności zdolne są na chwilę rozszerzyć jego ubożuchny horyzont. Żyje okrawkami rzeczywistości, ale nawet ich obraz skażony jest w nim i przeinaczony. Jego obcość między ludźmi wynika m. in. z tego, że nigdy nie pomyśli „jak ja czułbym się na jego miejscu?” To zaabsorbowanie sobą jest przeciwieństwem uczucia wspólnoty i uniemożliwia mu przystosowanie się do innych.

Nie trzeba jednak przez to rozumieć, że każdy egocentryk jest sobkiem. „Istnieją egocentrycy «ofiarni», ogarnięci pasją wprowadzania w życie własnej, zawsze wyłączonej koncepcji. Koncepcja ta może być sama przez się piękna. Realizacja jej może się wiązać z dużą dozą wyrzeczeń i pseudoofiarności. Dramatyzm sytuacji polega wtedy właśnie na tym, że sprężyna ukryta, wprowadzająca w ruch cały skomplikowany mechanizm „poświęceń i wyrzeczeń”, wyrasta na gruncie egotyzmu i tym samym nie uwzględnia pulsujących, dynamicznych procesów; i możliwości w psychice innych ludzi” .

[ N. Han-Ilgiewicz: Trudności wychowawcze i ich tło psychiczne, s. 290, PZWS, Warszawa 1961.]

## Egoizm

*Byłby także i słońce zrobił, lecz tylko po to,  
aby jego samego oświecało.*

F. Ch. Hebbel

A. chce jechać z narzeczoną w góry, choć ona niedawno chorowała na serce, B. sprowadza kolegów na kolację, choć żona późno wracając z pracy musi jeszcze zadbać o dzieci, a on nie pomoże jej nawet w zakupach, C. domaga się, by rodzice kupili mu narty, choć jego młodszy brat nie ma jeszcze łyżew, D. zaproszony na parę dni przyjeżdża i zostaje parę tygodni. Wszyscy oni i miliony im podobnych zawzięcie grabią do siebie". I co z tego mają?

Mają dużo. Jeśli są zręczni, rośnie przed nimi stos ziarna. Dając możliwie mało, zachowują dużo dla siebie. A że innym jest źle, że inni za nich robią, na to „nie ma rady”. Od czegoż zresztą inteligencja! Czy myślący człowiek nie potrafił nawet we własnych oczach usprawiedliwić egoizmu i wyłączać się z obowiązku? „Praca lubi głupich — powiada — każdy musi myśleć o sobie; jeśli go wykiwałem, to znaczy, że jestem mądrzejszy; przecież coś mi się od życia należy”. Na nieco wyższym poziomie słyszymy, że inni muszą dawać, muszą się wyżywać, że lubią się poświęcać.

Niekiedy sobek dramatycznie przedstawia w domu swoją sytuację w pracy (ogrom odpowiedzialności, niesolidność współpracowników), a w miejscu pracy robi wrażenie człowieka załamującego się pod ciężarem obowiązków rodzinnych i chorób w domu.

W sposobie patrzenia egoisty dominuje pytanie „co ja z tego mogę mieć?” Wchodząc w jakąkolwiek grupę, myśli prawie tylko o tym, co zyska. Ludzi dzieli na tych, którzy się przydadzą lub mogą przydać, i tych, z którymi nie warto utrzymywać stosunków.

Galeria egoistów jest bardzo zróżnicowana, pokuszę się tylko o wyodrębnienie najczęściej spotykanych typów:

E g o i s t a c y n i c z n y jest „rozsądny”, poznać go można po takich powiedzeniach, jak: „nie warto się przemęczać”, „nie warto być uczciwym”, „co daje twój gest?” Inna sprawa, że cynizm bywa pozą, pod którą kryje się wstydlivość dobroci. Cynizm prawdziwy podzieliłbym na dwa gatunki — ten z toporkiem i ten z kwiatkiem. Pierwszy jest prymitywny i brutalny; nie usiłuje się usprawiedliwiać; gdy się nadarzy okazja, da w czaszkę współzawodnikowi, ale zwykle lawiruje ostrożniej, mizdrzy się prywatnie lub ideologicznie i uporczywie zabiega o swoją pieczonkę. Cynizm z kwiatkiem jest subtelniejszy. Jego typowym przedstawicielem jest chłopyś niezadowolony („świat?...ech!”) i zde gustowany („kino? — mam dosyć!”), chłopyś wymagający („czarna, ale koniecznie z pianką!”) i egzystencjalnie rozgoryczony („nie ludź się, nigdy nie wyjdziemy z kloaki!”), chłopyś, który dorastając staje się nagle trzeźwo wyrachowany i w stylu szcwanego karierowicza szuka chodów do najlepszego zarobku przy minimum wysiłku. Można na nim polegać! W sytuacjach krytycznych nigdy nie dojrzy konfliktu.

E g o i s t a b l u s z c z o w a t y jest życiowo słaby, toteż zawsze szuka pomocy i oparcia kogoś, kto będzie za niego myśleć, decydować i pracować. Przyjaźń i miłość pojmuje on jako uwieszenie się na czyjejszy szyi. Kochać znaczy dla niego uwiesić się, a przeżywać tragedię — nie mieć na kim się uwiesić. Kiedy niewinnie zapytałem Agatę, co jest najcudniejsze w miłości, bez chwili wahania odpowiedziała: „Być okrytym, to znaczy zadbanym, mieć zapewnioną opiekę i współczucie...”

W przeciwieństwie do przeciętnego człowieka, który też nieraz szuka oparcia, egoista bluszczowaty potrzebuje go nie okresowo, lecz stale, prawie bez wyboru gotów jest uwiesić się na byle kim i ani myśli o wzajemnym dawaniu oparcia. Branie i tylko branie jest dla niego naturalne. Jeśli ktoś zwróci się doń o pomoc, to opowiada o tym niezwykłym wydarzeniu z mieszaniną dumy, zdumienia, pogardy i oburzenia.

E g o i s t a s p r y t n y, urządzając się tak, by ktoś inny za niego spłacił i ktoś inny za niego pracował, wykazuje sporą przemyślność. Jest tą żoną, która ma alergię od kurzu i brudnych naczyń, a instalując kuchenkę z piekarnikiem zwierza się przyjaciele, że nic nie upiecze, bo nie jest głupia:

— Nie rozumiem?

— Nie? To proste. Gdybym raz upiekła, zobaczyłyby, że umiem, i wciąż by się dopominał.

Egoista sprytny jest typem najpospolitszym, powiedziałbym nawet wulgarnym. To „ostatnie słowo nasunęło mi się dzięki uwadze Montherlanta: „Bezinteresowność ma może tylko jedną zasługę, iż wydobywa nas z wulgarności, ale za to czyni to niezawodnie”

[Montherlant: *Service Inutile*. Grasset, Paris 1935, s. 266.]

Egoista twardy jest życiowo silny. Jego dewizą jest maksimum użycia przy minimum szacunku dla cudzych praw. Głosi, że człowiek winien iść przez życie o własnych siłach. Jemu też nikt nie pomógł. Gdy egoista twardy ma upodobanie do obłudy, wtedy zamiast głosić „stoicyzm” wzdycha i z rozpaczą w głosie powiada, że „takie jest życie!”

Życiowo silny jest także egoista dynamiczny. Jest on groźniejszy, ale i ciekawszy od innych, gdyż nie musi być egocentrykiem. Rzeczami, które pragnie zdobyć, interesuje się co najmniej równie żywo, jak własną osobą. Co prawda obchodzi go tylko jeden ich aspekt: kobiety interesują go jako źródło własnej przyjemności, praca jako droga do zaspokojenia własnej ambicji, kultura jako narzędzie, dzięki któremu on może błyszczeć. Bywa nawet uczynny, jako że nie brak mu energii i wie, co jest dobrym interesem na dłuższą metę: „Jeśli nawet nie każdy może się przydać, to na pewno każdy może zaszkodzić”.

Przeciwieństwem egoisty dynamicznego jest nieagresywny egoista dobrotliwy. Jego egoizm pochodzi z lenistwa. Nie zagarnie cudzego, ale też nie zejdzie ze swej ścieżki, by komuś dogodzić. Niekiedy nawet rezygnuje z własnych praw, ale nie stanie w obronie cudzych. Często ma miły, dobry, nawet czuły uśmiech. Bywa delikatny, taktowny, słodki — wszystko, co trzeba, by uniknąć konfliktów. Uważa się za dobrego. I ci, co go bliżej nie znają, też sądzą, że jest wyjątkowo porządnym człowiekiem, tym bardziej że gdy go o coś poproszą, to nie odmówi, tylko przekonywająco wykaże, iż nie ma sensu, by to on miał robić. Opisując ten typ ludzi francuski filozof Saint-Evremond pisał trzysta lat temu:

„Znam leniuchów rozpaczających na samą myśl, że komukolwiek będą musieli coś załatwić; wrodzona opieszałość nie pozwala im nawet ruszyć się z miejsca; ale nie odmówią wam pomocy pieniężnej czy też innych dóbr, jeśli tylko nie będzie to wymagało trudów ni zachodu”

[Saint-Evremond: dz. cyt. s. 104.]

Egoista dobrotliwy gotów jest płacić za spokój, nawet próżnością; woli uchodzić za niespostrzegawczego lub nie rozumiejącego sytuacji głupca, niż poruszyć się i zadziałać. Jest zbyt zmęczony i wrażliwy, zbyt nerwowy i bezradny, by osobiście załatwić coś, co wykracza poza normalny rytm obowiązków. Cechuje go wygodnictwo i unikanie każdej czynności, do której nie jest zmuszony. W pracy będzie skrupulatnie przestrzegać wszystkich przepisów, będzie tym klasycznym urzędnikiem, który — jak mówi M. Dąbrowska — zrobi wszystko, co do niego należy, ale nie zrobi niczego, by ludziom życie ułatwić.

Dobroduszny i pocziwy egoista nie dostrzega swego egoizmu. Nie on jeden. Wydaje się, jakby egoizm rozwijał własny system obronny znakomicie uodparniający go na ataki. System ten doskonalili się zwłaszcza w rodzinach, w których obowiązują wysokie kryteria moralne. Pochodząc z takiego środowiska i chcąc zachować dobre o sobie mniemanie egoista absolutnie nie może dopuścić do świadomości prawdziwego charakteru swego postępowania.

Ta moralna ślepotą bywa zdumiewająca. Zdarzyło mi się słuchać żalów chłopca, który rozповідаł, że musi zmienić dziewczynę, bo jego ukochana skorzystała z okazji i o tydzień przedłużyła sobie pobyt w Karpaczu. Oburzając się na jej postępowanie chłopak zapomniał, że sam wyjechał zostawiając babcię staruszkę, gdy właśnie miała dostać przydział mieszkania (jej dom rozbierano) i nie miała nikogo, kto by chodził do kwaterunku i czuwał, by dostała pokój na parterze lub w domu z windą. Gdy zwróciłem chłopcu uwagę ona niekonsekwencje jego sądów, zdziwił się: „Co ma piernik do wiatraka!”

Mechanizm przytępionego rozeznania działa także w dziedzinie uczciwości. Oto skończywszy studia chłopak zostaje za granicą, gdzie mu się otworzyła perspektywa stosunkowo dużych zarobków, i absolutnie nie dopuszcza do swej świadomości oczywistej prawdy, że popełnia podwójną kradzież, poważniejszą od przywłaszczenia sobie zegarka przyjaciela: okrada społeczeństwo, które dało mu wykształcenie i okrada samotną matkę,

której za ogrom troski należy się coś więcej niż paczka co pół roku.

Charakterystyczne jest, że nie dostrzegając egoizmu w sobie samolub uczulony jest na jego objawy u innych. Egoistą jest dla niego każdy, kto mu nie dogadza, każdy, kto nie stosuje się do jego zachcianek. „Jesteś obrzydliwym egoistą!” — woła dziewczyna do chłopca, który woli spędzić wieczór w domu niż iść na rewię. „Jesteś egoistą i tyle” — mówi buchalter do swego kolegi, który mając chore dziecko nie chce zostać po godzinach, by pomóc znaleźć błąd w księgowaniu. „Jesteś typową egoistką!” — zarzuca mąż żonie, która dla prowadzenia domu nie chce zrezygnować ze swego zawodu. „Tak, tak, egoisto!” — woła żona pod adresem męża, który jedzie na polowanie z przyjacielem zamiast z nią spędzić niedzielę.

Gotowość do wzajemnych oskarżeń o egoizm prowadzi nieraz do tragikomicznych spięć. Oto pan A. nagle otrzymał mieszkanie i wyprowadza się od B. stwarzając „groźną lukę w metrażu”; B. daremnie protestuje. Komentarz A.: B. to egoista, zawsze myśli tylko o sobie. Komentarz B.: A. to egoista, zawsze myśli tylko o sobie.



## Wymagania i kaprysy

*Kto za wiele pragnie temu wiele braknie!*

(Przysłowie)

Kochanie, podaj mi bransoletkę... Moje złotko, zobacz, czy w łazience nie zostawiłam zegarka... Nie zapomnij wynieść śmieci... Najdroższy, podłoga się zachlapała, wytrzyj!... Wiesz, gdybyś mógł jeszcze pójść po taksówkę... Tylko zanim wyjdiesz, znajdź torebkę swego słoneczka... To oczywiście nie są jeszcze prawdziwe wymagania, tylko drobna przygrywka. Będzie gorzej, gdy „słoneczko”, samo nie mogąc znaleźć odpowiedniej pracy zarobkowej, będzie mimo to żądać, by mąż robił zakupy i zaciągał podłogę, a z praniem będzie czekać na matkę, bo „ona jest do tego przyzwyczajona, a ja nie mogę niszczyć sobie rąk”.

Bliską krewną „słoneczka” jest rozkapryszona paniusia:

- Koldry? Koldry w czerwcu! Co za pensjonat! Nie będę mogła spać!
- Ale za to powietrze...
- Piękne mi powietrze, okno z widokiem na podwórze!
- Przeniesiemy się jutro.
- I zmarnujemy dzień!
- Za to kupiłem ci na drogę mydło Palmolive.
- Nie cierpię tego zapachu!

Ta sama u krawcowej:

- Nie podoba mi się.
  - Co?
  - Ten model.
  - Ten model pani sama wybrała i zamówiła,
  - Ale jest źle wykonany,
  - Dlaczego?
  - To pani powinna wiedzieć. Nie wezmę jej.
  - Ale przecież robiliśmy na zamówienie,
  - Dałam sto złotych zadatku i nie mam pretensji!
- Do widzenia!

Dla sprawiedliwości wymienię bęcwała męża, który występuje z żądaniem, by żona wróciwszy z pracy i zrobiwszy obiad wyprała mu koszulę. Rodzonym jego bratem jest „puchowy kawaler”, który robi piekło, bo mu odprasowano nie ten krawat albo kupiono cielęcinę, gdy on chciał wołowinę.

Po komentarz do grymasów, fochów i fanaberii cofniemy się o prawie dwa tysiące lat:

„Taki człowiek, (...) który nie napije się wina, jeśli nie jest chłodzone śniegiem, nie będzie jadł chleba kupionego na rynku, nie skosztuje potraw z prostych glinianych naczyń, nie położy się na posłaniu, o ile nie i będzie tonał w puchach jak w rozkołysanym morzu, który służbę przy stole popędza różgami i szturchańca mi, tak że biegają spoceni z krzykiem, jakby śpieszyli przynosić plastry na jęczące się w jakimś zapaleniu wrzody — taki jest niewolnikiem swego trybu życia pełnego chorobliwego niezadowolenia, pretensji, grymasów i nie czuje, jak wyrabia w sobie pod wpływem ustawicznych zadrażeń, jakby od uporczywego kaszlu, usposobienie swędzące, rozjątrzone i skłonne do uniesień”

[Plutarch: O powściągnięciu gniewu 13. Moralia. Biblioteka Narodowa. Wrocław 1954, s. 270.]

Powiecie: A kto dzisiaj ma służbę „biegającą wokół”? Odpowiadając wskażę na sobotnie ogonki do sklepów z pieczywem (dla wielu świeże pieczywo warte jest czyjegós wystawiania), wskażę na tych, dla których barszcz jest zawsze za słodki lub za kwaśny, jajka za mało lub za bardzo ugotowane, pierogi za twarde lub za miękkie, partner zbyt obojętny lub zbyt agresywny, miejsce w pociągu za daleko lub za blisko okna.

Osobnik z długą listą wymagań jest podobny do damuli z ciężkimi kuframi: psuje przyjemność sobie i współtowarzyszom wycieczki, którzy do pewnych granic czują się obowiązani do pomocy. Prawem kontrastu przypomina się Sokrates, gdy oglądając rozłożone na straganach towary radośnie zawołał: „Bez iluż to rzeczy mogę się obyć!”

Kaprysy odstrasza, wielkie wymagania zniechęcają. „Potrzebie łatwo dogodzić, pieszczocie trudno” — mówi przysłowie. I drugie: „Najgorszy u człowieka jest kaprys!” Po co usiłować dogodzić komuś, komu dogodzić nie sposób? Po co myśleć o zrobieniu przyjemności komuś, komu nic się nie podoba? Po co obrzydzać sobie posiłek i wakacje, pracę i odpoczynek obecnością wiecznie skrzywionego towarzysza?

Odróżnia się wymagania rzadkie, lecz duże, od ciągłych, drobnych. Syn domagający się motocykla za zdanie matyry, spekulant proszący znajomego o pożyczanie kilku tysięcy, kuzyn oczekujący, że ktoś z rodziny odstąpi mu pokój, żądają wiele, ale przynajmniej z ich punktu widzenia „stawka jest warta gry”. Natomiast wymagania rozkapryszonych „słoneczek” i pokrewnych im istot są z każdego punktu widzenia bezsensowne. Strona wymagająca, nawet gdy jej życzenia są spełnione, przegrywa więcej, niż zyskuje. Co do mnie, mógłbym oddać życie za przyjaciela, ale niech lepiej nie żąda ode mnie, żebym targował się z ludźmi, którzy przywieźli mi węgiel, albo rozplątywał taśmę magnetofonową.

Odrębny rodzaj stanowią wymagania niematerialne, które nie muszą pochodzić z wygodnictwa lub zachłanności. Zygmunt wymaga od A., by czytał z zapalem, od B., by myślał bystro, od C., by działał sprawnie itd. Wymagania takie drażnią, gdyż przeważnie są nierealne. Kto żąda od konia, by chodził po drabinie, od krowy, by szczekała, a od psa, by dawał mleko, ten osiągnie tylko to, że koń go kopnie, krowa ubodzie, a pies ugryzie.

Szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego jedni mają wielkie wymagania, a inni małe, wyodrębnimy przede wszystkim wymagania uzasadnione. Dzieci, chorzy, starcy albo osobnicy w jakikolwiek sposób upośledzeni rzeczywiście potrzebują więcej pomocy niż inni. Te same cztery piętra, które nie robią różnicy zdrowym nogom, są problemem dla chorych. To samo mięso, (które jest miękkie i strawne dla młodego, może być twarde i niestrawne dla starego. Także i łóżko jest inaczej odczuwane przez tego, kto natychmiast zasypia, a inaczej przez tego, kto spędza bezsenne noce albo leży miesiącami czy latami.

Skłonność do wymagań obiektywnie nieuzasadnionych pochodzi głównie z dzieciństwa. Dziecko wyciąga rękę po wszystko, co się świeci, co kolorowe, a potem po wszystko, co słodkie, łatwe, wygodne, zabawne, imponujące. Im zamożniejszych i bardziej rozkochanych ma rodziców, tym więcej otrzymuje, aż wyrasta na osobnika, który nie może podróżować drugą klasą, którego boli głowa, gdy punktualnie nie podadzą mu obiadu, albo ma zepsute wakacje, gdy łóżko w domu wczasowym nie jest wygodne. Brak mu samodzielności, bo zawsze ktoś mu prał skarpetki i przyszywał guziki. Wyrósł w przekonaniu, że wszystko mu się należy, toteż nie ma żadnych skrupułów. Być obsłużonym jest dla niego sytuacją naturalną. Nienaturalną, oburzającą sytuacją jest nie mieć wszystkiego. Darmo by mu tłumaczyć, że ma za duże wymagania. Odpowie ze szczerym przekonaniem, że są one minimalne. Nikt mu też nie potrafi wytłumaczyć, że są nieuzasadnione. Zbyt długo żył wśród ludzi, którzy je respektowali.

Konflikty pochodzące z tego typu wymagań są przyczyną rozkładu wielu małżeństw. Oto młoda pani, która zawsze „miała dobrze i dużo” bez potrzeby „wysilania się”, wychodzi za mąż za mężczyznę zarabiającego ciężką pracą niezbyt wiele. Zatargi wybuchają już w pierwszym miesiącu. On ma jej za złe taksówki i wydatki na kawiarnie, a ona zarzuca mu skąpstwo i egoistyczne zapatrywania na pracę kobiety w domu. Jeśli rozpieszczony przez rodziców paniczek ożeni się z kobietą, która intensywnie pracuje zawodowo, to można się spodziewać, że będzie miał pretensje o nie uprasowane spodnie, nie oczyszczoną z plam marynarkę, nie przygotowaną na rano czystą koszulę.

Następny rodzaj wymagań może, ale nie musi wywodzić się z dzieciństwa. Są to

wymagania, których przedmiot ma charakter symboliczny. Dziecko coraz to się o coś upomina, właśnie wtedy, gdy matka jest najbardziej zajęta, gdyż wtedy nie zwraca na niego uwagi. Także i dorośli przymawiający się o drobny prezent lub małą przysługę potrzebować może tylko symbolu — troski.

Na ostatek wymienię wymagania, a raczej już żądania, które są stawiane w gruncie rzeczy po to, by zademonstrować władzę, przewagę, „wyższość”. Zdarza się młodym asystentom, że niesłusznie odrzucają prace studentów, zdarza się niezbyt pewnym siebie kierownikom, że narzucają niczym nie uzasadnioną dyscyplinę. Ale uwaga! — Wypadki takiego wywyższania się są sporadyczne, na pewno rzadsze niż podejrzenia o nie.

Spaczony byłby obraz zagadnienia, gdyby zabrakło pochwały wymagań słusznych i twórczych. Mam na myśli mobilizujące wymagania przyjaciół, sumiennych pedagogów i przełożonych. Staje mi przed oczami dyrektor M., który świetnie zna kwalifikacje współpracowników i pilnuje, by nie pracowali poniżej swych możliwości, a nawet dba, by je rozwijali. Niejeden patrzy na niego jak na męczyduszę i pedanta, bo też na swój sposób męczyduszą i pedantem jest każdy, kto umiłował swój warsztat, któremu zależy ma doskonałości pracy. Złośliwie mówi się o nim i o jemu podobnych, że ludzie, którzy umieją narzucać sobie dyscyplinę, byliby miłsi, gdyby nie usiłowali narzucać jej innym. Niemniej nikomu, a zwłaszcza młodym, nie radzę unikać pracy pod takim zwierzchnikiem.

Z perspektywy czasu okazuje się, iż najbardziej wymagający kierownicy są najlepszymi wychowawcami. Osobiście jestem szczerze wdzięczny tym profesorom, którzy dużo mi się kazali namęczyć.

## Metody

*Także wspinać się można metodą pelzania.*

Jonathan Swift

Wymaga to dużej klasy charakteru, ale groźny współzawodnik może być lubiany pod warunkiem, że gra bez faulów, rzetelnie i czysto. W życiowej grze klasycznym „faulem” jest lizusostwo i intryganctwo. Nie budzi wrogości majster, który awansuje dzięki temu, że wybija się wiedzą, zaradnością i pracowitością, ale na pewno budzi sprzeciw karierowicz, który:

*Lize!  
czule i uczenie,  
w ręce,  
w biodra  
w pas i —  
niżej,  
tak jak sukę  
liże szczenię,  
tak jak kociak  
kotkę liże.  
Za względami władz  
w pogoni  
wciąż  
językiem wdzięcznie myrda,  
tak spienionym,  
że się golić  
może  
bez użycia mydła.  
Wszystko chwali,  
wziąwszy rozpęd,  
czego tylko  
myślą dotknie:  
wasz charakter,  
waszą ospę,  
wasze męstwo  
i nagniotki.*

[ W. Majakowski: Młodym. Iskry, Warszawa 1956, s. 131.]

— Jaką koleżankę szkolną wspominasz najgorzej? — zapytałem znajomą.  
— Taką — brzmiała odpowiedź — która za nauczycielką nosiła parasolkę.  
Płaszczanie się przed „szarżą”, nadszkakiwanie i schlebienie przełożonym, zachwywanie się wszystkimi ich decyzjami, dowcipami i krawatami budzi niechęć, kompromituje i ośmiesza. Każdy człowiek na wyższym stanowisku wciąż ma do czynienia z wazeliniarstwem i z natury rzeczy musi ironicznie odnosić się do służalczości. Obmowa jest bronią groźniejszą, choć tak samo kompromitującą. Oto nauczycielka X. chcąc dostać więcej godzin zleconych mówi kierownikowi szkoły, że jej koleżanka Y. (która też się stara o te godziny) ośmiesza go przed uczniami. Szczęśliwie Y. dowiaduje się o tym i w obecności X. żąda przedstawienia świadków. X. wycofuje się, a jej wykrętne tłumaczenie dodatkowo ją pograża.

Na terenie szkoły, ale nie tylko szkoły, faulem pokrewnym lizusostwu i obmowie jest skarżenie. Jeśli widząc niedociągnięcia w pracy kolegi, nie poprawiamy go, nie staramy się mu pomóc i donosimy o nich kierownictwu, to na pewno na nikim dobrego wraże nia nie zrobimy. Istotną w takich sytuacjach jest intencja: czy zależy nam na tym, by

pomóc koledze i usunąć usterkę w zakładzie, czy na tym, by „wykazać się” przed dyrekcją?

Jeszcze gorsze jest puszczanie plotek będących kłamstwem albo grubo naciągniętą prawdą. Wystarczy, by jedna kuma powiedziała o córce sąsiadki „już ja wiem, o której ona wraca do domu...”

Puszczanie plotek bywa metodą ulżenia zawiści, próbą zwrócenia na siebie uwagi albo zabicia nudy. Rozrywka ta, nawet gdy nie kryje w sobie złośliwej intencji, jest tylko pozornie niewinna. Trudno się gniewać na Wicię za to, że opowiedziała mężowi o moralnych konfliktach swojej przyjaciółki Wandy. I nic dziwnego, że mąż Wici opowiedział o nich swojej siostrze — od początku życia wszystko jej opowiadał. Siostra zaniósł „opowiastkę” do biura w szlachetnej intencji, by czymś wypełnić „puste” biurowe godziny. Jedną z jej koleżanek jest Dusia, kuzynka Wandy, niezbyt ją kochająca, gdyż zbyt często stawiano jej Wandę za przykład. I oto przy okazji święta, przy rodzinnym stole, Dusia przeżywa wielką chwilę, mogąc popisać się doskonałą informacją o konfliktach Wandy. To i owo dałoby się powiedzieć i o autorze, który czyha na niedyskrecje i plotki, chciwie słucha opowiadań o potknięciach i poślizgnięciach przyjaciół, by z odpowiednią przyprawą opisać je na przykład w książce o kulturze współżycia.

Po stronie „władzy” klasycznym faulem jest *n i e s p r a w i e d l i w o ś ć*. Ciekawe, że niesprawiedliwość jest może najczęściej powtarzającym się słowem w narzekaniu na nauczycieli i przełożonych: oskarżenia o nią nie zawsze są słuszne — zły stopień lub pominięcie w awansie najłatwiej wytłumaczyć uprzedzeniem nauczyciela czy kierownika — niemniej rzeczywiście zdarzają się wypadki faworyzowania zarówno dzieci, jak dorosłych, zdarzają się i poważnie uszczuplają kredyt moralny winnego. Niesprawiedliwość wyrządza nieobliczalne szkody społeczne. System protekcji wychowuje w duchu cynizmu. Przekonanie, że nic nie można zrobić, jeśli się nie ma chodów, trwale zniechęca nie tylko najslabsze charaktery. Tak samo odmawianie uznania dla wysiłków, nieuzasadnione różnice w wynagrodzeniach, złośliwe interpretacje motywów, szykanowanie jednych dla kumoterskiego pomagania innym zniechęca, rozgorycza, budzi nieufność i pogrąża w przygnębieniu, z którego niełatwo, się otrząsnąć.

## Tupet i natarczywość

*Nie podoba mi się upór tych drapieżnych ptaków.*

J. Giraudoux

Jednym prośbienie przychodzi ze zdumiewającą łatwością, a innym gardło się zaciska, gdy mają się o coś przymówić. Tak samo łatwe dla jednych, trudne lub niemożliwe dla drugich jest wyzyskiwanie znajomości, podsuwanie łapówek, zgarnianie gotówki, wykorzystywanie każdej sytuacji bez uczucia wstydu.

Oto zachorował majster obsługujący obrabiarkę najnowszego typu: jego kolega melduje inżynierowi, że chory zapoznał go z obsługą maszyny; gdy po dwóch miesiącach dawny majster chce wrócić na swoje miejsce, zastępca stara się go nie dopuścić.

Mówi się, że ci bezczelni, ci natrętni, ci „z szybką orientacją” zawsze wygrywają! To nie takie pewne. Tym, którym łatwo przychodzi prośbienie, łatwo jest odmawiać. Poza pierwszym momentem zaskoczenia, nietrudno jest zdemaskować osobnika nastawionego na wyzyskiwanie przyjaciół, a raz zdemaskowany traci grunt pod nogami. Kto toruje sobie drogę łokciami i przepycha się siłą, liczy tylko na gapiostwo i bierność pozostałych. Ale cwaniak usiłujący ominąć kolejkę nieraz dostaje po łbie i od nas zależy, aby zawsze dostawał.

Cnota wytrwałości skojarzona z tupetem rodzi natrętów. Zrozumiałe, że pojęcie natarczywości jest względne: natrętem jest nie ten, kto często przychodzi, pisze, telefonuje, ale ten, kto się przysiąda do stolika, kto wchodzi do naszego pokoju, gabinetu, czy w ogóle wdziera się do naszego życia, choć my go w nim widzieć nie chcemy. Zdarza się nawet, że pełen dobrej woli puka do nas, aby coś dać i niestety — przeszkadza.

Z grubsza natrętów podzielić można na:

bezinteresownych,  
interesownych,  
zakochanych.

Oto doskonała ilustracja natręta b e z i n t e r e s o w n e g o :

„Była przekonana, że będzie mi zimno, więc jak zwykle, postarała się, aby moje wyjście było une petite affaire serieuse. Usiłuję zawsze wykraść się, wymknąć, chciałabym opuścić się w dół przez okno lub po prostu zniknąć jak promień światła.

— Czy jesteś pewna, że nie będzie ci potrzebna peleryna... itd., itd.?

Stanowisko jej utwierdziło mnie w mojej decyzji. Wysłałam. Na rogu pędzący, wesoły, gwałtowny wiatr rzucił się na mnie. Tego było nadto, drżąc poszłam jeszcze parę kroków naprzód i zawróciłam do domu. Wsunęłam klucz w zamek Yale jak złodziej, zamknęłam drzwi cichutko. Lecz ona zjawiała się na schodach.

— Więc jednak było zimno.

Nie mogłam odpowiedzieć ani nawet spojrzeć na nią. Odwróciłam się i zaczęłam zdejmować rękawiczki. Ona mówiła dalej:

— Mam nowy wykroj bluzki, który chciałabym ci pokazać.

Ja na to uciekłam na górę, weszłam do swego pokoju i zamknęłam drzwi za sobą. Cudem nie poszła za mną

Co jest w tym wszystkim, co wywołuje we mnie aż taką nienawiść do niej? Jak to zrozumieć? To prawda, że tysiąc razy widziała, jak staram się wchodzić i wychodzić, nie zauważona przez nikogo. Musiałam się przewyciężyć boleśnie, aby jej powiedzieć, jak te pytania ranią to, co pozostało z mojej niezależności — i jak się czuję samodzielna, przynajmniej przez chwilę, gdy nikt nie pyta się, gdzie idę i po co idę. Lecz to nazywa się «...dziwactwem Katie. Naturalnie, nie myśli ona tego serio».

Nie rozmawiałyśmy prawie przy śniadaniu. Gdy skończyłyśmy jeść, zapytała mnie, czy może mi pokazać ten wykroj bluzki? Czułam się taka chora, że zdawało mi się, że nawet kura, spojrzawszy na mnie z boku swym ciemnym oczkiem, zauważyłaby, jak jestem niezdrowa. Nie pamiętam, co powiedziałam. Lecz ona jednak weszła do mego pokoju i położyła coś przede mną, naprawdę nie wiem, co to było. — Niech ci ta twoja krawcowa pomoże — powiedziałam, ale to jej nie powstrzymało. Mruczała dalej: — Purpurowy szyfon, przód, dekolt, rękawy — nie wiem już co. Nareszcie powiedziałam jej, aby to wszystko zabrała.

— Co to, Katie? Czy ci przeszkadzam?

— Tak, można to i tak nazwać”

[ Katarzyna Mansfield. Dziennik, dz. cyt. str. 136.]

Za przykład tupetu z d r o b n y m i n t e r e s e m posłuży pacjentka doktora H. Na nieszczęście doktora jest ona znajomą całej rodziny. Wykorzystując ten fakt nie tylko przybiega do niego z byle zaziębieniem i spodziewa się gruntownego badania, ale ponadto prosi o recepty na ubezpieczalnię, choć jej się one nie należą. Doktor nie jest twardym człowiekiem i ustępuje. Pacjentka się rozzuchwała. Onegdaj o dziesiątej wieczorem przyjechała do niego z prośbą o ubezpieczalnianą receptę na aspirynę. Patrząc na swego pieska — którego utrzymanie według jej własnych słów kosztuje ponad 300 zł miesięcznie — dodała:

„I może jeszcze receptę na witaminy dla Duda!”

Natręt z interesem otwartym lub ukrytym naprzykrza się „do skutku” mając nadzieję zdobyć uporem to, czego nie może zyskać zwykłym trybem. Taki interesant jest niekoniecznie osobnikiem „bez twarzy”. Może na przykład jego doświadczenia z urzędami były tego rodzaju, że wyrobiły w nim przekonanie o niemożliwości załatwienia czegokolwiek bez deptania do upadłego. Niekiedy jest to doprowadzona do rozpaczki matka kilkorga dzieci, która widząc, jak one chorują w jednej izbie butwiejącego domu, gotowa jest siedzieć tygodniami przed drzwiami naczelnika kwaterunku, dużo częściej jednak jest to paniusia, która co drugi dzień dzwoni do znajomego profesora, prosząc o wyrobienie dla córeczki asystentury.

Najżałośniejszy ze wszystkich jest natręt z a k o c h a n y. Ma nadzieję wzbudzić miłość nachodzeniem, wzdychaniem i skomleniem. Ta jego nadzieja i zabiegi, podtrzymywane przez drugą stronę ochłapkami kokieterii, pogarszają sytuację. Jest to optymizm, który nie pozwala wyciągnąć praktycznego wniosku z oczywistego faktu, że natręt traci godność i resztę sympatii. Gdyby całkowicie znikł z oczu, druga strona zachowałaby po nim przyjemne wspomnienie. Gdyby znikł, to może po jakimś czasie ona by się odezwała. Ale tak, pamiętać będzie przede wszystkim to, że był nudny i śmieszny, będzie go miała dosyć na całe życie.

## Kłamstwo

*Usprawiedliwianie się kłamcy  
podobne jest do wysiłków ściętej głowy,  
by przemówić.*

F. Ch. Hebbel

Dziewczyna do chłopca:

„Nie odprowadzaj mnie. Pójdę jeszcze do koleżanki...”

Syn do ojca:

„Tyle właśnie kosztowała maszynka do golenia, którą sam chciałeś mi kupić na imieniny”.

Dziewczyna do koleżanki:

„Mówić prawdę? Myślisz, że rodzice znieśliby prawdę o mnie?”

Z. telefonuje, by mi powiedzieć, że nie może przyjść, bo się zaziębił, i... kaszle do telefonu. Nie wierzę mu. A przecież mógł się zaziębić. Tylko kiedyś tłumaczył spóźnienie tym, że go dyrektor zatrzymał, a przypadkiem dowiedziałam się, że w tym czasie dyrektora nie było w biurze. Teraz cokolwiek by mi Z. powiedział, nigdy mu bez reszty nie wierzę.

Kłamstwo obciąża pamięć i jest złą polityką, zraża i podrywa zaufanie na długi czas.

A kłamstwo, które się udało?

Jastrząb z zawrotnej wysokości dostrzega mysz, gdy się poruszy, a pamięć nawet z największej odległości czasu potrafi niespodziewanie wyciągnąć fakt sprzeczny z aktualną informacją. Kto by przypuszczał, że Henryk pamięta, jak przed paru laty jego ciotka była ubrana na balu, a jednak złośliwie się uśmiechnął, gdy oświadczyła, że nigdy nie miała na sobie czerwonej sukni.

Mocno koloryzując swoje przygody, nasz znajomy potwierdza mądrość chińskiego przysłowia: „najwięcej kłamie ten, kto najwięcej mówi o sobie”.

W obawie przed karą kłamie uczeń, gdy tłumaczy, że się nie przygotował, bo nie mógł dostać podręcznika (usprawiedliwianie się jest powinowate kłamstwu — twierdzą Arabowie).

W obawie przed ironią lub dezaprobatą buja, kręci, wprowadza w błąd młody człowiek, który jeszcze nie odkrył jak łatwo jest powiedzieć „nie wiem”.

Wykręcając się od obowiązku płacenia podatków lub alimentów kłamie rzemieślnik, gdy podaje niższe zarobki.

By zdobyć uczucie, kłamie kobieta, która — nie zaznawszy w dzieciństwie rodzicielskiej miłości — nauczyła się wzbudzać czułość udawaniem.

Może jednak najżałośniej kłamie człowiek z potrzeby znaczenia. Andrzej Frycz Modrzewski pisał:

„A tu żądza wywyższania się nad innych jest tak ogromną, że bardzo wielu udaje coś, czego albo w nich zgoła nie ma, albo jest daleko mniejsze, niż chcieliby, aby było w oczach ludzkich, bo większą im widocznie jest troską nie to, czym są, ale czym się ludziom wydają”.

[ A. F. Modrzewski: O naprawie Rzeczypospolitej. PIW, Warszawa 1953, t. I, s. 208.]

Zależnie od wieku i środowiska to dodawanie sobie znaczenia przybiera różne postaci. „Jestem studentem” — mówi chłopak przygodnej znajomej. „Już mi się jedenastu chłopców oświadczyło” — buja na wsi dziewczyna wracająca z miasta. „Przeczytałam całego Prousta, to dobre” — zaznacza pretensjonalna półanalfabetka, a jej brat daje do zrozumienia, że ma wpływy i że może zarobić, ile tylko chce. Im ktoś jest bardziej „przeegrany”, tym bardziej skłania się do tego typu kłamstw, aż kłamstwo, którym się podpira, pogrąża go ostatecznie.

Im bardziej interesowne jest kłamstwo, tym bardziej jest oszustwem, a im bliższy kłamcy jest okłamywany człowiek, tym bardziej jest ono zdradą.

Już nawet istotne przemilczenie ważnej informacji jest odstępstwem od przyjaźni.

„Człowiek cnotliwy — powiada Cyceron — którego również można nazwać mędrcem, potrafi przestrzegać w przyjaźni dwóch następujących zaleceń: najprzód, iżby nie było tam nic obłudnego lub nic udanego, bo nawet nienawiść otwarta jest szlachetniejsza niż



nieujawnianie na zewnątrz swego uczucia; a następnie, iżby nie tylko odrzucać obwinienia, z jakimi występują drudzy, lecz i samemu nie być podejrzliwym, wciąż przypuszczającym, że coś tam jednak przyjaciel wobec nas zawinił”.  
[ Cyceron: O przyjaźni 18, 65. Pisma filozoficzne t. IV, dz. cyt., s. 99.]

Gdzie jest kłamstwo, tam już nie ma przyjaźni.

Dlaczego?

Bo okłamywanie przyjaciela rodzi lub pogłębia uczucie gorszości, za którym idzie niechęć;

bo nawet najzręczniejszy kłamca odczuwa lęk, że prawda ujawni się, stąd czujność, skrzępowanie, zdenerwowanie, a zatem niemożliwość dobrego samopoczucia w obecności przyjaciela;

bo utrzymanie jednego kłamstwa wymaga dalszych, aż wznosi się cała ich pochyła wieża, której chwiejność staje się ważniejszym problemem niż powód pierwszego kłamstwa;

bo kłamstwo jest oznaką, a zarazem pogłębieniem obcości: człowiek, z którym nic nas nie dzieli, może wiedzieć wszystko, znać każdy moment naszego życia;

bo kto kłamie, ten sam nie wierzy w prawdę, sam staje się nieufny, a bez ufności przyjaźń nie istnieje.

Mimo tej ostatniej uwagi, jeśli ktoś odnosi się do nas z rezerwą i trochę nam niedowierza, nie miejmy mu tego za złe. Musiał się kiedyś sparzyć. Uczniowie i studenci nieraz mają żal do profesorów, gdy ci nie wierzą w ich opowiadania o chorobie babci, ale czy można się temu dziwić? Romek wierzył absolutnie swojej pierwszej sympatii, ale zawiodł się i teraz już bez zastrzeżeń wierzyć nie umie. Pan Kazimierz uważał, że nie ma prawa nie wierzyć swoim współpracownikom i... dotąd ponosi finansowe konsekwencje swojej ufności. Ogólnoludzka szkodliwość kłamstwa polega nie tylko na tym, że stanowi ono aktualny rozdźwięk, ale także na tym, że utrudnia przyszłe kontakty, że podważa istotne dla współżycia wartości godności, prawdę i ufność.

## Słowo i... zawód

*Temu dal uśmiech, temu przyrzeczenie,  
Tego obdarzył okiem miłościwym.  
Tego nagroził przez ręki ściśnienie,  
Tego zachwycił słówkiem dobrotliwym,  
I wszyscy radzi, szczęśliwi, weseli,  
Chociaż dawca nic nie dał, a ci nic nie wzięli.*

P. Jankowski

- A. obiecał przysłać hydraulika i zapomniał.
- B. miał pożyczyć sprzęt aportowy dla wycieczki, odkładał sprawę parę razy, aż w ostatniej chwili coś mu wypadło.
- C. miała przygotować referat, ale podobno zachorowała.
- D. podjęła się zastąpić kolegę w prowadzeniu ćwiczeń, po czym sama wyjechała.
- E. miał znaleźć pokój nad morzem dla matki jadącej z dwojgiem dzieci, ale pogoda była taka ładna na plaży było tak przyjemnie, nie chciało mu się szukać, wynajął byle co!
- F. zapewniał, że odpowiedź na podanie przygotuje na sobotę, ale gdy interesant przyszedł w poniedziałek, otrzymał tylko nową obietnicę.
- G. miał zrobić korektę na pierwszego, ale wrócił z wakacji dopiero piętnastego.
- H. pożyczyła od koleżanki sweter na jedną wycieczkę, a chodziła w nim całą zimę.
- I. obiecała przyjść wcześniej i pomóc koleżance w robieniu kanapek.

Rzeczywiście przysłała pięć minut przed innymi gośćmi.

J. ledwie potrafił wydusić z siebie prośbę o pożyczanie 100 zł na tydzień, po czym miesiącami nie tylko pieniędzy nie oddawał, ale robił wrażenie, jakby o nich zapomniał.

To wszystko ludzie, na których nie można polegać, ludzie, którzy dezorganizują nam życie, psują krew, a nieraz wywołują duże napięcia i spęcia, duże rozczarowania i cierpienia. Proszę sobie wyobrazić stan chłopca, który po rocznej rozłące z ukochaną dziewczyną przypadkiem spotyka ją na ulicy, umawia się z nią, przez dwa dni żyje w istnym delirium nadziei, po czym w oznaczonej godzinie czeka, a ona nie przychodzi. Takie przeżycia zabijają jakieś ludzkie wartości na całe lata, jeśli nie na całe życie.

Łatwiej zapominamy o wyrządzonych nam krzywdach niż o nie dotrzymanyh zobowiązaniach, a ten, kto sprawia zawód, dyskredytuje się jako człowiek, i to tym bardziej, im większe znaczenie dla drugiej strony miało jego słowo.

N i e s o l i d n o ś ć i niewywiązywanie się ze zobowiązań zakłóca współzycie także na skalę społeczną. Niech za przykład posłuży niedotrzymywanie obietnic dawanych pracownikom. „Mimo entuzjazmu i wiary w siebie rodziły się pierwsze wątpliwości i rozczarowania: okłamano mnie. Namówiono mnie na wyjazd, naopowiadano bzdur, a ja w nie uwierzyłam” [Moja pierwsza praca. Iskry, Warszawa 1964, s. 59.]

— pisze dziewczyna o swoim pierwszym miejscu pracy. Ona i nie tylko ona traci entuzjazm, a także przestrzega innych przed pochopnym daniem wiary podobnym obietnicom.

Łatwo też sobie wyobrazić, co czuje inżynier, który jak mógł popędzał ludzi, wymagał nadgodzin, czuwał nad produkcją w dzień i w nocy, łby zdążyć na czas i... nie. zdążył, bo jeden z kontrahentów nie dotrzymał terminu. Plan nie został wykonany, pracownicy nie otrzymali premii, stracili zaufanie, a gospodarka narodowa straciła miliony.

Kaliber zobowiązań jest najróżniejszy i najróżniejszy może być stopień ich sformułowania. Zobowiązaniem jest powiedzenie „zatelefonuję wieczorem” i jest nim oświadczenie o dotrzymaniu tajemnicy służbowej. Zobowiązaniem jest pokwitowanie: “sumę 1000 zł otrzymałem do zwrotu przed dniem drugiego marca br.” i zobowiązaniem jest odpowiadanie na listy i oferty, a także... opieka nad starymi rodzicami.

Ostatni przykład każe zwrócić uwagę na możliwość zwięzającego lub rozszerzającego

traktowania zobowiązań. Elastyczne są zwłaszcza zobowiązania natury moralnej, a to m. in. dlatego, że są tylko milczącym założeniem. I tak w identycznej sytuacji jeden człowiek będzie się uważał za zobowiązanego do opiekowania się kimś drugim przez całe życie, a inny będzie próbował uciec w przepracowanie, w bezradność, może nawet w bezmyślność i głupotę, aż przyciśnięty do muru rzuci jakimś: „niczego ci nie obiecywałem”. Jeśli można poznać łajdaka po jednym zdaniu, to właśnie po takim.

Za niewypełnienie zobowiązania, czy niedotrzymanie obietnicy mogą być odpowiedzialne:

1. okoliczności zewnętrzne,
2. zła wola,
3. lekceważenie,
4. złe zrozumienie zadania,
5. zapomnienie,
6. ogólna powolność, brak wprawy, umiejętności czy wiedzy,
7. lekkomyślność w podejmowaniu się zadań.

Każdą z tych przyczyn można poddać dalszej analizie, ale dla naszych potrzeb wystarczy, jeśli trochę rozszerzymy punkt 1, 5 i 7.

Tłumaczenie się wskazywaniem na nie przewidziane trudności jest najprostsze i najczęstsze, ale wcale nie najbardziej przekonujące. Tłumaczącemu się można zwykle odpowiedzieć, że takich „nie przewidzianych okoliczności” jest w jego życiu zbyt dużo i że sądząc najogólniej jego wina polega na tym, że się nie nauczył ich przewidywać.

Zapomnienie nie zawsze jest przypadkiem. Rzadko się zdarza zapominać o czymś, na czym nam istotnie zależy. Powodem zapomnienia jest przeważnie niechęć do człowieka lub lekceważenie jego spraw.

Lekkomyslnością jest podejmowanie zadań przekraczających możliwości naszych środków, kompetencji i czasu. Przypuszczam, że ta nieodpowiedzialna lekkomyślność jest (najczęstszym powodem sprawiania zawodów. Pochodzić ona może:

- a) z przeceniania samego siebie,
- b) z pozowania,
- c) lub z zastraszenia.

Przecenianie własnych możliwości zachodzi wtedy, gdy osobnik rzeczywiście sądzi, że wszystkiemu podoła, ma dużo dobrych chęci, podejmuje się sprawy w dobrej wierze i tylko brakuje mu samokrytycyzmu. Do tej grupy należy grafik, który przyjmuje nową pilną pracę mając już paromiesięczne zaległości, człowiek, który obejmuje dyrekcję banku nie mając pojęcia o zagadnieniach gospodarczych i piastując już dwa inne stanowiska. Potrzeba pewnej wiedzy, by wiedzieć, że czegoś nie wiemy, potrzeba trochę kompetencji, by wiedzieć, że kompetencji nie mamy, potrzeba też uczciwości, by powiedzieć „nie”, gdy nastęcza się dodatkowy zarobek.

Pozowanie występuje wtedy, gdy ktoś obiecuje dla efektu: „jasne że ci to załatwię, będę na obiedzie z ministrem”, albo: „pomogę ci napisać pracę doktorską, nie takie rzeczy się robiło”.

Obok tego pozowania na wielkiego istnieje pozowanie na dobrego. Nie chcę, by mnie uważano za samoluba, dlatego oświadczam, że gdy zajdzie konieczność, przygarne do siebie starą ciotkę, ale gdy ta konieczność rzeczywiście zachodzi, przypominam sobie, że już i bez ciotki mam cztery osoby w dwóch pokojach.

Nierealne zobowiązania pochodzą z zastraszenia czy z onieśmienia wtedy, gdy zobowiązujący się nie śmie powiedzieć „nie”.

Przy okazji można się zastanowić nad tymi poczciwcami, którym nic nie można by zarzucić, gdyby umieli odmawiać, ale nie umieją. Są zawsze pełni dobrej woli. I ta ich dobra wola sprawia, że chciałoby się ich czasem zamordować.

Można ludzi podzielić na tych, którzy zwykle robią mniej, niż się spodziewano, i tych, którzy robią więcej. W każdej klasie i fabryce, w każdym biurze i może w każdym domu są i tacy, i tacy. Ci pierwsi mają zawsze gotowe usprawiedliwienie: „przecież mi nie kazałeś”, „za to mi nie płacą”, „co mi to da?”, a ci drudzy... bywają wyzyskiwani. Tak, wyzyskiwani! Ale prawdą jest także, iż ci, którzy rozczarowują, wzbudzają gniew

i pogardę, a ci, którzy sprawiają miłe niespodzianki — szacunek i sympatię. Chcemy współdziałać, chcemy tworzyć wspólny front nie z tymi, którzy szafują deklaracjami, ale z tymi, na których można polegać. Ci ostatni, i tylko oni, mogą się cieszyć szacunkiem i zaufaniem, tym zaufaniem, które jest większym komplementem od najgorętszej miłości.

## Fałszywe złoto

*Nie ma nic gorszego nad udawanie dobroci.  
Udawanie dobroci odstręcza bardziej niż otwarte złoto.*

L. Tołstoj

Zabawne są damulki, które do wściekle ujadających psów przemawiają lukrowanym językiem: „dobry piesek”, „śliczny piesek”. Nieufność wywołują przymilniaki dysponujący łatwą słodyczą na każdą okoliczność. Podejrzliwie spoglądamy na doskonale naoliwioną uprzejmość, pod którą wyczuwamy stalowe tryby interesu.

Pierwszą zasadą strategii jest uspienie czujności przeciwnika. Uśmiech, ugrzecznienie, a nawet usłużność i prezenciki niejednemu przygotowały grunt do dobrego interesu. Osobnicy nastawieni na wyzyskiwanie otoczenia umieją rozwijać wiele wdzięku. Łatwo „wychodzą naprzeciw”, gdy im zależy i od razu się zmieniają, gdy swój cel osiągną.

Technika świecenia fałszywym złotem najostrzej bije w oczy przy odświeżaniu znajomości. Oto po paroletniej przerwie N. stęskniony dzwoni do mnie i powiada, że wstyd i hańba zaniedbywać przyjaciół, że zawsze olbrzymią radość sprawia mu wspomnianie naszych rozmów i że absolutnie musimy się spotkać w najbliższej przyszłości. Spotykamy się. Gawędzimy o dawnych czasach. Zwierzamy się z kłopotów. Wspólnie marzymy. Dopiero przy pożegnaniu N. powiada: „A propos, zdaje się, że R. jest twoim dobrym znajomym; jest on w komisji kwalifikacyjnej, która będzie rozpatrywać moje podanie”. Odpowiadam, że się z R. nie widuję. Rozstając się z dawno nie widzianym „przyjacielem” jestem pewny, że znowu nie odezwie się do mnie przez lata.

„Stęskniony” przyjaciel to stosunkowo niewinny okaz z galerii fałszerzy złota. Przegląd innych, zręczniejszych i bardziej drapieżnych zaczniemy od „dżentelmena”. Jest to elegancki pan lub zabójczy młodzian, który każdej kobiecie daje do zrozumienia, że jest dla niej objawieniem, po czym za jej plecami żartuje, że mu się stare pudło narzuca z nie przewietrzoną miłością. „Dżentelmen” umie być uroczy na zawołanie. Na zawołanie służy komplementem. Za naciśnięciem guzika promieniuje uśmiechem, a potem nagle jak uciał ginie atlasowa grzeczność, wyłącza się uśmiech i odsłaniają się zęby, których ugryzienie nie zabija, ale po którym ranki paskudnie się jątrzą.

Bardziej zwodniczą niż atlas dżentelmena jest kapiąca słodyczą Dziunia. Ta osóbką nikogo świadomie nie oszukuje, naprawdę „chce dobrze” i dlatego wierzymy jej. A że zawsze jej coś wypadnie, że na przykład nie może choremu dziadkowi kupić owoców, bo przecież pracuje, to inna sprawa. Dziunia odkryła, że niesprawność to wygoda, że „nie móc” i „nie umieć” to wspaniała sytuacja, jako że zwykle znajdzie się ktoś, kto może, umie i robi za nią to, co trzeba.

O niektórych cechach Dziuni wspomniano wyżej, kiedy była mowa o niedotrzymywaniu zobowiązań, ale koniecznie muszę opisać jej serduszko. Otóż Dziunia jest „tak dobra”, że nie zdobędzie się na zrobienie zastrzyku, bo na to trzeba kłuć żywe mięso, nie wyręczy przyjaciółki pielęgnującej beznadziejnie chorego synka, bo tak jej go żal, że nie może, po prostu ją mdli, nie pomoże w dyżurach przy staruszce, bo podobno kiedyś taka sklerotyczna babcia ugryzła ją. Kto jej bliżej nie poznał, ten uważa ją za dobrą; tak bardzo wzrusza się czymś nieszczęściem! I jaki tragizm przebija w jej głosie, kiedy dodaje: „Tak żałuję, że nic a nic nie mogę pomóc”.

W Dziuni występuje ze szczególną wyrazistością cecha wspólna wszystkim „fałszerzom złota”. Chce uchodzić za dobrą. Wie, że ktoś, kto cieszy się opinią dobrego, może łatwiej zaspokajać wiele potrzeb. Wie, że trudno mu czegokolwiek odmówić. Wie, że dobroć prowokuje innych do dobroci. I wie, że powierzchowny sentymentalizm i łatwość słowa z leką może uchodzić za coś więcej.

Na największy portret w naszej galerii postaci zasługuje Bierka. Uprawia ona proceder, którego nie daje się ująć w żaden paragraf kodeksu. Całą inteligencję obróciła na doskonalenie sztuki pasożytowania. Drobnymi uprzejmościami i prezentami zjednuje przyjaciół, od których ciągnie bynajmniej nie drobne świadczenia. Jest zręczna. Wie, że trzeba sobie pozyskiwać ludzi z góry, na wszelki wypadek, bo gdy się gościa już potrzebuje, nagła życzliwość może wzbudzić podejrzenie.

W wyłudzeniu dobroci Bierka jest nie lada mistrzynią. Najchętniej występuje w roli

pocziwej i niewinnie przez los pokrzywdzonej kobiety. Potrafi być nawet przyjacielem, pasożytowi bowiem zależy na tym, by organizm, z którego ciągnie soki, długo żył, był względnie silny i zdrowy, i zależy mu na tym, by nie krażył w pobliżu żaden inny pasożyt.

Urządzając się cudzym kosztem Bierka ma gotowe usprawiedliwienie. Inni są tacy silni, a ona tak słaba i biedna. „Kim byś się opiekował, gdyby mnie nie było” — potrafi powiedzieć. Ale zdradza się. Najżyczliwsi jej koledzy, rodzina i przyjaciele zrozumieli, że Bierka używa z siebie tylko to, co jej łatwo przychodzi, że dobrze liczy, gdy daje, a zapomina liczyć, gdy bierze. Zdradza się będąc miłą tylko dla tych, od których może coś uzyskać. Zdradza się także, gdy — sądząc po sobie — innych ustawicznie o interesowność posadza. I zdradza się bezwzględną drapieżnością, z jaką rzuca się na wszystko, co jej się podoba, co jej dogadza.

Z kolei państwo pozwolą, że przedstawię im Liska. Lisek odkrył, że życzliwość otoczenia można tanio nabyć, a drogo sprzedać. Jest niezwykle miły dla kolegów i niezwykle skwapliwy w obgadywaniu ich przed kierownictwem. Odkrył też, że jesteśmy skłonni lubić tych, którzy się z nami entuzjastycznie zgadzają. Czasami tylko deklaracje Liska opóźniają się — to wtedy, gdy nie jest pewien, która ze spierających się stron jest silniejsza.

Ustepliwość i układność, zgoda za wszelką cenę i przystosowanie się do każdej sytuacji upodabniają Liska do Mięczaka, którego przewodnią myślą jest nigdy nikomu się nie narażać. Mięczakowi bardziej zależy na tym, by mieć spokój, niż na tym, by mieć własny styl myśli i działania. Potrzebę przynależności zaspokaja on zawsze, wszędzie i za wszelką cenę. Dostraja się po mistrzowsku do otoczenia paniusz wzajemnie częstujących się słodkimi fałszami i do paczki złodziejasków, którzy złość i radość, miłość i nienawiść, triumf i przegraną potrafią wyrażać tylko jednym słowem. Pozwala, by w jego obecności mówiono źle nawet o jego najbliższych. W obawie, by nie zepsuć zabawy, nie sprzeciwi się nawet upijaniu dziecka, nie zaprzeczy nawet najbardziej szkodliwemu kłamstwu. Mięczak nie ma humorów, lecz przeciwnie paraduje z przylepionym uśmiechem, wyrażającym zaleknioną troskę, by przypadkiem nie wywołać czyjegoś, niezadowolenia. I rzeczywiście złych humorów nie wywołuje, tylko po prostu nie liczy się jako człowiek.

Obaj — Lisek i Mięczak — są tymi mądrymi, których życie nauczyło, że odważni są często bici, sprawiedliwi — oskarżeni o zdradę przyjaciół i kompromisowość, upierający się przy prawdzie — wyrzucani za burtę razem z prawdą, a rozsądni — piętnowani jako tchórze. Z tych odkryć Lisek i Mięczak wysnuli praktyczne wnioski.

Zanim pożegnamy się z rodziną fałszerzy, posłuchajmy Deklamatora. Jego charakterystyczną cechą jest łatwość szumnego słowa. „Solidarność”, lojalność zespołowa, miłość bliźniego, spoistość rodzinna, gotowość niesienia pomocy, więzi przyjaźni są u niego zawsze na końcu języka. I tylko tam. Jest o tyle szkodliwy, że wniosłe idee stają się w jego ustach nieznośnym frazesem.

Deklamator jest zwykle obłudnym hipokrytą. Głosi jedno, czyni coś innego. Dawniej klasyczną jego postacią był świętoszek. Dziś ma inne wcielenia, ale zawsze odznacza się tym, że jego wierzchnie okrycie jest bardzo różne od podszewki, że prawdy, które głosi, są tylko dla innych, że jest podrabiaczem przerastających go wartości.

Na dłuższą metę puszczanie w obieg fałszywych monet zawsze się mści. Osobnik, który dzięki pozornym wartościom chce zrobić interes na każdym ludzkim stosunku, zarabia na opinię cwaniaka, naciągacza i kanciarza. Nie pomoże mu inteligencja, nie pomoże osobisty czar. Wiemy, że oszuści miewają dużo wdzięku — „zawód” tego od nich wymaga — wiemy, że najzgodniejsi ludzie to cynicy, i wiemy, że najładniej umieją się łączyć... drapieżniki!

W książce tej znajdzie czytelnik sporo wskazówek pomocnych w robieniu dobrego wrażenia, ale nie daleko zajedzie ten, kto pnie się do powodzenia przemyślnie wykalkulowaną techniką zjednywania sobie ludzi. Nawet robienie dobrego wrażenia, jeśli ma być trwałe, musi być czymś więcej niż techniką. Żaden zewnętrzny szlif, żadne aktorstwo nie pomoże człowiekowi, który do tego stopnia jest zajęty sobą, że nie umie dostrzec, co komu potrzeba, czym może zrobić przykrość, a czym przyjemność. Na szczęście sztuka współzycia nie da się zamknąć w mniej lub więcej cynicznych wskazówkach doświadczonego gracza. Tylko na bardzo krótką metę udaje się nabierać ludzi na fałszywe świecidełka. Nawet bardzo gładki, doświadczony i wyrobiony człowiek może nie mieć przyjaciół. Mówią o nim, że brak mu ciepła, że w gruncie rzeczy jest egoistą. Ci, których nigdy nie skrytykował, odkrywają rzecz najgorszą: nic go nie

obchodzą. Ci, którzy nabrali się na jego powierzchowną serdeczność, odeszli z kwitkiem, czują się rozżaleni i upokorzeni. I nagle okazuje się, że sobek-spryciarz przegrał, że mimo wszystko ludzie są sprawiedliwi, że istotnie „sztuka umiejętnego pożycia w społeczeństwie połączona jest z nieodłączną w każdej sprawie ludzką *pra wością*”

[ J. N. Kurowski: O poznawaniu ludzi z zewnętrznych oznak oraz o obchodzeniu się z ludźmi według trzynastego wydania dzieła A. Barona Knigge. Unger, Warszawa 1857, s. 17.]

## **Rozdział III CECHY ZJEDNUJĄCE**

### **Wygląd**

*Powtarzać będę  
po sto razy co dnia:  
Wytworność to stuprocentowy pożytek,  
to przewiewne mieszkanie i odzież wygodna.*

W. Majakowski

Lubię wiosnę nie tylko dlatego, że w ogrodach wybijają się tulipany, a w rowach kaczęce — rzadko zaglądam do ogrodów i rowów — ale dlatego, że dzięki niej miasto zakwita spódnicami. Czym byłyby ulice bez absurdów mody!

Sądząc po tym, ile czasu przeciętna kobieta, a nierzadko mężczyzna spędzają przed lustrem i przed sklepami z konfekcją, nie trzeba powtarzać, że jak cię widzą, tak cię piszą. Może raczej warto przypomnieć, że samo ściąganie na siebie spojrzeń to bardzo mało i że powiedzenie: „jak cię widzą” odnosi się nie tylko do ubrania. Dziewczyna skromnie i zawsze tak samo przyodziana, ale ładnie poruszająca się i żywa, jest bardziej pociągająca od zmanierowanej, drepcącej na szpilkach modelki. Kobieta ubierająca się dużo strojniej od koleżanek wywołuje więcej żeńskiej zawiści niż męskiego podziwu.

Wygląd Iksa pociąga mnie lub odstręcza, bo wywołuje miłe albo niemiłe skojarzenia. Jeśli z powodu dawnych przeżyć gładkość jedwabiu albo szorstkość wełny związała się w pamięci z przyjemnym uczuciem bezpieczeństwa, zadbania albo radosnego podniecenia, wtedy ktoś ubrany w gładki jedwab albo w szorstką wełnę będzie miał szansę podobać się bardziej od innych.

To prawo odnosi się nie tylko do ubrania, ale i do sposobu ruszania się, mówienia, rysów, twarzy itp., czy kojarzą się nam one z siłą, naturalnością, rozsądkiem, czy przeciwnie: ze słabością, fałszem i głupotą. Słusznie też podkreśla Witwicki, że „wygląd mocny lub słaby nie zależy od wzrostu, tylko od postawy ciała, od gestu, głosu, zachowania się, cery. Mężczyzna, nawet wysoki, wygląda niemocno, jeżeli jest blady, żółty, głowę zwiesza, brzuch wypina, nogi podkula, ust nie domyka, powieki opuszcza, rusza się wolno, mówi cicho i niewyraźnie, skrzywiony, niepewny, nieporadny i nieobyty. Smutno patrzeć. Mocny wygląd może mieć i człowiek niskiego wzrostu i wątej, drobnej budowy, jeżeli się trzyma prosto, patrzy bystro, rusza się zgrabnie, mówi wyraźnie i jasno, wie, czego chce, i wygląda na to, że czegoś chce, to potrafi i da sobie radę. Tak samo kobieta. Jedna wygląda rezolutnie i zdrowo, przytomnie i czysto, budzi zaufanie i można by jej dzieci powierzyć, a druga jest jak zmokły ptak i złamany kwiat...”

[ W. Witwicki: Stosunki osobiste między ludźmi. Czytelnik, Warszawa 1948, s.8.]



Skojarzenia, na których opiera się atrakcyjność czyjegoś wyglądu, mogą mieć charakter indywidualny lub względnie powszechny. W pierwszym wypadku są przypadkowe. Jeśli A. czuje odrazę do rudych, to prawdopodobnie dlatego, że w jego podświadomości rude włosy skojarzyły się z kimś, kto zadaje ból, sprawia przykrość czy stoi na drodze zaspokajania silnych potrzeb. Doświadczenia A. nie są jednak doświadczeniami B., stąd zdziwienie: „dlaczego rudy ci się nie podoba?” Jeśli natomiast wyraz twarzy pana R. działa odpychająco na wiele osób, to zupełnie możliwe, że coś w tym jest, że na przykład ledwie zauważalny skurcz policzka istotnie znamionuje osobników niecierpliwych i agresywnych. Przypominają się dwa powiedzenia: „Bogowie, którym służymy, rzeźbią swe imię na naszej twarzy” (Swett Murden) oraz: „Po czterdziestce człowiek odpowiada nawet za swoją twarz!” (Salacroux).

Po czterdziestce? Dużo wcześniej odbija się na twarzy suma najczęściej przeżywanych wzruszeń. Kto umie patrzeć, ten w kącikach ust dwudziestoletniej dziewczyny potrafi dostrzec twardość albo gorycz, w uśmiechu — uczuciowość albo bezmyślność, w spojrzeniu — bystrość, wyrachowanie albo znużenie. Przysłowiowe piękno greckiej wazy nie dozna uszczerbku, nawet jeśli posłuży ona za zlewnik, ale istota ludzka jest naczyniem żywym.

## Grzeczność

*Flint:  
Ależ, gdy żyjem w świecie,  
musimy nawzajem  
Przestrzegać pewnych względów,  
wskazanych zwyczajem.*  
*Alcest:  
Bynajmniej, ścigać trzeba  
bez litości żadnej  
Ten fałszywych przyjaźni  
jarmark zbyt układny.  
Żądam, aby mężczyzna był  
nim w każdym słowie,  
Chcę z nim samym przestawać,  
nie zaś z jego usty  
Jedynie, z których spływa  
grzeczności dźwięk pusty.*

Molier

Jeszcze dziś, gdy słyszę słowo „grzeczny”, mam ochotę pokazać język. Zazdroszczę chłopcom ich czupryn i gotowości do śmiechu z byle czego, ale gdy pomyślę, że muszą wysłuchiwać pouczeń „bądź grzeczny”, że dostają stopnie ze sprawowania, przestają im zazdrościć. Wynosimy z dzieciństwa wrażenie, że grzeczność ito konwenans, sztywność, sztuczność, układna słabość i w ogóle nuda. A tymczasem jest odwrotnie: grzeczność wymaga elastyczności, naturalności, spostrzegawczości, inteligencji, życzliwości i siły charakteru.

...wymaga elastyczności, bo grzeczność polega między innymi na dostosowywaniu się w granicach dobrego smaku i wyznawanych zasad do różnych obyczajów niejednego otoczenia.

...wymaga naturalności, bo grzeczność afektowana i sztuczna zgrzyta i drażni gorzej niż szorstkość.

...wymaga spostrzegawczości, która jest warunkiem nie tylko dostosowania się, lecz i drobnych uprzejmości; dzięki niej w czas dostrzegamy, że trzeba podać krzesło pani Iks, przynieść coś ciepłego pani Igrek albo zostawić w spokoju panią Z.

...wymaga inteligencji, która umożliwia dostosowywanie się, zapewnia umiar (przesada w grzeczności nudzi jak każdy nadmiar słodczy) i pozwala wychodzić poza sztamę (wirywanie się z drugiego końca korytarza, by staruszkowi podać palto, może sprawić właśnie przykrość).

...wymaga życzliwości, bo grzeczność, która niczego nie wyraża, jest łatwo wyczuwalnym fałszem.

...wymaga siły, by wystrzegać się grubiaństwa i arogancji, które są imitacją siły, by zdobywać się na drobne wyrzeczenia, które są składnikiem grzeczności, by umieć się opanować.

Przypomina się Hipolit, człowiek z wyższym wykształceniem, na wyższym stanowisku, który dzięki muśtrze kindersztuby nigdy nie spóźni się z podaniem ognia, nisko się ukloni, pocałuje rączki i ze swadą opowie dowcip. Cóż z tego, kiedy potrafi nie słyszeć, gdy się do niego mówi, potrafi przerwać czyjaś wypowiedź, zniecierpliwiony trzaśnie drzwiami, ostentacyjnie ziewa albo wyraża zdziwienie, że ktoś nie wie „tak prostej rzeczy”.

A może grzeczność to luksus? Jeśli nawet sama grzeczność nie jest najwierniejszym wyrazem osobowości, to w każdym razie jest tym, co rzuca się w oczy.

Najlepsze pierożki nie smakują, gdy podane są na stole zabrudzonym po oprawianiu karpia; tak samo „nie smakuje” błyskotliwy umysł i rzetelny w zasadzie charakter, podany przy akompaniamencie siorpania nosem, wzruszenia ramionami, pogardliwych minek i humorów. Kto nie jest znawcą, ten sądzi po szacie zewnętrznej, a znawców jest mało. Dlatego pewnie człowieka grzecznego lubimy, póki nie znajdziemy powodów, by go nie lubić, a niegrzecznego nie lubimy, póki nie znajdziemy powodów, by

go lubić.

Grzeczność jest nie tylko szatą uwydatniającą zalety, ale niepostrzeżenie przechodzi w coś poważniejszego. Ten sam Hipolit potrafi źle mówić o zmarłym ojcu kolegi, żartować z jego miłości, potrafi powiedzieć żonie alkoholika, że jeśli jej mąż pije, to dlatego, że nie ma takiego domu, jakiego pragnie, potrafi kpić ze starszej kobiety, spóźnić się na spotkanie z kimś, na kim mu nie zależy. Sądzę, że nikt nie tęskni za bliższym kontaktem z Hipolitem. Ja też nie. Ale czy nie posiadam żadnej z jego wad? Czy sam nie grzeszę brakiem szacunku dla cudzego zdania i cudzej wrażliwości, brakiem szacunku dla człowieka.

To właśnie sedno zagadnienia. Chamstwo nie polega na braku wyuczonych formułek i przyklepanych uśmiechów, ale na lekceważącym stosunku do ludzi, który wyraża się i razi nawet w drobnostkach. Gdy Oleś, paląc, dmucha mi dymem w oczy, przykrość mi sprawia nie tyle dym, co podejrzenie, że inaczej by palił przy kimś, z kim się liczy. Gdy w rozmowie Dora zwraca się tylko do jednej osoby, pozostałe czują się dotknięte. Urażona była także pewna solenizantka, do której gość przyszedł w brudnej koszuli.

Współczesnego człowieka niecierpliwi pusty konwencjonalizm, żąda, by w każdej sztuce, a więc i w sztuce obcowania forma służyła treści. Zgodnie z tym za dobrze wychowanego uchodzi niekoniecznie ten, kto w największy upał poci się w marynarce, lecz ten, kto nie rani cudzych uczuć.

To nieważne, iż umówiono się kiedyś, że człowiek, który pluje na podłogę, wnosi błoto do pokoju, czy kłóci się o byle co, jest nieokrzesanym gburem, przed którym drzwi się zamykają. Ważne jest natomiast, iż ten osobnik z powodu braków charakteru nie liczy się z innymi i dlatego jest przez tych innych jak najdalej odsuwany.

I na odwrót mile widziany jest ten, kto korzysta z każdej okazji, by wyrazić szacunek i życzliwość. Jeśli ustępuje miejsca, to nie dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że gotów jest służyć pomocą nawet w najdrobniejszych sprawach życia codziennego. Nie mogąc przyjść na umówione spotkanie zawiadamia o tym możliwie najwcześniej nie dlatego, że tak się robi, ale dlatego, że gospodarz zadałby sobie trud przygotowując podwieczorek. Będąc gościem na kilka dni zapytuje, gdzie można wyczyścić buty nie dlatego, że chce uniknąć nagany, ale dlatego, że szanuje czystość domu.

Ponadto grzeczność jest najdrobniejszą monetą zaspokajającą potrzebę znaczenia. „Dobrze mi się dzień zaczął — mówiła kelnerka w klubie. — Rano, gdy jeszcze nakrywałam, przyszedł gość i zapytał, czy może w sali .popracować. To było jego prawo, ale on prosił mnie o pozwolenie. Przyjemnie mi było”.

Grzeczność luksusem! Ale ileż to więzów przyjaźni i miłości rwie się właśnie dlatego, że człowiek, wobec którego jesteśmy grzeczni, póki jest tylko znajomym, wszedłszy w poczet bliskich staje się ściekiem dla złych humorów. A przecież kto nas blisko do siebie dopuszcza, ten wyświadcza nam zaszczyt; odpowiadając chłaśnięciem pomyjami dajemy dowód, że nie jesteśmy go godni.

Grzeczność jest nie luksusem, lecz przeciwnie jednym z najważniejszych elementów stylu współżycia, tego stylu, który przesądza o tym, czy człowiek jest lubiany, czy jemu jest dobrze i czy z nim jest dobrze.

## Barwy jasne i mocne

*Życ —  
gdyś zawzięty  
— raźniej i zabawniej.*

E. Jewtuszenko

„Zimne” cnoty — prawdomówność, solidność, lojalność, opanowanie, grzeczność — to jeszcze mało. Aby być lubianym, trzeba być „ciepłym”, trzeba umieć uśmiechać się i rozumieć, współdziałać i dbać.

Przegląd „ciepłych” cnót zaczniemy od optymizmu i wesołości, a skończmy na tych, które ogrzewają najmilej — na życzliwości i dobroci.

Dobry humor, a zwłaszcza umiejętność wywoływania śmiechu, jest wysoko cenioną sztuką. W niejednym środowisku najentuzjastyczniej witany gościem jest dobry kawalarz, a pogodny dowcip jest przysłowiowym kluczem otwierającym drzwi i serca.

Co prawda powinno się mówić nie tyle o dowcipie, co o bulgocącej życiem osobowości. Jej urok, jej indywidualną magię może stanowić zmrużenie błyszczących oczu, wyraz ust zabarwiający wypowiedane słowa, sposób poruszania się i gest wybiegający przed zdania, nadający im specjalne znaczenie. Łatwość żartu i wielobarwność myśli jest tylko jednym z wielu akcentów żywego usposobienia.

Na moje pytanie „za co ją lubisz?” otrzymałem kiedyś pozornie absurdalną odpowiedź: „za ten łobuzerski uśmiech, który jest wprost zaraźliwy”. Po pierwszym zaskoczeniu pomyślałem, że istotnie zaraźliwy uśmiech, zaraźliwy entuzjazm, zaraźliwa ochota do życia znaczy więcej niż uroda, a niekiedy więcej niż inteligencja. Jeśli Puchatek jest tak ważną osobą, to dlatego, że tylko ród Kłapouchych potrafi się do niego nie uśmiechnąć.

Jako jeden z najmiłszych wakacyjnych obrazków wspominam buzię dziewczyny, buzię brzydka, która w chwilach ożywienia stawała się ideałem. A chwil takich było co niemiara. „Ojej — śmiała się w schronisku — jakie to łóżko jest twarde! Oj, to już trzeci dzień bez chleba” — stwierdzała także ze śmiechem na wycieczce w Bieszczadach. Najwspanialszy to humor, gdy śmiejemy się mimo wszystko — dorabiałem filozoficzny komentarz do jej naturalnej wesołości.

Kiedyś, również na wsi, buzię tej dziewczyny zastąpiły nam wróble. Dzień był pochmurny i towarzystwo skwaszone. Akurat wyrzuciłem sobie, że nie potrafię zorganizować żadnej zabawy, gdy ćwierkanie wróbli przyciągnęło mnie do okna. Wyjrzałem. W niewielkiej kałuży kąpały się wróble. Było w ich ruchach tyle rzeźkości i energii! Ich ochota do życia udzieliła się ludziom. Po paru minutach młodzi urządzili zawody sportowe, a starsi przy winie przypominali sobie dawne piosenki.

Uśmiech i humor to znak zwycięskiego górowania nad losem. Jest jakaś wyzywająca duma w postawie człowieka, który powiedział sobie, że pogody umysłu nie przyćmi mu żaden rodzaj słoty. Nabrałem szacunku do R., gdy zobaczyłem, jak przyjemną atmosferę zostawia za sobą wychodząc ze sklepu, jak pysznie potrafi bawić się pomagając żonie w kuchni i jak dowcipnie opowiada o swoich kłeskach. Takie poczucie humoru to wyborny resor, ułatwiający najcięższą życiową drogę i łagodzący gwałtowność wstrząsów na wybojach.

To, co nazywam bulgocącą życiem osobowością, to, co w młodzieżowym języku nazywa się ikłą, bigłem czy szwungiem, jest w istocie fizyczną i psychiczną żywotnością, fizycznym i umysłowym temperamentem. Ten temperament, dzięki któremu człowiek intensywniej żyje, ten zapał przebijający w myślach, słowach i działaniu jest jedną z największych życiowych wartości. Człowiek żywy ma „przyrodniczą” przewagę nad ospałym.

Rozpatrzmy kolejno:

- 1) optymizm,
- 2) dynamikę drobnych reakcji,
- 3) dynamikę uczuć zasadniczych,
- 4) dynamikę działania.

1. Zachwalając jasne barwy muszę, acz niechętnie, wymienić optymizm. Niechętnie

— bo trudno nie mieć obrzydzenia do mobilizujących bredni („dzielny człowiek zawsze w końcu wygrywa”), trudno nie wzdygnąć się, gdy optymizmem usprawiedliwia się rozleniwioną beczynność („wszystko się jakoś ułoży”) albo gdy zabezpiecza się nim święty spokój („ja nie chcę o tym słyszeć”). Cierpienia ludzkie są zbyt ciężkie, by je zbywać poklepywaniem i frazesami. Taki optymizm drażnić musi każdego, kto w międzyludzkich stosunkach szuka powagi i prawdy. Taki optymizm dowodzi tylko braku wyobraźni, braku współczucia lub po prostu braku myślenia.

Obok landrynkowego optymizmu istnieje jednak optymizm rzetelny i na pewno człowiek ufnie patrzący w przyszłość jest bardziej pożądanym towarzyszem niż czarnowidz, który mokrym kocem gasi każdą nadzieję i każdy entuzjazm. Ale pełnowartościowy optymizm nie jest deklaracyjny, lecz wyraża się przede wszystkim energicznym działaniem, opartym na przekonaniu, że każdą sytuację można choć trochę poprawić, że dopiero poddanie się jest przegrana.

A skąd optymizm pochodzi? Tak samo jak pesymizm rzadko zasadza się on na gruntownym przemyśleniu rzeczywistości. Większą rolę gra typ usposobienia ściśle związany ze zdrowiem (może nawet kiedyś będziemy produkować optymizm w ampułkach) oraz nawyki myślowe. Te ostatnie wyrobiły się na Skutek minionych doświadczeń i przeżyć, pochodzą z wpływów, jakim ulegaliśmy, a także z samodyscypliny.

2. Przechodząc do dynamiki drobnych reakcji trzeba powtórzyć banalną prawdę, że na współzycie dobre lub złe składają się przeważnie codzienne drobnostki i że nasz stosunek do nich decyduje o atmosferze życia. Jeśli jest zawsze obojętny, życie staje się jakby wysuszone. Jeśli z drobiazgów łatwo robimy tragedie, zapelnia się czarnymi wykrzyknikami. Jeśli, przeciwnie, umiemy radować się małymi, zwykłymi rzeczami, życie dźwięczy jak allegro!

Iluzoryczne jest szczęście czy choćby zadowolenie uzależnione od zdobycia w przyszłości samochodu, mieszkania, stanowiska czy tej, a nie innej kobiety. Po osiągnięciu celu rzadko kiedy staje się on źródłem spodziewanej rozkoszy.

Najwięcej miłych chwil przeżywają ci, którzy cieszą się, że ojciec śpiewa w łazience albo że dziecko wywija nóżkami, którzy cieszą się z oszronionych drzew przed domem i z kwiatów na rogu ulicy.

Obok radości dynamika drobnych reakcji przejawia się w ruchu na wszystkich płaszczyznach. Obdarzony nią człowiek nawet chodzi dość szybko i stosunkowo szybko mówi. Jeśli do tego dysponuje inteligencją, to obejmuje nią nie tylko sprawy jednego domu, jednej maszyny lub jednego biurka; interesuje go dużo rzeczy, toteż dużo pamięta i w sprzyjających warunkach ma dużo do powiedzenia. A gdy mówi, zachodzą w naszym mózgu nie tylko „cybernetyczne”, ale i emocjonalne procesy. Przy nim nie sposób się nudzić! Przy nim się żyje! Może dawać komuś szczęście, znaczy właśnie ożywiać go?

Czy wobec tego należy „silić się” na ożywienie i dowcip?

Nie! Magia bulgocącej życiem osobowości działa jedynie wtedy, gdy jest autentyczna. Proponuję tylko, aby nie gasić naturalnej pantomimy zainteresowania, radości czy rozbawienia. Proponuję, byśmy pozwalali sobie na żywe, pozytywne odruchy. Lepiej odrobinę podkreślić ożywienie, niż — co wcale nierzadko, się widzi — zgrywać się na zblazowanie.

Źle zrozumiałby tę radę ten, kto by się stał gadatliwy i głośny. Nawet słuchać można sennie lub żywo, nawet żartować można półgłosem, nawet śmiejąc się nie potrzeba budzić sąsiadów z drugiego piętra i płoszyć kawek z dachu sąsiedniego domu.

Refleksje o dobrym humorze są przeznaczone dla czytelników, a nie dla ich przygnębionych znajomych. Pouczenia o wartości dobrego humoru osób znajdujących się w złym humorze wywołują efekt podobny do uspokajania rozgniewanego człowieka powtarzaniem mu, że niepotrzebnie się złości.

Przestrzega się też przed humorem drażniącym, zgryźliwym, agresywnym i szydycznym. Przestrzega się przed robieniem zabawy na siłę, zabawy, do której część obecnych nie może czy nie umie się włączyć. Przestrzega się przed humorem nie w porę.

Istnieje dalej żywotność męcząca, nerwowa, wieczny niepokój, który innym odprężyć się nie pozwala; za głośne mówienie, za głośny śmiech, zbyt gwałtowne ruchy. A także żywotność, która innych sprowadza do zera, przy której inni czują odpływ sił, jakby wampir żerował na ich zapasie energii.

Obok wampira postawię wiecznego wesołka. W gruncie rzeczy praktykuje on

ucieczkę w błazeństwo. Wie, że błazenkowi wolno więcej niż innym bez ponoszenia odpowiedzialności. Zwraca na siebie uwagę, ale do niczego się nie zobowiązuje. Jego kpiący stosunek do miłości i pracy, zbywanie żartem zagadnień i wymagań stanowi system wygodnego prześlizgiwania się przez życie. W najlepszym wydaniu wieczny wesolek jest jak lustro w beczce śmiechu, wykrzywiająca każdy obraz, a w najgorszym — jest jak płyta, na której nagrano parę dowcipów i dużo rechotania. Wesolek pozbawiony jest elementu powagi i dlatego można go lubić co najwyżej tak, jak się lubi ucieszoną małpę.

3. Przez dynamikę uczuć zasadniczych rozumiem trwałe i nakierowane emocjonalnie napięcia; trwałe — w przeciwieństwie do drobnych, chwilowych podnieceń; nakierowane — w przeciwieństwie do silnego reagowania na prawie każdy bodziec. Dynamika, o której mowa, obejmuje ideową żarliwość i miłość, zapał do pracy lub jakiegoś hobby, ukochanie sztuki i nauki. Tę właśnie dynamikę uczuć miał na myśli H. F. Amiel, gdy pisał: „Człowiek bez żadnej namiętności jest siłą zaledwie potencjalną, samą tylko możliwością, niczym kamień czekający na uderzenie żelaza, by wydać iskrę”. To właśnie dynamika uczuć tworzy „entuzjastów, owych najlepszych ludzi, najbardziej godnych podziwu i miłości” (Kalinin).

4. Dynamika emocjonalna często, choć nie zawsze pociąga za sobą energię, tj. dynamikę działania. Kto się nią odznacza, ten szybko dostrzega, co jest do zrobienia, łatwo angażuje się w akcję, działa z pasją, praca pali mu się w rękach, a także stwarza ruch, pobudza do- zajmowania stanowiska, do emocjonalnych reakcji, do działania.

Otóż to! By budzić uczucia dobre lub złe, trzeba zaznaczać swą obecność, grać lub ziębić, atakować lub bronić, trzeba się ruszać! Im bardziej jest człowiek zaangażowany w to, co się wokół niego dzieje, tym silniejsze wywołuje reakcje. Im szerszy krąg spraw obejmuje to jego zaangażowanie, tym szerszy jest krąg ludzi, którym nie jest obojętny.

## Słowo i uśmiech

*Trzy królowy były cudne —  
zgrabne, gładkie, białe, schludne,  
Czwartej zaś los figla splatał,  
Czwarta była piegowata.  
Niepozorna i brzydula  
Uśmiechnęła się do króla,  
A ślicznotki trwały dumnie.  
„Brzyduleczko zbliż się ku mnie  
— Rzecz król Palomon czule —  
Chcą za żonę mieć brzydule!”*

J. Brzechwa

Jako najmilsze chwile życia wspominam spotkania z dziewczyną, która widząc mnie z daleka pędziła naprzeciw. Jeśli, jak powiadają Francuzi, każde pożegnanie jest trochę śmiercią, to każde powitanie jest nowym narodzeniem. Dziękuję wszystkim, którzy na mój widok okazują radość!

Z zachowaniem proporcji przyjemnie wspominam także wizytę u W. Nie było nic specjalnego. Nastrój? — Owszem. Rozmowa? — Owszem. Ale szczerze mówiąc pamiętam tylko to, że gdy wychodziłem, W. zapytał: „Kiedy pan znowu do nas przyjdzie? Jak najprędzej, dobrze?” Jego ton był ponad wszelką wątpliwość szczerzy. Dziękuję wszystkim, którzy żegnając mnie okazują smutek.

W szczególności dziękuję tej mojej znajomej, z którą widuję się tylko przypadkowo, co parę lat, ale która okazuje mi tyle serdeczności. Dotąd wraca mi ciepłą falą wrażenie z ostatniej parominutowej rozmowy w samochodzie. Nie potrafię tego opisać, bo nie wiem, jak ona to robi. Słowa? — Tak, oczywiście. Uśmiech? — Na pewno, ale przede wszystkim jest w słowach i uśmiechu tej pani jakaś autentyczność, niezaprzeczalna prawda. Jeśli serdeczność tak mocno wzrusza i na tak długo pozostaje w pamięci, to nie tylko dlatego, że bardzo jej potrzebujemy, ale i dlatego, że niewiele osób potrafi ją okazać. Wiem, wiem bardzo dobrze, z własnego doświadczenia, że można ją czuć nie umiejąc wyrazić.

Rozumiem też niechęć do demonstrowania uczuć. Może ona pochodzić z obawy, że okazując je obniżam swoją wartość. Zapewnienia przyjaźni budzą podejrzliwość. Banknoty patosu i deklaracji są makulaturą. Po inflacji słów bez pokrycia nastąpiła era suchej powściągliwości. Rozumiem i tych, którzy kryją się pod przyłbicą ironii — fason tego wymaga. Niektóre zwroty są tak zużyte, że człowiek obdarzony pewną subtelnością rumieni się, gdy ma powiedzieć „miło mi było”. Wiem także, iż obojętność kobiety bywa taktyką, a wyniosła powściągliwość — osłoną nieśmiałości. To wszystko prawda, ale prawdą jest i to, że obawa przed wypadnięciem ze „stylu”, obawa śmieszności pozbawia nas zbyt wiele uroków życia.

Jeśli zarówno dzieci, jak kochankowie chcą wciąż słyszeć zapewnienia miłości, wciąż pytają: „czy lubisz mnie, czy bardzo lubisz, czy najbardziej?” — to widocznie te zapewnienia są im potrzebne, choćby się w nieskończoność powtarzały.

Słowa to mało i dużo. Niewiele ich trzeba, by urazić, i niewiele, by uszczęśliwić. Są nudne, nic nie znaczą, ciągną się jak świąteczny obiad dla dziecka, ale także są najprostszym mostem porozumienia. Są pustym brzękiem, narkotykiem, trucizną, ale także chlebem powszednim serc i umysłów.

Słowa wyrażające sympatię mogą być krępujące, uśmiech — nigdy. Był szczerzy, autentyczny. Sztuczny i zdawkowy skurcz policzka budzi nieufność i odrazę. Może ma rację F. Sagan, gdy powiada, że ludzie, którzy uśmiechając się brzydą, są na pewno źli.

Uśmiech jest nie tylko najprostszym sposobem okazania radości i serdeczności, ale także w wielu sytuacjach koniecznym akompaniamentem. Kto bierze z przekonującym uśmiechem, bywa lubiany, kto daje z grymasem — nienawidzony.

Fotograf-artysta najwyżej ceni uśmiech oczu, ledwo widoczny, a tak sympatyczny, wesoły, rzetelny. Spójrz na siebie w lustrze, myśląc o baraszkujących psiakach. Albo przypomnij sobie kota z „Alicji w krainie czarów”, jak zniknął bardzo powoli, zaczynając od ogona, a kończąc na uśmiechu, który pozostał pewien czas nawet wtedy, gdy już wszystko zniknęło.

Jeżeli dużo rozmawiasz przez telefon, to wiesz o tym, że uśmiech słyszy się w głosie. Zaczyna to uśmiech, zaczyna głos, każdemu życzę takich telefonów.

Można mieć chłodną herbatę i wystygły ryż, ale chłodne spojrzenie i chłodne słowa są nie do wytrzymania — zacytowałem Julii japońskie przysłowie. — Uśmiech to najpotężniejsza broń kobiety — mówiłem dalej. — Dlaczego jesteś tak surowa w momencie spotkania?

— Bo witanie krępuje mnie. Nie wiem, co robić z rękami, co powiedzieć i w ogóle...

Tak, brak uśmiechu dowodzi często zakłopotania, ale też najprostszym sposobem zwalczania zakłopotania jest rozjaśnienie oczu, policzków i głosu.

Jerome K. Jerome przyrównuje uśmiech do... soli: „Nie szcędzimy trudu i pieniędzy, by pięknie przyjąć gości. Dajemy obiad z pięciu dań na starej porcelanie i ręcznie haftowanym obrusie. Dom jest wysprzątnięty jak nigdy i goście starannie dobrani, zapominamy tylko o soli. Ani przystawki, ani zupa, ani mięso, ani kartofle nie są posolone. Nie masoli na stole, ani w ogóle w domu... Analogicznie niejedna dobra żona zapracowuje się, by niczego nie brakowało, by dzieci były czyste i zadbane, mąż najedzony i oprany — zapomina tylko o uśmiechu i o życzliwym słowie”.

[Jerome K. Jerome: *The Second Thoughts of an Idle Fellow*. Tauchnitz, Lipsk bd., s. 89.]

Może zresztą częściej zapomina o nim mąż, który przynosząc pieniądze i pomagając trochę w gospodarstwie uważa, że to wszystko, że jeśli żona nie wygląda na szczęśliwą, to winne temu są zwykle kobiece fochy.

Mówimy o słowach i uśmiechach, ale istnieje wiele innych małych form uzewnętrzniania uczuć przyjaznych: wizyta dawnych uczniów złożona ulubionemu nauczycielowi, przystrojenie domu, gdy wraca ze szpitala członek rodziny, entuzjastyczne przyjęcie obietnicy wzięcia udziału w wycieczce itd. W każdym wypadku, niezależnie od swojej postaci, mądrość manifestowania sympatii polega na tym, że świat jak lustro odbija nasze własne oblicze. Jeśli zwracamy się doń z grymasem, otrzymujemy grymas, jeśli z uśmiechem — otrzymujemy uśmiech; jeśli ludzie nam się podobają, to i my się im podobamy.

— Dlaczego trzymasz psa? — zapytałem znajomego.

— Gdybyś widział, jak on mnie wita, gdy wracam.

— A rodzina?

— Czasami żona z kuchni woła: „Kto to przyszedł?”, a teściowa odpowiada: „Tylko Janek”. To „tylko” zawsze mnie kłuje.

Pewna dziewczyna zapytana, dlaczego lubi kolegę, bez chwili namysłu odpowiedziała: „Jak mam go nie lubić, kiedy dzwoni do mnie natychmiast po powrocie”. Inna na to samo pytanie wyjaśniła: „Dlaczego lubię Danke? Po prostu dlatego, że jest szczęśliwa w moim towarzystwie!”

Aby być lubianym, trzeba samemu lubić i tę sympatię okazywać. Słowa i uśmiechy są tylko formą, decyduje to, co się za nimi kryje. Wciąż trzeba powtarzać, że niechęć budzi niechęć, a życzliwość życzliwość.

— Jacy tu są ludzie? — chciał się dowiedzieć weterynarz mający zamieszkać w powiatowym mieście Z.

— A jacy byli tam, skąd pan wyjeżdża? — odpowiedział pytaniem miejscowy lekarz.

— Okropni. Małostkowi, głupi, złośliwi i zawistni.

— To lepiej niech się pan do nas nie sprowadza.

U nas ludzie są tacy sami.

Po paru dniach przyjechał, również na zwiady, inny weterynarz i postawił to samo pytanie.

— A jacy byli ludzie w poprzednim pana miejscu?

— Pierwszorzędni! Serdeczni, gościnni i rzetelni. Żałuję, że muszę się przenieść.

— Ale skoro pan musi, to proszę do nas — uśmiechnął się lekarz. — Bo tu ludzie są tacy sami.



## Uznanie, podziw, pochwała

*...albowiem z przyrodzenia każdy z nas  
bardziej, niż przystoi, pragnie chwały  
i żadnej muzyki tak rade nie słuchają  
nasze uszy, jako kiedy kto ku chlubie  
naszej co powiada.*

Ł. Górnicki

Chciałabym, żebyś je pochwalił — powiedziała koleżanka pokazując swoje ćwiczenia. To znaczy, żebyś poprawił! Przejęzyczyłam się.

Rzeczywiście chciała powiedzieć „poprawił”, ale pragnęła pochwały. „Człowieka trawi przez całe życie głód oceny” — stwierdza J. Parandowski. [J. Parandowski: *Alchemia słowa*. Czytelnik, Warszawa 1956, s. 312.]

Darwin, który uchodził za nieczulego na opinię, napisał, że nawet gdy jesteśmy zupełnie sami, często myślimy z przyjemnością lub z bólem o tym, co inni o nas -sądzą, o ich aprobacie lub dezaprobatie.

Przyjrzyjcie się dzieciom, jak jedno przed drugim popisuje się: „Teraz ja!” Gdy nikt nie patrzy, tracą rozpęd. A dlaczego nie lubią pisać wypracowań? Bo z małymi wyjątkami nauczyciele zwracają uwagę tylko na ich błędy.

Dobrze wychowywane dziecko zbiera dużo pochwał i przyzwyczajają się do nich. Później, wchodząc w życie, oczekuje, że za wszystko, co zrobi ładnie, dobrze lub tylko prawidłowo, otrzyma w nagrodę przynajmniej parę dobrych słów. Nadto często spotyka je zawód i wtedy ostyga w zapale, poddaje się rozgoryczeniu.

Jak Maciuś oczekuje podziwu za deklamację, a Jacek za jazdę na rowerze, tak prawie każdy człowiek oczekuje uznania za swoją pracę, inteligencję, wiedzę, charakter. Jeśli nie może go zdobyć, wszystko mu brzydula. Najchętniej rzuciłby każde zajęcie, które nie zapewnia mu uznania. Ja sam, jak dziecko, odszedłem z pierwszej, może najlepszej w życiu pracy, bo czułem się niedoceniany.

A jakże skąpi jesteśmy w pochwałach! Jak zdumiona była kelnerka jakiejś restauracji, gdy wyraziłem podziw, że potrafi obsłużyć tylu niecierpliwych się wczasowiczów. „I żeby mnie chociaż ktoś potraktował jak człowieka — westchnęła. — Gdzie tam! Wciąż tylko wysłuchuję, że obsługa powolna, mięso zimne, herbata za słaba. Zawsze tylko pretensje! Mam dość tego życia!”

Łatwo sobie wyobrazić, co czuł świeżo upieczony kapitan, który zataił awans w korespondencji z rodziną po to, by tym większe zrobić wrażenie, a tymczasem gdy przyjechał z nową gwiazdką nikt jej nie zauważył. Markotno mu było, tym bardziej że żona nie witała go tak mile jak zwykle. Gdy miał wybuchnąć ze swoim żalem, ona ze łzami w oczach westchnęła: „Nawet nie zauważyłeś nowego porządku w domu!”

Na przykładzie tej niespostrzegawczej pary widzimy, jaki zgrzyt może wywołać nie zaspokojona potrzeba uznania. Ile razy słyszałem narzekania nauczycieli, że nie ocenia się ich wysiłku! Jak zniechęcony czuje się uczeń, gdy nauczyciel nie zwróci uwagi, że więcej się stara, że się poprawił, że zrobił niespodziewane postępy!

Niedocenywanie prowadzi może aż do nienawiści i rozkładu rodziny. Sytuacja klasyczna: ona jest wszystkim, czym może być idealna żona i tylko niekiedy zapomina kupić cytryn. „Ty w ogóle o mnie nie dbasz! — brzmi niezmiennie jego komentarz. — Pamiętasz tylko o tym, co sama lubisz!” Jeszcze gorszą i również klasyczną sytuacją jest zarzut żony: „Ty w ogóle się ze mną nie liczysz!” — skierowany pod adresem męża, który poświęcił dla niej tylko miłość.

Wychodząc poza mury domu wspomnę o wrogości panującej między specjalistami dwóch instytucji. Zaczęło się od harmonijnej współpracy przy budowie fabryki. W przeddzień jej uruchomienia instytucja A. postarała się o reklamę i w jednym z dzienników ukazał się artykuł o budowie, wymieniający zasługi tylko pracowników A. W odpowiedzi na to parę dni później instytucja B. urządziła prasówkę, na której była mowa o udziale tylko jej pracowników. Skończyło się cichym antagonizmem ze zwykłą dla antagonizmów skłonnością do pogłębiania się.

Najgorszy jest brak uznania, gdy robimy wszystko, by je zdobyć. Opowiadał mi

znajomy inżynier, że dokończeniu jego wynalazku towarzyszyła duża przykrość. Włożył weń ogrom ambicji i pewny był jego wartości, a tymczasem dyrektor techniczny zareagował tylko pytaniem: „Jakiej nagrody pan się spodziewa?” i podobnie koledzy: „He za to dostaniesz?”

Jak brak uznania zniechęca, jak niesprawiedliwość rozgorycza, tak pochwała i podziw przysparza sił, radości i zapału. Znakomity malarz Benjamin West lubił opowiadać, że wybór zawodu i zapał do olbrzymiej, pracy zawdzięcza temu, że gdy kiedyś jako dziecku udał mu się rysunek, matka gorąco go uściskała.

Czym jest pochwała dla artysty, ale nie tylko dla niego, można wyczytać z poniższej, autobiograficznej kartki, którą cytuję za S. W. Kowalewską:

„W tym samym czasie Dostojewski skończył swoich Biednych ludzi i posłał do Sowriemiennika. Jednakże po wysłaniu rękopisu zrobiło mu się zimno i gorąco. Stał się ofiarą ciężkiego psychologicznego kryzysu, przez który z pewnością przechodzi każdy autor. Póki pisał, sam się swoją powieścią zachwycał, wierzył, że tworzy rzecz wielką, rzecz genialną. Ale gdy tylko skończył i posłał powieść do redakcji, napadły go wątpliwości. Jasno mu się przedstawiły wszystkie braki dzieła i wszystko, co stworzył, wydało mu się słabe i liche.

«Całą noc — opowiadał później Dostojewski swoim przyjaciółom — całą noc spędziłem włócząc się i objając po mieście bez celu i bez przyjemności, przygnębiony i wściekły na siebie. Była czwarta nad raneim gdy wróciłem do domu... Nie mogłem spać... Siedziałem na ramie łóżka. Ciężko mi było na duszy — tak ciężko, że niemal gotów byłem pójść i utopić się. Siedzę więc tak, siedzę, aż nagle słyszę dzwonek. Kto to może być o tej godzinie?»

Otwieram. A to co? Wchodzą Niekrasow i Grigorowicz i nie mówiąc ani słowa biorą mnie w ramiona, choć ja, tak na dobrą sprawę, znałem ich tylko z widzenia.

Okazało się, że wcześniej wieczorem zaczęli czytać mój rękopis, tak na próbę. „Z dziesięciu stron zorientujemy się, czy to coś warte”. Po pierwszych dziesięciu stronach poszło następne dziesięć, a potem dalej i dalej, aż nie wiedzieć kiedy jednym tchem przeczytali całość. Gdy doszli do miejsca, kiedy to za trumną Pokrowskiego biegnie jego ojciec-staruszek, Niekrasow uderzył dłonią w rękopis i zawołał: A to ci dopiero! Obaj zdecydowali, że natychmiast do mnie polecą. Co z tego, że śpi, obudzimy go, to ważniejsze niż sen!

— Zrozumcie, ile dla mnie znaczył ten ich wybuch — mówił Dostojewski, raz jeszcze przeżywając tamtą chwilę. — Inni odnoszą sukcesy, wysłuchują pochwał, przyjmują gratulacje. Ale ci dwaj przybiegli do mnie ze łzami w oczach, gotowi obudzić mnie o czwartej rano, bo to jest ważniejsze niż sen» .

[ Cytat z książki S. W. Kowalewskiej: Wspomnienia i pisma. Izdatielstwo Akademii Nauk. Moskwa 1951, s. 127.]

Wzbudzanie podziwu to jedna z największych przyjemności życia. Chwile, gdy słuchano nas z zachwytem, pamiętamy przez długie lata. Ważne prawo psychologii głosi, że skłonni jesteśmy powtarzać to, co spotkało się z uznaniem. Nic też bardziej od pochwały nie pobudza nas do dalszych starań. Wiadomo, że najlepsze rezultaty mają ci trenerzy, którzy umieją okazać, jak bardzo się cieszą z osiągnięć ucznia. I oni są najbardziej lubiani.

Powiedz uczącemu się radiotechniki, że nie ma „drygu”, albo okaż zniecierpliwienie z powodu jego wolnych postępów, a walnie przyczynisz się do tego, że nigdy dobrym technikiem nie będzie. Jeśli, przeciwnie, uwagi twoje i zachowanie dodadzą mu wiary we własne siły, zrobi bez porównania lepsze postępy i uzna ciebie za przyjaciela.

Niektórzy psychologowie, jak na przykład H. S. Sullivan, powiadają, że aprobata ważnych dla danej jednostki osób jest decydującym czynnikiem wychowawczym. Nawet gdy mnie ktoś przecenia, staram się dowieść, że się myli. Cnota rośnie dzięki pochwałom — powtarzali starożytni, a Goethe pisał jeszcze dobitniej: „Gdy przyjmujemy ludzi takimi, jakimi są, czynimy ich gorszymi; gdy natomiast traktujemy ich tak, jakby byli tym, czym być powinni, wydobywamy z nich to najlepsze, na co ich stać”.

By zrozumieć, dlaczego tak powszechne jest pragnienie uznania, wystarczy uświadomić sobie siłę p o t r z e b y a k c e p t a c j i , z n a c z e n i a i d o b r e j

s a m o c e n y. Mało jest ludzi, którym nie dokucza niepokój o pozycję w grupie albo którzy czują się zupełnie pewni swoich możliwości i wartości. Kto (pomaga innym uśmierzyć ten niepokój, kto podbudowuje ich pewność siebie, ten jest potrzebny, ten jest lubiany.

Jednym z najważniejszych warunków budzenia sympatii jest odkrywanie w każdym człowieku czegoś, za co go można szanować i podziwiać. Więcej! Tak jak w ogóle kultura to w pierwszym rzędzie umiejętność dostrzegania i gotowość podziwiania tego, co jest godne podziwu, tak kultura współżycia polega w dużej mierze na dostrzeganiu i podziwianiu tego, co w ludziach jest wartościowe i piękne.

Popyt na uznanie i podziw jest ogromny, a podaż — mizerna. Dlaczego?

Dlatego, że podziw jest uczuciem stosunkowo rzadkim.

Dlatego, że możemy nie chcieć lub nie umieć go wyrażać.

P o d z i w j e s t r z a d k o ś c i ą, gdyż trzeba być dużej miary człowiekiem, by chętnie podziwiać innych. Człowiek przeciętny nie lubi uczucia podziwu, bo wydaje mu się, że ono go pomniejsza.

Poza tym podziw wymaga pewnej wiedzy. By podziwiać grafika, muszę się trochę znać na malarstwie, by podziwiać uczonego, muszę mieć pojęcie o jego dorobku i wiedzieć, ile charakteru, pracy i zdolności wymaga podobne dokonanie. Mały umysł nie rozumie wielkiego, lichego charakter nie pojmuje szlachetnego.

Osobną sprawą jest trudność podziwiania bliskich. Już sam brak dystansu może zrodzić lekceważenie. Nie wydaje się nadzwyczajnym to, co widzimy zwyczajnie. Nawet doskonałość traci blask, gdy ją stale mamy przed oczyma. Byle nowość bierze górę nad rzeczywistą wartością, która się opatrzyła, osłuchwała, spowszedniała. „Niejednego, którego świat podziwia, nikt nie podziwia w domu” (Montaigne).

W rezultacie od starych wolimy nowe znajomości, po których spodziewamy się więcej podziwu.

Fakt przygasania lub zanikania podziwu nietrudno wytłumaczyć. Rzadkie spotkania pobudzają, bo wnosimy do nich to, co mamy najlepszego, podczas gdy do codzienności wnosimy wszystko bez wyboru. Znakomity poeta oczarował świetną aktorkę i nawzajem ona go urzekła. Żenią się. Mieszkają razem. Widzą się już nie w świetle rampy, lecz co dzień. Widzą się rano przy wstawaniu, gdy niepięknie wygląda nawet szesnastoletnia dziewczyna, i widzą się wieczorem, po występach, gdy zmęczenie przytępi umysł, a zaostrza nerwy. Znają swój repertuar anegdot i dowcipów, uwag i wspomnień. Błyskotliwość, wdzięk i werwę, pogodę, świeżość i odświeżość zachowują dla obcych. Przestają sobie nawzajem imponować. Widzą, że ulepieni są z tej samej gliny co inni, że chwile olśniewających rezultatów osiągają tylko dzięki wytrwałej, zdyscyplinowanej pracy. Przypomina się owa entuzjastka Paderewskiego, która zapłaciła podwójną cenę za pokój sąsiadujący z apartamentem, do którego sprowadził się z fortepianem wielki pianista. Wytrzymała sąsiedztwo z nim tylko dwa dni.

Inną sprawą jest n i e c h ę ć l u b n i e u m i e j ę t n o ś ć wyrażania podziwu. Podobnie jak niektórym ludziom trudno wyrażać sympatię, tak innym, a często i tym samym, trudno przychodzi wyrażanie uznania i pochwały. „Powtarza, że go denerwuje” — zwierzyła mi się pewna pani. Wiem o tym i robię, co mogę, żeby się zmienić. Ale to niełatwe zadanie. Czuję się zniechęcona. Byłabym całkiem załamana, gdybym nie dowiedziała się okreśną drogą, że jestem jedyną kobietą, z którą nigdy się nie nudził. Dlaczego mi tego wprost nie powiedział? To takie ważne! Takie ważne, a gdyby nie przypadek, nigdy bym się o tym nie dowiedziała”.

Są ludzie przesubtelnieni, których mówienie miłych rzeczy krępuje. Inni uważają cechy miłe za oczywiste, a więc nie wymagające komentarza. W codziennym obcowaniu wyrabia się jakiś szablon uwag, w którym mieści się krytyka, a nie mieści się pochwała. Czy kto słyszał, żeby dzieci pochwały nauczycielkę za lekcję? A tymczasem pisze jedna z nich: „Nagrodą dla nas może być zwykle odezwanie się: Proszę pani, jaka dziś była ładna lekcja. Wtedy moje własne dzieci mają lepszą, wyrozumialszą matkę”. [„Życie Warszawy” z dn. 23.11.64.]

Żeby sprawić przyjemność, pochwała musi być zasłużona. Komplementy o wątpliwej prawdziwości są niesmaczne, a nawet podejrzone, gdyż zakrawają na ironię. Pochlebstwo upokarza obie strony. Słusznie też powiadają, że „kto cię chwali za coś, czego

nie masz, chce ci odebrać coś, co masz”.

A więc pierwszym warunkiem miłego uznania jest szczerłość. Kto idąc ulicą czy idąc przez życie widzi tylko ohydę i w ludziach dostrzega tylko to, co złe, ten powinien się troszczyć nie tyle o zmianę wyrażanych myśli, ile o zmianę sposobu patrzenia.

Poza warunkiem szczerłości pochwała sprawia nieskażoną przyjemność, gdy jest nie ogólnikowa, lecz sprecyzowana, nie frazeologiczna, lecz rzeczowa. A więc nie: „to nadzwyczajne!”, „przechodzisz samego siebie!”, „jesteś cudowny!”, lecz: „twoja odpowiedź była najlepsza z możliwych”, „mądrze układasz tę kartotekę”, „masz pewną rękę”. To samo odnosi się do tak zwanych komplementów. „Wiesz — wyznała pewna dziewczyna — gdy mi kiedyś napisałeś: «Żałuję, że nie będę mógł ucieszyć się widokiem Pani ogromnie żywych oczu», to rozplakałam się ze wzruszenia”.

— Jak to? — zdziwiłem się. — Czy nikt przedtem nie powiedział ci czegoś podobnego?

— Nie — odpowiedziała. — Zawsze tylko słyszałam takie nic nie mówiące ogólniki, że jestem miła, dobra, fajna.

Rzeczywiście — pomyślałem — bogaty jest nasz słownik, gdy krytykujemy, a ubogi i zdawkowy, gdy chwalimy.

Zdawkowość słów uznania przypomina zagadnienie ich dewaluacji. Choć w zasadzie chwalimy za mało, to jednak zdarzają się osobnicy, u których wyrażanie uznania jest doskonale zautomatyzowanym odruchem. „Tak mnie denerwuje — narzekała pani S. — że cokolwiek i jakkolwiek zrobię na obiad, mąż zawsze powie: «wysmienite żarcie»”.

Najbardziej przekonywające, a tym samym najmiłsze jest uznanie wyrażone drogą pośrednią i niekoniecznie słownie. Dla autora większą przyjemność niż usłyszenie od znajomej asystentki, że się jej podobała jego książka, jest dowiedzenie się, że poleciła ją studentom. Gawędziarz wyżej ceni napiętą uwagę, gdy mówi, niż wykrzyknik „to bardzo interesujące”, gdy Skończy. Fakt, że kierownik radzi się jednego z pracowników, i to w obecności innych, ma większe znaczenie niż wykrzyknik „znakomicie”, „wspaniale”, „pięknie”. Podobnie każdy prawdziwy dowód zaufania znaczy dużo więcej niż zapewnienia w rodzaju „ja naprawdę pana szanuję”.

## Zainteresowanie człowiekiem

*Gdy ktoś odprowadza cię na bok i pyta,  
jakie płacisz komorne  
i czy wygodne masz buty,  
wtedy wiesz, że interesuje się tobą.*

G. B. Shaw

Skutki braku zainteresowania najwidoczniejsze są u dzieci:

„Czemu on jest taki dziwny? Przecież godzinę temu, kiedy wyszli z domu na zalaną słońcem ulicę, był zupełnie inny — wesoły, pełen życia. Opowiadał z takim rozbawieniem o Jurku, który przestraszył się jakiegoś zająca. To pewnie było istotnie ciekawe i śmieszne. Walek też się przy tym śmiał. Ale ona nie słuchała go. Zajęta swoimi sprawami, nie zwracała na niego uwagi. I pewnie wtedy na jego radosny nastrój padł pierwszy cień. A potem, kiedy chłopczyk szczebiał nie milknąc ani na chwilę, zmusiła go do milczenia swoją obojętnością”...

[ T. Lichotał w pracy zbiorowej: „Pomówmy o naszych dzieciach”. Iskry, Warszawa 1962, s. 19.]

Tak samo widoczne są reakcje chorych. Z przekąsem mówi pacjent o doktorze, który zlekceważył jego ból głowy: „Jest za wielki, by zwracać uwagę na człowieka”. W szpitalu największą sympatią i największym zaufaniem cieszy się nie najbardziej uczony specjalista, lecz lekarz, który okazuje największe zainteresowanie pacjentami.

A w stosunkach między kolegami? Skarżyła mi się buchalterka, która przeszła do innej, większej instytucji na lepiej płatne stanowisko i żałuje tego. „Dużo mi gorzej! — mówiła. — Gdy po paru dniach choroby wróciłam do biura, nikt się nie zapytał, co mi było. W ogóle nikt tu się nikim nie przejmuje, nikt nikogo nie obchodzi. Nawet na moją pracę nikt nie spojrzy. Wszystko bym dała, by wrócić na dawne miejsce!”

Brak zainteresowania kolegów powoduje uczucie osamotnienia w miejscu pracy i uniemożliwia zżycie się z nim, brak zainteresowania kierownika ujemnie wpływa na stosunek do samej pracy. Oczywiście kierownik, który nie zwraca uwagi na przebieg i wyniki działalności swoich podwładnych, po prostu nie wywiązuje się z obowiązku, a ten, który interesuje się nimi wyłącznie jako aparatem wykonawczym, sam redukuje się do roli aparatu dyspozycyjnego, i to nie najlepszego. Atmosfera obojętności nie tylko utrudnia dobre samopoczucie, ale także odbija się na produkcji.

A co powiedzieć o członku rodziny, którym nikt się nie interesuje? Głos dziecka:

„Rodzice interesują się mną wtedy, kiedy potrzeba mi coś kupić, kiedy mam coś zrobić. Wiedzą, że lubię kino, teatr i inne rozrywki, lecz nie mają w ogóle pojęcia, czym ja właściwie żyję, co zajmuje moje myśli. Rodziców moich nie kocham, czasem ich nawet nienawidzę”.

[ Z ankiety „Expressu”: Uważam, że moi rodzice...]

Głos starej matki: „Syn mi żałuje serdecznego słowa, uśmiechu, drobnej usługi, zainteresowania, tego przysłowiowego bukietka fiołków za złotówkę, zatroszczenia się o moje zdrowie. Nigdy nie zapyta: Jak się czujesz, mamó? Nigdy nie zainteresuje się moimi pracami. Chłód, oziębłość”.

Głos innej matki: „Jestem zadziwiająco w pełni władz umysłowych, równowagi nerwowej, a moje niedomagania związane z wiekiem nikomu w domu nie są znane. Zresztą nikt mnie o nie nie pyta i na nic by się nie zdało mówić o nich”. [ Z ankiety „Życia Warszawy”: Rodzice — dzieci — rodzice.]

A więc zdarza się obojętność nawet w stosunku do dziecka, nawet w stosunku do matki. Moment zachorowania wywoła poruszenie, śmierć — rozpacz, ale na co dzień nie ma nic. Nic! A dom, w którym interesują się dzieckiem (i nie dzieckiem) tylko wtedy, gdy jest chore, staje się pożądanym miejscem dla niego tylko wtedy, gdy zachoruje. Sytuacja starej matki jest jeszcze gorsza. Dom jest może jedynym miejscem, w którym może liczyć na budzenie zainteresowań, toteż jeśli go w nim nie otrzymuje, brzydnie jej nie tylko dom, ale razem z nim brzydnie jej cały świat.

Znam młodego człowieka, który żywi cichy żal do swojej dziewczyny za to, że nie przyszła na jego pierwszy w życiu odczyt, a nawet nie zatelefonowała, by spytać, jak mu

poszło? Znam aktorkę mającą za złe mężowi, że nie widział jej we wszystkich rolach. Znam autora, którego niepokoi, że ona nie wyraziła życzenia by poznać wszystkie jego prace, nawet te najdawniejsze, najslabsze. Wszyscy troje mają pretensje niedorzeczne, ale zrozumiałe. Miłość różni się od samego pożądanego między innymi tym, że pragnie, aby kochany człowiek dzielił się wszystkim, nawet przeszłością, nawet niepowodzeniami, i żąda, abyśmy także wszystkim się z nim dzielili. „Twoje sprawy są moimi sprawami”. „Wiem, co robisz i co robiłeś, ale to mało; muszę wiedzieć, co myślisz i co czujesz”.

Zainteresowanie towarzyszy każdemu uczuciu. Uczuciu największemu — miłości — towarzyszy zainteresowanie największe. Wyraża się ono m. in. dążeniem do rozległego kontaktu. „Nie wystarczy mi rozmowa w kawiarni — zdaje się mówić zakochany — chcę ciebie poznać w rozmaitych sytuacjach. Domyślam się, że jesteś inna w domu, inna w pracy, inna w mieście, inna na wsi — chcę znać ciebie całą! Poznać ciebie we wszystkich życiowych rolach”.

Zainteresowanie jest nie tylko pierwszym wyrazem sympatii, ale zwykle wzbudza wzajemną. „Kocham mamę — mówiła mi studentka — bo chce wszystko o mnie wiedzieć, a ja jej mogę wszystko powiedzieć”. A oto inny głos z cytowanej już ankiety „Expressu”:

„Uważam, że moi rodzice dostatecznie interesują się mną, i to mnie cieszy. Gdy przychodzę smutna ze szkoły, są wtedy dla mnie jeszcze serdeczniejsi niż zawsze. Starają mi się jak najwięcej pomóc czy to w nauce, czy to w sprawach osobistych. Gdy jestem wesoła, dzielą się moją radością, cieszą się razem ze mną. Pytają mnie o moje sprawy, ale nie w sposób natarczywy. Uważam, że moi rodzice są najlepsi na całym świecie”.

Zainteresowanie zjednuje nawet wtedy, gdy nie ma emocjonalnego zabarwienia. Miałem piętnaście lat, gdy poznałem garbatego i bardzo niskiego pana K. Byłem skrytym chłopcem, ale jemu opowiedziałem rzeczy, których nikomu innemu nie mówiłem — o tym, że najbardziej lubię najsurowszego profesora, że wstydę się tańczyć, że urządzamy zawody, kto potrafi zawrzcąć na ulicy najwięcej znajomości, że ja w tych zawodach haniebnie przegrywam, co mnie bardziej martwi niż dwójka z matematyki. Potem dowiedziałem się, że pan K., którego obchodziły moje myśli i który zdawał się przejmować moim niepowodzeniem, był wybitnym dziennikarzem, wysyłanym na ważne międzynarodowe imprezy. Być może, iż jego zainteresowanie moją osobą było niczym więcej jak automatycznie stosowaną dziennikarską rutyną, mimo to długi czas uważałem go za najmilszego spośród znajomych ojca i nigdy się w jego towarzystwie nie nudziłem. Bo nudziarz to osobnik interesujący się sobą i niczym więcej.

Nie bądźmy nudziarzami! Pamiętajmy, że zainteresowanie jest duszą rozmowy. Niech nas absorbuje osoba, w której towarzystwie się znajdujemy. Niech jej uczucia, myśli, przeżycia, trudności i konflikty stanowią pasjonujący w danej chwili temat. To wcale nietrudne. Ludzie nie są ciekawi, gdy patrzymy na nich z daleka, jak na szarą masę, ale z im mniejszej odległości robimy zdjęcia, im ostrzej nastawiamy obiektyw, tym więcej odkrywamy w nich niespodziewanych cech szczególnych.

Wartość zainteresowania nie sprowadza się wyłącznie do zjednywania sympatii. Gdy interesujemy się ludźmi jak dziełami sztuki, a więc dla nich samych, a nie dla ewentualnych korzyści, nasze własne życie staje się ciekawsze i barwniejsze. O ileż bogatsza jest na przykład wycieczka, gdy będąc odrobinę na własny użytek reporterem — zapytam kolejarza, ile zarabia, jaką ma rodzinę i jakie przykrości w pracy, gdy wyrażę zdziwienie, że właścicielka małego domku przy drodze znajduje czas na uprawę rzadkich kwiatów, albo gdy sprowokuję autostopowiczów, by opowiedzieli, co ich rodzice myślą o autostopie?

Zainteresowanie wyraża się głównie pilnym słuchaniem, żywą, współdoznającą reakcją i pytaniami, ale nie zdawkowo-grzecznościowym „co słyhać”, nie głupkowskim „znalazłeś?” i nie wścibskim „no i co, czy jeszcze z nim chodzisz?” Powiadają, że łatwiej poznać człowieka po jego pytaniach niż po odpowiedziach. Słusznie! Pytania zdradzają poziom i treść życia umysłowego, a często i charakter. Pytania egocentryka odnoszą się prawie wyłącznie do tego, co bezpośrednio lub pośrednio wiąże się z jego osobą, ambicją, interesem: „Jak dziś wyglądam, czy oni mi to robią, czy mogę lepiej zarobić?” Natomiast ktoś, kto interesuje się nie tylko sobą, pyta także o szczegóły sytuacji rozmówcy, o jego kłopoty, o to, czy zmieniła się przykra atmosfera w pokoju pracy, czy jego projekt został przyjęty itd.

By takie pytania stawiać, trzeba wiedzieć, co drugą stronę żywo interesuje i tak właśnie objawia się zainteresowanie. Przywiązujemy się nie do cudzej ciekawości, lecz do wyrażonej w pytaniach pamięci i troski. Przywiązujemy się do osób, które chętnie wysłuchują naszych zwierzeń, bo tym samym zaspokajają naszą potrzebę zwracania uwagi i okazują, że nas lubią, że są nam bliscy.

## Rozumienie i porozumienie

*Dom to nie miejsce, gdzie mieszkasz,  
ale miejsce, gdzie ciebie rozumieją.*

Ch. Morgenstern

Nie rozumiesz mnie!” — rzuca syn ojcu. „Dlaczego mnie nie chcesz zrozumieć?” — mówi ona do niego. „Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć” — prosi laborantka chemika. Cóż z tego, że to zaprawione goryczą lub obawą wołanie o zrozumienie wyraża często jedynie kaprys lub pretensję. Cóż z tego, że nie rozumiany przeważnie sam jest nie rozumiejącym. Fakt pozostaje faktem, że gdy nie czujemy się rozumiani przez najbliższych, to nie uważamy ich za całkiem bliskich.

Zrozumienie jest jednym z warunków miłych kontaktów. Dzięki niemu wiem, że zrobiłbym przykrość Konstantemu, gdybym go zaprosił razem z tłumem wesółków, i wiem, że mogę mu zrobić przyjemność zastanawiając się z nim nad wyborem kierunku studiów jego młodszego brata.

Bez zrozumienia nie ma umiejętności postępowania. Przecież znać człowieka znaczy wiedzieć, jak on się zachowa w danej sytuacji, jakie motywy najsilniej pobudzą go do akcji, jakim argumentem najlepiej trafić mu do przekonania i jakimi środkami najlepiej na niego wpływać.

A czy rzeczywiście rozumieć znaczy wybaczać? Rozumiem, że Ryszard szuka w wódce ucieczki przed pustką wieczorów, przed pustką w sobie, przed wrażeniem słabości i życiowej klęski; rozumiem, że niełatwo mu oprzeć się pokusie i trwać przy starej żonie, wiem, rozumiem, a mimo to nie wybaczę mu pijackiej brutalności. Natomiast wybaczę przyjacielowi jego zapomnienie ważnej dla mnie sprawy, bo wiem, że przeżywa napiętą sytuację w biurze, wybaczę dziewczynie chwilę rozdrażnienia, bo wiem, jak ją nastroją chamskie zaczepki na ulicy, i wybaczę koledze jego niezbyt lojalne zabiegi o premię, bo rozumiem, co czuje ojciec, gdy nie może kupić dzieciom swetrów na zimę.

Nawet w najszcześniejszej współpracy i w najlepszym pożyciu najdelikatniejszych ludzi prawie co dzień znajdzie się coś, co wymaga przebaczenia. Zrozumienie na pewno je ułatwia. Pomaga nam ono także lubić ludzi mimo wszystko, lubić ich nie takimi, jakimi chcielibyśmy ich widzieć, ale takimi, jakimi są w rzeczywistości.

Ale czy kiedykolwiek jesteśmy naprawdę rozumiani? — Nie.

A gdybym inaczej sformułował to pytanie: Czy kiedykolwiek kogoś rozumiemy? — O, tak!

Zabawna sprzeczność tych odpowiedzi wynika ze względności pojęcia rozumienia. Stwierdziwszy ją nie będziemy jednak szukać definicji rozumienia, raczej zastanowimy się, dlaczego tak często jest ono złudne.

Sądzimy według siebie. Przypisujemy innym własne motywy, intencje, postawy i metody działania. Praktycznie biorąc wychodzimy z założenia, iż nasz sposób odczuwania i patrzenia jest jedynie możliwy. Zwłaszcza gdy kogoś lubimy, to przyjmujemy za pewnik, że tak samo jak my pojmuje na przykład słowo „lojalność”, że tak samo jak my przeżywa krzywdę współpracownika, że tak samo jak my odczuwa dobry film, zły obraz albo trudną sytuację rodzinną. A tymczasem różnice w sposobach odczuwania i myślenia są tak samo nieuchronne jak różnice życiowych doświadczeń, jak różnice „okularów”, które nam włożono w dzieciństwie, jak różnice potrzeb.

Kto tych różnic nie dostrzega, ten na pewno ludzi nie rozumie. Nie rozumie ich także ten, kto twierdzi, że każdego może przejrzeć na wylot i z łatwością sklasyfikować. A takich mądrali jest sporo. Denerwują oni nawet nie tyle swoim zadufaniem, co prymitywnym szufladkowaniem znajomych. Każdy człowiek wie, że jest jedyny w swoim rodzaju i że jego sytuacja życiowa zawiera niepowtarzalny układ szczegółów. A tu przychodzi mędrak i oświadcza, że wszystko pasuje do jego szablonu. Patrzy na człowieka jak na pozycję w roczniku statystycznym, po czym jest zaskoczony, że ta pozycja ucieka z tabelki jego dni.

Gdy brak jest zrozumienia, niedomaga i porozumienie. Zwłaszcza to szerokie, to, które jest kontaktem na paru płaszczyznach. I nie. trzeba się łudzić. Niemożliwe jest ono przy dużych różnicach inteligencji i postaw. Zainteresowanie i uczucie przerzuca mosty



nad przepaściami, ale mosty te nie są szerokie. Kontakt może być bardzo intensywny, a mimo to ubogi.

W konkretnych sprawach brak porozumienia pochodzi najczęściej:

- 1) z nieuwagi,
- 2) z polegania na domyśle,
- 3) z gniewnej reakcji na różnice zdań,
- 4) z niezrozumiałego lub nieprecyzyjnego języka.

Ciekawe przy tym, że im większe jest napięcie, tym większe jest prawdopodobieństwo opaczego rozumienia drugiej strony i że zwiększa się ono, gdy używamy słów potocznych o dużym ładunku emocjonalnym. Nawet proste „kocham cię” jest wieloznaczne. W piosence nie znaczy nic. W momencie podniecenia może znaczyć tylko „pożadam”. Dla wielu równa się ono powiedzeniu „potrzebuję twojej opieki”, albo „podziwiam cię i chcę, żebyś mnie podziwiała”. Wreszcie treścią jego może być pragnienie czucia się z kimś „po domowemu”, bezpiecznie, przy jednoczesnej rezygnacji z miłości własnej, pragnienie otoczenia kogoś swoją opieką.

[ Według J. A. M. Meerloo: *Conversation and Communication*. Universities Press, New York 1952.]

## Współdoznawanie

*Jeden mówi: „Moja to”.  
Drugi mówi: „Jak Bóg da!”  
A trzeci mówi: „Moja najmilejsza  
Czemu żeś tak smutna?!”*

(Refren piosenki)

Dziecko zjadło zupkę — matka się cieszy. Zrobiło kupkę — matka się cieszy. Dostało dwójkę — matka ma łzy w oczach. Cierpi w chorobie — matka razem z nim nie śpi. Aż wreszcie „dziecko” zostaje profesorem uniwersytetu i matka wyznaje: „To najszczęśliwsza chwila mego życia”. Dzięki matczynej trosce wyrasta przekonanie, że radość z naszych powodzeń i współczucie naszym niedolom jest nieodłączną cechą przyjaźni.

Tego współdoznawania spodziewamy się po bliskich i potrzebujemy go. Potrzebujemy w radości i smutku. Można samemu zgłębiać teorię fizyki, można samemu naprawiać wóz, ale radość z przyjęcia naszej pracy dyplomowej albo choćby radość z przejażdżki po lesie traci połowę wartości, gdy nikt jej z nami nie dzieli.

Współczucie nie zmniejsza cierpień, ale odrobinę je osładza. Ani ząb, ani strata czegokolwiek nie boli mniej dzięki obecności przyjaciela, a mimo to jego obecność jest pociechą. Pustka lub zupełny brak współczucia obecnych pogłębia smutek. „Gdy powiedziałam, że każą mi iść na emeryturę — skarżyła się stara farmaceutka — mój syn wcale się tym nie przejął. Pomyślałam, że starzy ludzie nie mają ani pracy zawodowej, ani przyjaciół”.

Brak współczucia nawet w drobnostkach może także dodatkowo denerwować i prowokować do ataku:

- Aj! Sparzyłam się.
- Na drugi raz będziesz uważać.
- Tak sądzisz?
- Tak.
- A ciekaw jestem, kiedy ty nauczysz się uważać przy nalewaniu kawy. Zawsze robisz plamy na obrusie. Najchętniej byś mieszkał w chlewie.

Współdoznawanie jest emocjonalnym uzupełnieniem omówionego poprzednio zainteresowania i zrozumienia. Uzupełnieniem koniecznym. Nie wystarcza, że się ktoś nami interesuje. Jeśli ma być bliski, musi się przejmować naszymi sprawami. Tym bardziej jeśli chce nas rozumieć. „Nie ma, w tobie współczucia pisze Dostojewski w Zbrodni i Karze — nic tylko fakty, i dlatego twoje sądy nie są sprawiedliwe”. Nie sposób rozumieć i sprawiedliwie oceniać człowieka nie czując chwilami tak, jak on czuje, nie współdoznając z doskwieraniem jego nie zaspokojonych potrzeb, nie wchodząc w emocjonalną aurę dominujących w nim pragnień.

Można wiele wiedzieć o sztuce, a mimo to nie rozumieć jej, można mieć wiele wiadomości o człowieku, a mimo to zupełnie go nie znać. Umieć sklasyfikować i nazwać czyjeś cierpienie czy radości nie jest trudno. Ich podstawowe źródła są nieliczne i proste: bieda i choroba, nieodwzajemniona miłość i rozdziewięki, zawiedzione ambicje i osamotnienie, niebezpieczeństwo strat i śmierć najbliższych. Ten katalog wyczerpuje prawie wszystkie możliwości ludzkich tragedii. Ale czy ktoś, kto zna przyczyny mojego bólu, wie, czym on jest i jaki? Tyle wie co lekarz, któremu się zdaje, że rozumie pacjenta i jego chorobę, gdy potrafi ją nazwać.

Obcość! Przestrzega się, by miłość nie była egocentryzmem i egoizmem we dwoje, ale jakże często nie jest ona nawet „we dwoje”! Partnerzy patrzą tylko w siebie i w swój obraz drugiej strony. Jest im dobrze, garną się do siebie, przeżywają wielkie uniesienia, ale w gruncie rzeczy ani na chwilę nie wychodzą poza mury dwóch indywidualnych „ja”, nie mają ze sobą kontaktu ani umysłowego, ani emocjonalnego i nawet o tym nie wiedzą.

Jeżeli ta obcość możliwa jest nawet w miłości, to cóż dopiero w stosunkach o normalnej temperaturze.

Obcość przebija w obojętności, w powierzchowności kontaktu i w doskonałej pobłażliwości, która dopiero przy konflikcie interesów przeradza się we wściekłą nietolerancję. Choćby ów obojętny człowiek był bardzo dobrze wychowany, choćby świetnie prowadził rozmowę i błyszczał inteligencją, otoczenie szybko wyczuje, że brak mu serdeczności, której pragniemy bardziej niż głębokich uwag i błyskotliwych żartów. Obcość wyraża się dalej lekceważeniem cudzych cierpień. Jaka jest różnica między dramatem a melodramatem? Dramat — to moje własne cierpienie, a melodramat — to samo cierpienie przeżywane przez kogoś innego. A co to jest czułośćkowość? — To uczucie, którego nie podzielam. A histeria? — Rozpacz, którą ja spowodowałem.

Nawet gdy powód cierpienia jest błahy, lekceważenie go sprawia przykrość. Tak, to prawda — zdajemy się mówić — to tylko niestrawność z przejedzenia, tylko ból głowy, a inni mają owrzodzenie dwunastnicy i guzy na mózgu, ale mama przejmowała się nawet moim katarem.

Jeszcze silniej przeżywamy uczucie obcości, gdy zwierzysz się z obawy zamiast pociechy otrzymujemy ironię lub! zniecierpliwione prychnięcie.

— Chyba mam cukrzycę.

— A może sklerozę. Już trzeci raz to mówisz! Rzeczywiście wspominała o swojej obawie już trzeci raz, bo szukała oparcia, pociechy, pomocy w stłumieniu niepokoju, a tymczasem...

Mówi się, iż niedelikatność wynika z bezmyślności, ale ściślej pochodzi ona z braku „odwróconego spojrzenia” i współdoznającego serca.

Jędrak jest niby dobrym człowiekiem, ale w rozmowie z przyjacielem wskazuje na śmierć jego ukochanego dziadka jako przykład złej opieki lekarskiej, w biurze żartuje z melancholijnej miłości koleżanki, zapominając, że znajomy jest „bez grosza”, proponuje mu wyjazd na święta do Zakopanego, zbywa wzruszeniem ramion pracą kolegi-chemika, który nieszczęśliwie zainwestował dwa lata pracy, dwa lata mozolnych eksperymentów nad niemożliwą do przeprowadzenia syntezą.

Niedelikatność tym trudniej wybaczyć, im od bliższego pochodzi człowieka. Broniek mógł nie wiedzieć, że córka pani domu wpadła w chuligańskie towarzystwo, i dlatego mógł perorować, że za wykolejone dzieci odpowiedzialni są zawsze rodzice, ale Czesław, który znał tragedię domu i jej prawdziwe tło, nie powinien był tak skwapliwie potakiwać wywodom Bronka.

Przykład zabawny:

— Ładna, prawda? — mówi wnuczka, pokazując babci nową sukienkę, którą sama uszyła i z której jest bardzo dumna.

— Tylko nie zapomnij włożyć ciepłych majtek — odpowiada babcia.,

Przykład subtelny:

Wojtek rozmawia z Kostkiem o tym, jak sobie wyobraża udane życie. Mówi z przejściem zdradzającym coś więcej niż intelektualną koncepcję. Kostek żywo reaguje, rozbudowuje jedne pomysły, zbija drugie. Nagle Wojtek milknie. Wyczuł, że kolega przyjmował te wynurzenia tylko jako słowa pobudzające go do wygłaszania własnych słów.

Przykład brutalny:

Syn żeni się. Matka sprzedaje pierścione, zapożycza się i z pomocą rodziny narzeczonej zdobywa dla młodych mieszkanie. Nadchodzi chwila przeprowadzki. Najładniejsze melbie idą do mieszkania syna. Stara rozlatująca się szafa zostaje. Matka półzartem:

— Kto mi teraz będzie reperować szafę?

— Dozorca — odpowiada synowa.

Brak współdoznawania mrozi i oddala. Przyjaciel, to dzłowiek, którego żywo obchodzą nasze poczynania, wrażenia, kłopoty, ambicje, walki i pomysły, natomiast obcym jest ten, którego one nie obchodzą:

„Kiedyś wieczorem — pisze Czechow — gdy wybierając się do teatru stała przed lustrem, do sypialni wszedł Dymow we fraku i w białym krawacie. Uśmiechnął się łagodnie i jak dawniej radośnie spojrzał żonie prosto w oczy. Twarz jego promieniała.

— Przed chwilą bronilem tezy doktorskiej — rzekł siadając i gładząc sobie kolana.

— I obroniłeś? — spytała Olga Iwanowna.

— No?! — zaśmiał się i wyciągnął szyję, żeby zobaczyć w lustrze oblicze żony, która stała w dalszym ciągu plecami do niego i poprawiała uczesanie. — No?! — powtórzył. — Wiesz, bardzo możliwe, że zaproponują mi prywatną docenturę z patologii ogólnej. Coś takiego się kroi.

Po jego błogim, rozpromienionym wyrazie twarzy widać było, że gdyby Olga Iwanowna podzieliła z nim jego radość i tryumf, to przebaczyłby jej wszystko, i o wszystkim by zapomniał, ale ona nie rozumiała, co to znaczy prywatna docentura i patologia ogólna, a nadto bała się spóźnić do teatru — i nic nie powiedziała”.

[ A. Czechow: Księżna pani i inne opowiadania. Czytelnik, Warszawa 1956, S. 58.]

Gdy wspominam matkę, to wciąż na nowo, najczęściej i najmocniej przeżywam sytuacje, kiedy tak

ogromnie cieszyła się z każdego mego powodzenia (cieszyła się dużo bardziej ode mnie) i kiedy przejmowała się każdą moją porażką (przejmowała się silniej niż ja). Gdy pytała: „Czy są już recenzje z twojej książki?” — to tak jakby od tych recenzji zależało jej życie, a gdy kiedyś nie mogłem znaleźć potrzebnej mi cytaty, to nie mogąc mi pomóc śledziła mnie tylko wzrokiem i jakże rozpromieniła się, gdy tę cytate znalazłem.

Wczuwanie się w drugiego człowieka, przejmowanie się jego sprawami i przeżyciami jest właściwe w różnym stopniu różnym ludziom.

Możliwe są trzy kryteria tej współdoznającej wrażliwości:

Pierwsze odnosi się do siły bodźca. Jedni potrafią współczuć nawet koledze wcześniej opuszczającemu zabawę, by wrócić do domu zgodnie z daną obietnicą, a innym robi się nieprzyjemnie dopiero na widok chłopca wpadającego pod koła tramwaju.

Drugie kryterium — to czynne konsekwencje współdoznawania. Na widok dziecka ukąszonego przez żmiję jedna kobieta ze współczucia mdleje, a inna nie szczędzi energii, czasu i pieniędzy, by zorganizować transport do szpitala.

Trzecie kryterium obejmuje zakres współdoznawania. Tylko nieliczne jednostki potrafią współdoznawać z cierpieniami i radościami każdego; większość ma taki emocjonalny kontakt tylko z najbliższymi, a jeszcze inni ludzie nie mają takiego kontaktu z nikim.

Nasuwa się pytanie, czy współdoznający kontakt może być tylko indywidualny i osobisty? Czy można „cierpieć za miliony?”

Tak. Potoczne powiedzenie: „jestem sercem z ofiarami powodzi” albo: „jestem tam, gdzie walczą o wolność” mogą wyrażać rzeczywiste uczucia. Jasne, że kontakt z całymi grupami społecznymi jest bardziej abstrakcyjny i mniej intensywny niż kontakt osobisty. Ale istnieją wyjątki. Jednostki o wysokim poczuciu solidarności społecznej przeżywają ból i radość swego środowiska zawodowego, społeczności lokalnej, narodu lub klasy chwilami równie silnie jak ból i radość własnej rodziny.

Również stosunkowo rzadkie są czynne konsekwencje współdoznawania z większymi społecznościami. Przeważnie za frazesem „jestem sercem z nimi” idzie tylko westchnienie, co najwyżej jałmużna. Ale są też jednostki, które nie tylko w wyjątkowych sytuacjach, ale codziennie naginają życie do ofiarnej służby na rzecz większych czy mniejszych grup społecznych. Dla nich te grupy nie są abstrakcją. Dla nich poczucie wspólnoty zakładowej, lokalnej, narodowej czy ogólnoludzkiej jest faktem, który dokumentują codziennym trudem. Do nich statystyka rzeczywiście przemawia głosem tysięcy i milionów ludzi, a hasła i manifesty nie są drętwą mową.

Zupełny brak zrozumienia i nieczułość w stosunku do cudzych przeżyć pochodzi przeważnie:

- z zaburzeń umysłowych,
- z egocentryzmu,
- z niedostatku rodzinnej miłości w dzieciństwie,
- z długotrwałego niezaspokojenia istotnych potrzeb,
- z przemęczenia i wyczerpania.

Czynnikami sprzyjającymi współdoznawaniu są:

1. emocjonalna wrażliwość
2. spostrzegawczość

3. inteligencja
4. doświadczenie.

1. Współdoznawanie jest jakby naśladowaniem stanu emocjonalnego drugiej strony i dlatego wiąże się z ogólną emocjonalną pobudliwością. Znam dziewczynę, która pomagając koleżance w ciężkiej życiowej przeprawie, potem zasnąć nie mogła, choć jej „pacjentka” spała jak niedźwiedzica w zimie.

2. W listach pisanych z dworu królów francuskich zaskakująco dużo miejsca poświęcano wyrazowi twarzy jego królewskiej mości. Od kierunku jego spojrzeń, od uśmiechu lub zmarszczenia brwi zależały kariery i fortuny poddanych. W rezultacie nie uchodziło uwadze najmniejsze drgnienie królewskiego oblicza.

Kierować spostrzegawczością może nie tylko interes, ale także miłość. Jakże często on czy ona dziwi się, że tyle daje po sobie poznać. To nie znaczy, że wyraz twarzy, ton i gest jest łatwym do odczytania zwierciadłem psychiki, ale znaczy, że tak bystre są kochające oczy, tak wrażliwe uszy. Pod wpływem uczucia uwaga doskonale skupia się na umiłowanym i co za tym idzie, dostrzega, słyszy, pamięta i porównuje niedostrzegalne dla innych przejawy jego wzruszeń i myśli.

Może nie aż tak, jak interes i miłość, ale zaostrza spostrzegawczość każde zainteresowanie człowiekiem. Ktoś, kogo ludzie obchodzą, jest bardziej spostrzegawczy niż odwracający się od nich mizantrop.

3. Obserwacja jest owocna tylko wtedy, gdy poparta jest inteligencją. Kto nie myśli, ten nie skojarzy ledwie dostrzegalnego poruszenia ust z uwagą o niewierności; nie dostrzeże związku między przyspieszeniem kroku przyjaciela a spotkaną po drodze osobą; dalej będzie skubać wiszącą przy fotelu makatkę, choć gospodyni z niepokojem spojrzała na jego rękę; nie zorientuje się, dlaczego na wsi jego gospodarze nie chcą razem z nim jeść kurczaka lub polędwicy.

Także i w poważniejszych sytuacjach współdoznawanie wymaga udziału inteligencji. Duży ból bywa skryty i wrażliwy. Tak wrażliwy, że doświadczenie czyjegoś współczucia może być przykrością. Nie lada bystrości, a więc inteligencji, może wymagać dostrzeżenie, że kobieta, która rozeszła się z mężem i jest tak głośno wesoła, bardzo cierpi, i nie lada taktu, a więc inteligencji, może wymaga podparcie jej zachwianego poczucia własnej wartości i bezpieczeństwa bez okazywania niepożądanego litości.

Na marginesie nasuwa się refleksja o lubieniu „za inteligencję”. Często się słyszy to wyrażenie, a nawet silniejsze: „Kocham go za jego inteligencję”. Ale są osoby bardzo inteligentne i bardzo nie lubiane. Nie, inteligencja (i wiedza) może interesować, może imponować, ale sama przez się nie budzi sympatii, tak samo jak nie budzą sympatii muskuły. Malec może uwielbiać starszego kolegę za jego potężną pięść, ale tylko wtedy, gdy ta pięść spada nie na niego, lecz w jego obronie.

Inteligencja jest jak pięść. Umożliwia skuteczne wyrażanie się charakteru. Ułatwia rozumienie drugiego człowieka, sprawne współdziałanie i szybką likwidację nieistotnych konfliktów. Bez niej trudno o delikatność, trudno o współdoznawanie, trudno o pomoc w zaspokajaniu bardziej subtelnych potrzeb otoczenia, trudno nawet o grzeczność. Wiele też zła pochodzi stąd, że nie dość myślimy o konsekwencjach naszych czynów. Niemniej to, co inteligencją kieruje, nie jost jakąś mądrością samą w sobie, lecz życzliwym lub nieżyczliwym, aktywnym albo ignuśnym stosunkiem do ludzi.

4. Nawet najwspanialsza inteligencja i najwrażliwsza wyobraźnia musi operować własnym materiałem przeżyć, musi opierać się na doświadczeniu. Nieraz siedziałem przy łóżku ciężko chorych i sądziłem, że ich rozumiem, aż kiedyś sam przez cztery dni leżałem bezwładny. Z niepokojem obserwowałem opiekujących się mną. Każdy ich szybszy gest interpretowałem jako zniecierpliwienie. Przeżywałem rozterkę za każdym razem, gdy chciałem poprosić o przyćmienie światła, nastawienie radia, podanie wody. Złościły mnie hałasy w domu, bezradne kręcenie się po pokoju znajomego, który przyszedł pomóc, a nie wiedział, co robić. Te doznania czterech dni odżyły na chwilę, gdy odwiedziłem chorego, który nie wstaje od wielu miesięcy. Jeśli mogłem z nim współdoznawać, jeśli mogłem go względnie rozumieć, to dzięki temu, że stosunkowo niedawno sam poważnie chorowałem.

Może ludzie nieszczęśliwi nie lubią wesołków, bo ci po prostu nie mogą ich zrozumieć? Może dlatego (a nie tylko z powodu zawiści) ludzie przegrywający nie lubią tych, którym się zawsze powodzi. Może dlatego — jak mówi koreańskie przysłowie — tylko

głodny dobrze poznaje świat.

Dodajmy, iż rzadkością jest idealne współdoznawanie, które polega nie na wyobrażaniu sobie, jak ja czułbym się na czyimś miejscu, ale na przeżywaniu choćby w małym przybliżeniu tego, co ten ktoś czuje. Różnica między tymi dwoma podejściami jest ogromna. Pierwsze to projekcja własnych cech, drugie — to identyfikacja, której warunkiem są nie tylko podobne doświadczenia, ale także podobne natury.

Pięknie przykazywał St. Staszic w *Przestrojach dla Polski*, że „boleść cierpiącego człowieka powinna wzruszać w drugim człowieku bolesć”.

[ St. Staszic: *Przestrogi dla Polski*. Biblioteka Narodowa. Kraków, 1926, s19]

Bez trudu można wykazać ścisły związek zdolności do współdoznawania ze wszystkimi innymi cechami utrudniającymi lub ułatwiającymi współzycie. Współdoznający nie może być egocentrykiem, a tym bardziej egoistą, na pewno będzie szanować cudze uczucia i godność, nie będzie paradować na szczytach wyższości, nie będzie przeszkadzać, a za to będzie umiał oceniać cudze starania, dostrzegać cudze potrzeby, dbać i pomagać. Czynne współdoznawanie jest ponadto koniecznym warunkiem pełnego kontaktu człowieka z człowiekiem i człowieka ze społecznością. Obok współdziałania kultura współzycia polega w pierwszym rzędzie na sztuce współdoznawania.

## Dawanie

*Człowiek wspaniały daje nie proszony,  
przeciętny — gdy go proszą, podły nie daje nigdy.*

(Przysłowie hinduskie)

Poczułam się dorosła — zwierzyła mi się Beata — gdy za własne zarobione pieniądze kupiłam mamie sukienkę. Byłam taka szczęśliwa!

Małe dziecko jest egoistyczne, bo wiele potrzebuje, a dawać nie po trafi. Rosnąc włącza się do społeczności dorosłych poprzez uczestnictwo w ich pracach. To stopniowe przejmowanie na siebie części zadań usługowych i produkcyjnych dokonuje się najpierw w obrębie domu (na przykład pomoc w sprzątanii), powoli rozszerza się poza krąg rodzinny (na przykład szkolne akcje zbiórki makulatury), by osiągnąć stopień względnej dojrzałości, gdy młody człowiek dostaje do ręki pierwsze zarobione pieniądze. Następnym stopniem pełnej już dojrzałości jest przeznaczenie części energii i zarobku na cele nie związane z osobistą konsumpcją.

Każdy dojrzały człowiek rzadziej lub częściej daje coś innym, ale wcale nie każdy umie tym sprawiać przyjemność. By dawanie było na pewno miłe, musi być:

1. czyste w intencji,
2. dobrze pomyślane w treści,
3. co najmniej poprawne w formie.

Nie jest c z y s t e w i n t e n c j i dawanie zdawkowe. Wspominam o nim, bo gdy mowa o dawaniu, od razu przychodzą na myśl imieninowe prezenty. Miliony ludzi daje tylko w święta i od święta. Daje, by nie przyjść z pustymi rękami.

Dużo gorsze od tego konwencjonalnego dawania, „bo wypada”, jest obdarzanie kogoś dla poklasku, po to, by imponować, by zaćmić innych, by „cała okolica dowiedziała się od sroki, jaki to półpanek miłosierny i wspaniałomyślny”.

[ M. Konopnicka: O krasnoludkach i o sierotce Marysi. Arct, Wrocław 1947, s.238]

Ten rodzaj hojności ma zawsze charakter wynoszenia się ponad innych. Dobroczynicy, którzy mniej lub więcej dyskretnie szerzą chwałę swego dobrodziejstwa, przypominają lekarza zajmującego się tylko tymi wypadkami, iktóre mogą mu przynieść rozgłos.

Spekulowanie na wdzięczności też nie jest rzadkie. „Załatw mu samochód, od niego zależą zamówienia, zaprosz go, on ma chody w ministerstwie, daj mu tę płytę, którą przywiozłaś, on ma pracować w personalnym” — to już pogranicze łapownictwa.

Prezenty splecające gościnność, uprzejmość lub pomoc, choć nieraz same przez się zrozumiałe, bywają obraźliwe. Anna mieszkała u Justyny parę dni i na pożegnanie kupiła jej dwie pary nylonów. Urażona Justyna nie chciała ich przyjąć, więc Anna podrzuciła je w szafce. Wynikło stąd zadrażnienie i przez parę miesięcy przyjaciółki nie widywały się.

Większa przykrość spotyka panią D. w każde imieniny. Kiedyś dla biednej rodziny wystarała się o pomoc z zagranicy i teraz co roku rodzina ta przysyła jej drogi prezent.

Może najgorsze jest jednak wykupywanie się prezentem od obowiązków. Gdy sąsiadka ciężko zachorowała na wątrobę, rodzina i przyjaciele zmobilizowali się i wyznaczili sobie przy niej dyżury. Jej rodzony brat nie chciał być gorszy i przychodząc na pół godziny raz na tydzień przynosił pudełko czekoladek.

Dawanie musi być d o b r z e p o m y ś l a n e w t r e ś c i. By sprawić przyjemność, wystarczy nieraz intencja. Na moje pytanie: „Jaki prezent zrobił ci w życiu największą przyjemność?” otrzymałem między innymi następujące odpowiedzi:

„Pierwsze kwiaty, jakie dostałam od chłopca!”

„Mięso, które mi w czasie wojny przynosił dawny mój uczeń; nawet nie tyle chodziło mi o samo mięso, co o jego pamięć!”

„Pasek, który ni stąd, ni zowąd dostałam od woźnej w muzeum”.

Prezenty te sprawiły radość niezależnie od swej postaci, przeważnie jednak materialna treść prezentu gra rolę równie dużą lub większą od jego intencji. Niestety, nadto często ktoś, kto świetnie robi ciastka, dostaje niewydarzony tort z cukierni, ktoś, kto rzucił palenie, zostaje uszczęśliwiony pudełkiem cygar, a Zofie dostają tyle kwiatów, że nie mają w co ich wcisnąć.

Nawet gdy nie kupujemy podarunku „na byle zbyć”, skłonni jesteśmy dawać to, co

nam sprawiłoby największą przyjemność! Zapalanej historyczce, która przyjaciółom przynosi rzadko przez nich czytowane książki historyczne, polecam następujący cytat z Reja:

„Bo dasz li myśliwemu lutnią, staremu drumłę, kupcowi jastrząba, doktorowi łowczą trąbę albo sarnią sieć, barnadynowi arkabuz, białej głowie ostrogi, ailchimiście sahajdak, tedy to żadnemu z tych nie będą wdzięczne upominki...”

[ Mikołaj Rej: *Żywot człowieka poczciwego*. Biblioteka Narodowa. Wrocław 1956, s. 327.]

Najmilszym prezentem, jaki otrzymałem w czasie pisania tej książki, były doskonale dopasowane do niej cytaty. Nigdy nie zapomnę o talerzu kaszy jaglanej z jabłkami, jakim uraczono mnie w Podkowie Leśnej po powstaniu warszawskim. Do dziś pamiętam „kozę”, którą znajomy wstawił do mojej przystani, gdy marzęm pracując na Wiśle.

A oto dalsze typowe odpowiedzi na pytanie: „jaki prezent najmiej wspominam?”

„Zagraniczne lekarstwo dla ciężko chorego męża”.

„Cyrkle, których strasznie potrzebowałem, a na które nie było mnie stać”.

„Angielskie zatrzaski kupione w 1947 r. na ciuchach przez przyjaciółkę córki, której przypadkowo wspo>- mniałam, że o nich marzę”.

„Pierwsze po okupacji bilety do teatru”.

Zważmy i to, że umiejętność odgadywania potrzeb i pragnień znajomych zaoszczędza im kołatania. Sprawiedliwie w *Piekle* Dantego tuż obok osobników, którzy nigdy nic nie dawali, spotykamy tych, którzy zawsze czekali, aż się ich poprosi! Ciepły kącik w piekle zachowałbym i dla tych, którym sztywnieje twarz, gdy ktoś zwraca się do nich ze słowami: „Mam wielką prośbę”.

F o r m a d a w a n i a jest przyprawą, która może podnieść lub zepsuć wartość każdego daru:

— Całe popołudnie szukałam dla ciebie tych guzików — mówi matka.

— Po co? Te, które mam, są zupełnie dobre — odcina się córka.

Zamiast wdzięczności wymówienie poświęcenia sprowokowało uwagę zrobioną wyraźnie na złość.

„Zapraszali mnie na święta — mówiła matka ze wsi — to pojechałam. Nie na długo, na dwa tygodnie. Ale i to było im za długo, bo zaczęli mi skąpić. Gdy myśleli, że nie widzę, wyciągali z szafy daktyle. Zawsze zapominali, że nie mogę jeść twardego pieczywa. Później się dowiedziałem, że o tej swojej dobroczynności wszystkim rozpowiadali. Do końca życia tej ich gościny nie zapomnę!”

Przykład pozytywny: Marysia dając siostrze śliczny obrus powiada, że kosztuje grosze, bo z tego samego materiału robi się ręczniki. Przynosząc koleżance trudny do zdobycia koszyk wietnamski mówi, że kupiła go okazji, bo akurat była w sklepie, gdy te koszyki przywieźli. Dając mi parę słoików konfitur narzeka, że przez omyłkę nasmażyła ich w tym roku za wiele i po prostu nie ma co z nimi zrobić. Dziękuję!

Uwagom o formie dawania niech przyświecają słowa starych myślicieli.

Meng-Tse, filozof chiński sprzed dwóch tysięcy lat:

„Karmić ludzi nie kochając ich znaczy traktować ich jak bydło. Kochać ich, ale nie szanować znaczy traktować ich jak domowe ptaszki, kotki i pieski”.

M. Rej:

„A wszakoż i to, i każde inne, gdy bywa komu czyniono z krzywdą a z zasępioną twarzą, już nie może nigdy tak wdzięczne być jak owo, które z uprzejmej ochoty, a z szczyrej miłości jednego przeciw drugiemu bywa czyniono”. [ M. Rej: dz. cyt. s. 325.]

Pesymista Schopenhauer porównuje człowieka do psa, który uwielbia swego pana, bo ten go karmi i poklepuje. Ale Schopenhauer nie ma racji. Nie jest regułą, że człowiek kocha swoich dobroczyńców.

Dlaczego to, co X. daje ludziom, staje im kością w gardle? Dlaczego uczynność Y. nie jedna mu sympatii? Dlaczego Z., robiąc niewiecej niż X. lub Y., ma tylu wiernych przyjaciół?

Bo X dając tylko z poczucia obowiązku prowadzi jakąś buchalterię swej „hojności”. Dając odczuwa zbiednienie, poświęca się, jest niechętny lub wściekły i nie umie tego ukryć.

Bo Y. daje protekcyjnie, autokratycznie, „z góry”. Biada mi, jeżeli śpiesząc się nie zostaną u niego na kolacji, choć uważa, że powinienem lepiej się odżywiać.

Bo dla Z. dawanie jest czymś naturalnym. Cieszy się, gdy zgadnie, czym może dogodzić,



i cieszy się, gdy sprawi przyjemność. Jego „usługi... pełne są ciepła i jakiegoś zapachu”.  
[ Saint-Evremond: O sztuce życia i życiu sztuki. Czytelnik, Warszawa. 1962, S. 78.]

Pomoc jego zawsze przychodzi w porę. Idąc za czyimś życzeniem sprawia wrażenie, że idzie za swoim własnym. Niekiedy nawet tak przedstawi sytuację, że strona przyjmująca czuje się dająca.

Człowiek, który pozostał na etapie dziecinnego egoizmu, nigdy nie daje. Charakter kupczący daje, gdy widzi w tym interes. Charakter szlachetnie pryncypialny daje w imię cnoty. Żaden z nich nie ma wzroku nastawionego na potrzeby innych i dlatego dawać nie umie. Inaczej jest z człowiekiem, który lubi ludzi. Dla niego dawanie jest jednym ze sposobów wyrażania uczucia wspólnoty. Sympatię, a tym bardziej miłość pojmuje jako uczucie aktywne. Kochając chce pomagać, uczyć, poznawać, ponosić odpowiedzialność, być opiekunem i oparciem.

Inna rzecz, że czasem nawet sobek i sknera potrafi być hojny, gdy kocha. Chcesz wiedzieć, jakiego rodzaju i stopnia jest twoje uczucie? S. Maugham proponuje, abyś w tym celu zastanowił się, czy mógłbyś (mógłabyś) bez wstępu myć zęby jego (jej) szczoteczką? Jeśli tak, to w porządku — kochasz! Pomysł dowcipny, ale ja mógłbym myć zęby szczoteczką prawie każdej schludnej dziewczyny. Nie, potrzebny jest poważniejszy test. Raczej zapytaj samego siebie, czy często, czy bardzo często zastanawiasz się nad tym, czym jemu (jej) możesz zrobić przyjemność, jak jemu (jej) możesz pomóc, w jaki sposób potrafisz uczestniczyć w jego (jej) pracy?

Rodzaj i siła miłości sprawdza się ochotą i przyjemnością, z jaką dajemy, pomagamy i opiekujemy się. Tym samym „termometrem” mierzy się nasz stosunek do ludzi w ogóle.

## Zadbanie i pomoc

*Człowiek nie jest stworzony, aby żył sam,  
ale żeby był użyteczny drugim.*

M. Wiszniewski

Uwagi o dawaniu odnoszą się nie tylko do prezentów. Szczodrość to coś więcej niż drogie podarunki. Nierzadki zwrot: „możecie żądać wszystkiego poza moim czasem” brzmi jak zastrzeżenie: „mogę wam dać tylko jałmużnę”. Życzliwość wyraża się przede wszystkim pomocą i dbaniem, a więc ofiarowaniem właśnie czasu i energii. Koleżanka, która nie umie sama sobie wybrać materiału na płaszcz, staruszka, która boi się sama podróżować, matka marząca, by wyręczono ją w zakupach, potrzebują właśnie naszego czasu. I każdy normalnie rozwinięty człowiek ma odruch pomocy i dbania co najmniej w stosunku do tych, których lubi.

Przykłady pomocy doraźnej:

Nowo zatrudniony tokarz traci głowę. Sąsiad po lewej troszczy się tylko o wyrobienie swojej normy. Sąsiad z prawej odrywa się od warsztatu, tłumaczy młodszemu koledze, jakie ten popełnia błędy. Poświęca mu dziesięć minut, dwadzieścia, a zyskuje oddanego człowieka.

Dziewczyna ma dziewiętnaście lat. To jej pierwszy występ na scenie. Przeżywa paraliżującą treść, tym większą że przed nią ma wystąpić znany aktor, a potem słynny skrzypek. Już tylko trzy minuty, dwie. Czy nogi się nie ugną? Czy wydobędzie głos? Skrzypek podchodzi do niej z uśmiechem:

— Boisz się? — pyta.

— Okropnie.

— Ja też.

— Pan?!!!

— Tak. Ja zawsze się boję. Ale potem jakoś idzie. Zresztą ty masz nade mną przewagę.

— Ja?

— Z taką buzią będziesz się podobać nawet wtedy, jeśli ust nie otworzysz.

Wieczorem przyjeżdża dwóch studentów do Mikołajek, gdzie przebywają na obozie ich koledzy. Entuzjastyczne powitania. Podniecona wymiana wrażeń. Uściski.

— Gdzie będziecie spać?

Chwila zakłopotania, ale już słyhać odpowiedź. Jeden z kolegów z własnej inicjatywy znalazł dla przyjezdnych kwatery i nawet zdobył bony na kolację.

Będąc na wczasach w pobliżu Jeleniej Góry Michał dowiaduje się, że jego znajoma, jadąc z trojgiem dzieci, będzie się tam przesiadała. W oznaczonym dniu jest na dworcu. Sam jego widok uspokaja naprężone nerwy matki. Pomaga przenieść rzeczy i znaleźć miejsce. Od tego czasu minęło wiele lat, ale ona wciąż wspomina tę chwilę, bo przysługi pamięta się dłużej niż słowa. I słusznie. O człowieku świadczy raczej to, co robi, niż to, co mówi.

Nie zapomina się także troski i dobroci lekarza, który z własnej inicjatywy, bezinteresownie czuwał w nocy przy łóżku znajomej po operacji.

Jako przykład pomocy długotrwałej wspomnę panią, która dowiedziawszy się, że koleżanka ma okazję wyjechać za granicę, zobowiązała się codziennie odwiedzać jej starą matkę, wspomnę ucznia, który mniej zdolnemu koledze przez dwa lata pomagał się uczyć, i wspomnę dzieci, którym dzieciństwo zeszło na opiekowaniu się kaleką w rodzinie.

Pomoc długotrwala, choć wymaga poświęceń, jest nieefektywna. Po pierwszym wrażeniu przyjmuje się ją jako należną sobie daninę. Przestaje się ją zauważać, choć właśnie ona jest wielką próbą przyjaźni i człowieczeństwa.

W najcięższych chwilach życia, gdy najbardziej potrzebujemy pomocy, okazuje się, kto rzeczywiście jest najbliższy. I jakże często wychodzi na jaw, że tym najbliższym nie jest nikt z rodziny, ale ktoś, kto dotychczas wydawał się prawie obcy. Koleżanka z biura albo może przypadkowy znajomy z klubu wspiera nas w chorobie, zajmuje się naszym dzieckiem, ratuje z finansowej katastrofy, dopomaga w opiekowaniu się bezwładnym ojcem, a rodzina pojawia się dopiero na pogrzebie. Stąd każdy, kto przeszedł przez długotrwałą tragedię, a teraz zawiera bliższą znajomość, mimo woli stara się odgadnąć,

jak ten nowo poznany zachowałby się w podobnej sytuacji. Czy jak A. zniknąłby z horyzontu? Czy jak B. rzucałby ochłapki litości tłumacząc się często i gęsto, jak okropnie jest zajęty? Czy jak C. zawsze solidnie by pomógł, ale tylko na wezwanie, dając poznać po sobie, że to, co robi, robi z najwyższą niechęcią i tylko z poczucia obowiązku? Czy wreszcie jak D. służyłby chętną, rzetelną, stałą i długotrwałą pomocą, odgadując, co porzeka, i dając nieskończenie wiele z autentycznej potrzeby serca.

Człowiek opiekuńczy i pomocny wzmaga nasze poczucie bezpieczeństwa. Dobrze nam robi niekoniecznie jego pomoc, ale sama jej pewność, samo zaufanie. Nawet jeśli aktualnie niczego nie potrzebujemy, to możliwość znalezienia oparcia „w razie czego” przekonuje nas, że nie jesteśmy sami na świecie, że nasza praca i losy jeszcze kogoś obchodzą. Dlatego, choć bardzo młody człowiek łatwo pozwala oczarować się błyskotliwym umysłem, temperamentem, łatwością słowa i śmiechu, starszy wyżej ceni w ludziach ich gotowość do niesienia chętniej i solidnej pomocy choćby kosztem własnej niewygody, kosztem wyrzeczeń i trudów.

Trwała pomoc graniczy z szerszym pojęciem *d b a n i a o c z ł o w i e k a*. Niedoceniać jest i tutaj regułą. Denerwujemy się na matkę, gdy sprawdza, jak jesteśmy ubrani, na żonę, gdy nalega, byśmy sobie kupili ciepłą bieliznę, na męża, gdy podsuwa lekarstwo lub zdrowe jedzenie, na które nie mamy ochoty. Dopiero gdy zabraknie tej opieki, odczuwamy całą potęgę jej nie zaspokojonej potrzeby i wspominamy radość zadbania jako jedną z największych w życiu. „A oto — pisze Katarzyna Mansfield — rozkoszny obraz, jaki mi się nasuwa: moja babka kładzie mnie do łóżka, przynosi kubek gorącego mleka i kromkę chleba i stojąc ze złożonymi rękami i trzymając wielki lewy palec na prawym pyta swym przemiłym głosem: — Dobrze ci, kochanie?” [Katarzyna Mansfield: Dziennik, dz. cyt. s. 18.]

Zadbanie jest tym wartościowsze, im bardziej jest serdeczne i sprawne. Brak sprawności wynika albo z ucieczki przed obowiązkiem, albo z rzeczywistych wad inteligencji.

- Obiecałaś, że nastawisz herbatę, i co?
- Nie mogłam znaleźć zapalek.
- Przecież masz ogień w drugim piecu. Masz płomyk w łazience, a zapalki leżą przy papierosach w pokoju. Trzy źródła ognia!
- Nie pomyślałam o tym.

Z niesprawnymi źle się współdziała, toteż wspólny front z nimi jest przedsięwzięciem co najmniej niepożądanym. Szukamy raczej przyjaźni osób, które racjonalnie i efektywnie swoje prace inicjują, organizują i wykonują, których decyzje są celne i szybkie, a ruchy celowe i zdecydowane. Rzadko kiedy świadomie oceniamy, że są to osoby, których pomoc i opieka jest wiele warta. Mówimy raczej o estetycznej wartości ładu, składu i energii. Powtarzamy za Wietnamczykami, że wystarczy rzucić okiem do kuchni, by wiedzieć, jaka jest pani domu. A że nieraz to estetyczne wrażenie kształtuje się pod wpływem potrzeby bezpieczeństwa, to już inna sprawa.

Widzę dwa podstawowe motywy pomagania i dbania: obowiązkowość i uczucie. O roli uczucia dość już mówiono, o obowiązku — za mało.

Motyw obowiązku, który może występować łącznie z uczuciem życzliwości czy miłości, ujawnia się przede wszystkim w stosunkach formalnych, na przykład w dbaniu organizacji społecznej lub zakładu pracy o człowieka. Ten obowiązek pomocy i dbania ma ogromne znaczenie gospodarcze, polityczne i indywidualne. Inaczej odnoszą się do zakładu pracownicy traktowani jak łatwo wymienne części maszyny, a inaczej ci, którzy czują, że kierownictwo troszczy się o nich jak o ludzi. Inspektor, który przyjeżdża, by miażdżyć, inaczej „ustawia” pracowników i obywateli niż tern' o którym wiadomo, że doradza i pomaga. Inny jest stosunek do władz zwierzchnich, gdy na naczelnika, dyrektora czy instruktora patrzy się jako na źródło zagrożenia, a inny, gdy widzi się w nim gwaranta sprawiedliwości i bezpieczeństwa. Wreszcie inny jest stosunek do wszelkich władz, które potrafią tylko wymagać, grzmieć i karać, a inny do tych, które dają dowody troski o dobrobyt i samopoczucie obywateli.

Obowiązek pomocy i dbania — sformułowany w przepisach praw i rozporządzeń albo tylko zwyczajowy i etyczny — jest jedną z najważniejszych idei demokracji

i humanizmu.

Z indywidualnego punktu widzenia udzielanie pomocy i opieki jest między innymi warunkiem zdrowia.

Onegdaj bolały mnie skronie, ale musiałem mieć lekcję z panem Z. Także i jego bolała głowa. Chcąc mu ulżyć niczego nie wymagałem, a przeciwnie opowiedziałem parę anegdot i przeczytałem na głos ciekawy artykuł. Po lekcji zauważyłem, że mnie ból głowy przeszedł, ale on dalej cierpiał.

To nie był przypadek: wiele dolegliwości żywi się poświęcaną im uwagą. O wielu niedomogach można zapomnieć zajmując się cudzymi. Sposobem dźwignięcia się z depresji jest zapełnianie wolnego czasu troską o innych.

Innymi słowy zdrowie psychiczne znajduje oparcie nie w biernych potrzebach indywidualnych, lecz. w aktywnych potrzebach społecznych. To one, wysuwając na pierwszy plan pytanie „co mogę dać?” w przeciwieństwie do „co mi się uda wziąć?”, są drogą do zaspokojenia potrzeby akceptacji. To one włączają nas do społecznej wspólnoty. To one pogłębiają zdolność rozumienia. Tylko ten może zrozumieć drugiego człowieka, „tylko ten może zrozumieć, czym jest gospodarstwo albo czym jest jego kraj, kto częściowo' mu się .poświęcał, dbał o niego, bronił go lub walczył o jego piękno” (Saint-Exupery).

## Wdzięczne przyjmowanie

*Jak widzę, pospolite to ludzkiej naturze:  
Łaski pisać na lodzie, Krzywdy na marmurze.*

W. Kochowski

Wyjeżdżając pani Z. powierza przyjaciółce klucz od domu, żeby czasem zajrzała, co się dzieje.

Wiedząc, jak przyjemnie jest wejść do czystego mieszkania, przyjaciółka przed powrotem właścicielki porządnie je sprząta. Powróciwszy i zajawszy się rozpakowywaniem pani Z. nie dostrzega jednak ani zamiecionej podłogi, ani wyszorowanej łazienki.

J. oświadcza, że chciałby zapalić. N. wychodzi po papierosy i nie wiedząc, jakie kupić, bierze dukaty. Gdy wraca, J. mówi: „Nie znoszę dukatów”.

Usłyszawszy, że pani N. lubi flądry i że trudno je dostać, K. lata po mieście i triumfalnie przynosi jej całe kilo wędzonych. Pani N. skwapliwie je rozwija i zaraz z rozczarowaniem wzdycha: „Flądry! Te podeszwy to mają być flądry!”

Niezbyt troskliwy mąż: Zainstalowałem w łazience piec węglowy.

Żona: Nareszcie! Ale dotąd nie zamówiłeś węgla!

Ojciec przywozi synowi z zagranicy płaszcz, buty i rakietę.

Syn: Dziękuję. A... piłki?

Ojciec: Zapomniałem o piłkach.

Syn: A właśnie na nich najbardziej mi zależało!

— A to co? — pyta mąż.

— Materiał na firanki — odpowiada żona odrobinę niepewnym głosem. (Była z niego dumna, teraz straciła pewność siebie.)

— Widzę, że nie papier higieniczny. I ty chcesz to powiesić?

— Myślałam, że są ładne.

— Ty zawsze myślisz...

Źle przyjmuje, kto  
przyjmuje martwo,  
nie docenia starań,  
ma pretensje, że dostał za mało albo w ogóle nie to, czego chciał,  
uważa, iż otrzymanie jednego upoważnia go do spodziewania się lub żądania czegoś drugiego, przyjmuje w duchu „to mi się należy”.

Charakterystyczne, że człowiek nie bierze jako należnej sobie daniny podsuniętych mu przez koleżankę kamieni do zapalniczki, ale nawet nie zauważa, z jakim poświęceniem babcia prowadzi dom, gotuje, sprząta i wychowuje dzieci. Tak samo jest zaskoczony i wylewnie wdzięczny, gdy na szosie obcy motocyklista zatrzyma się i w pięć minut pomoże uruchomić mu motor, ale ledwie zauważa, że kierowniczką działu codziennie poświęca pół godziny ekstra, by go przyuczyć do zawodu. Przyjmowanie w duchu „wszystko mi się należy” występuje przeważnie w stosunku do osób najbliższych lub najhojniejszych.

Choć pięknie daje ten, czyj prezent, pomoc lub opieka nie krępuje przyjmującego, to jednak źle świadczy o przyjmującym, jeśli łatwo pozwala się przekonać, że to, co otrzymuje, jest rzeczywiście drobnostką.

Głównym celem dającego jest zrobienie nam przyjemności, a zatem okazanie jej jest ważniejsze od podziękowania. Dlaczego najmilej jest robić prezenty dziecku? Dlatego, że żywo reaguje. Gdy sprawimy mu i radość, wyraża ją całą swą małą osobką.

Zdarza się, że i dorośli mile umieją przyjmować. Jak śmieją się oczy pani Anieli, gdy dostaje ulubione grejpfruty. Albo jak ładnie cieszyła się Ewa z maszynki do kawy. Bałem się, że jest za duża, nieporęczna, że ktoś inny wpadł na ten sam pomysł, ale Ewa zawołała: „Jaka piękna! A wie pan dlaczego? Bo przypomina samowar”. Pamiętam też, jak po daniu pani Wandzie dwutomowej książki zauważyłem, że i bez niej jest obładowana i zaproponowałem, że nazajutrz sam książki przyniosę: „O nie! — brzmiała żywa

odpowiedź — ja już dziś chcę to czytać!”

Jeszcze większą przyjemność zrobiła mi mama, odkrywając tyle ładnych szczegółów w filizance, którą dostała na gwiazdkę. Kupując ją w komisie nie przypuszczałem, że można oddzielnie cieszyć się kształtem, rysunkiem, odcieniami, nawet właściwą wielkością filizanki.

Najpospolitszą postacią wdzięczności jest podziękowanie. Znaczy ono tak mało, jest tak automatyczne, że aż chęć bierze w ogóle odrzucić je jako formę, z której treść dawno uleciała. Okazuje się jednak, że brak podziękowania może być aż wstrząsający. Sąsiadka Marysi na działce rozplakała się i długo z nią nie rozmawiała, bo — jak się później okazało — nie usłyszała „dziękuję” za przyniesioną flancę.

Inna rzecz, iż spotyka się niekiedy ludzi, „którzy tak uporczywie składają nam dzięki za doznane łaski, że wszyscy dokoła czują się zakłopotani. Zawsze mają imię dobrodzieja na ustach, a portret u siebie w pokoju. Ale do czego prowadzą te czcze popisy wdzięczności? Służą one jako tytuł do nowych roszczeń”.

[ Saint-Evremond, dz. cyt. s. 95.]

W powszechnym zwyczaju jest także okazywanie wdzięczności drobnymi upominkami. Spełniają one swoje zadanie, gdy są dobrze pomyślane i gdy nie mają charakteru spłacania usługi. Młoda nauczycielka z radością i dumą pokazuje książeczkę, jaką dostała od matki opuszczającego jej klasę malca, i zwraca uwagę na dedykację: „Jako podziękowanie za wielką i skuteczną pracę nad Jasiem”. Profesor L. na politechnice miał powód do radości, gdy w dzień jego imienin studenci ustawili się w kolejce, każdy z jednym kwiatkiem. „Dlaczego tak w kolejce?” — zapytał. Wyjaśniono, że każdy chciał być tym, kto ucałuje profesora, więc — w imię sprawiedliwości — każdy dostał po jednym anemonie.

Okazywanie wdzięczności na dużą skalę już całkowicie zależy od sytuacji. Odnośne przykazanie pięknie sformułował A. K. Czartoryski w *Katechizmie rycerskim*: „Winniśmy służyć dobroczyńcom naszym wszystkim, co się w nas znajduje, krom sławy d sumienia”.

[ A. K. Czartoryski: *Katechizm rycerski* (z 1774 r.). Gebethner i Wolff, Warszawa 1916, s. 30.]

Jestem wdzięczny Leonowi za pomoc w szkole, Romkowi za ułatwienie mi zdobycia pierwszej w życiu pracy, Grażynie za gościnę, gdy nie miałem gdzie się podziać. Jestem im wdzięczny, ibo pamiętam. Wdzięczność zasadza się przede wszystkim na pamięci, która jest przysłowiowo krótka. To odwieczny temat poetów i moralistów.

„Ale by snadź kto tak też rzekł: «Toć mogło być za starych ludzi, iż wždy dobrodziejstwa i od chudych pacholków długo pamiętali; ale idziś takie wieki i tacy ludzie nastali, iż póki widzą, poty pamiętają, a skoro z oczu, to już wszystko na stronę precz!» Prawdać jest, iż na on czas mogła być u każdego dłuższa pamięć, bo się tak w on czas głowa ludziom nie mieszała jako dziś. Ale gdy dziś pojrzysz na wartogłowne łby ludzkie, jako się mieszają, jako w nich zawždy jak w kotle wre, mały to dziw, iż chudych pacholków abo jakiej małej uczynności ich ani baczą, ani pamiętają. Ano dziurką przez szybę wygląda, jeśli już świta, ano każdą godzinkę liczyć musi, ano by nalepsze towarzystwo, by nawdzięczniejsza biesiada, wnet się porwać musi, a nigdy sam swój nie jest, podobno połowica dyjafołowa. I dziw, boć nie tylko, aby co pamiętać miał, ale iż nie poszaleją... A tak dziwny świat a zawikłany zawždy szumi a huczy około łbów ludzkich, że szum zawždy około uszu, jakoby się pszczoły roiły. A jako taki łeb co długo pamiętać abo na słusznym baczeniu mieć może?”

[ Mikołaj Rej: *Żywot człowieka poczciwego*, dz. cyt. s. 33.]

Jednakże niechęć pamięci do rejestrowania otrzymanych dobrodziejstw tłumaczyć trzeba nie tyle szumem panującym wokół naszych łbów, ile znanymi właściwościami pamięci:

1. Łatwo zapominamy o tym, co zrobiło na nas małe wrażenie. Małe wrażenie robi między innymi to, do czego się przyzwyczailiśmy. Stąd łatwo zapominamy o dobrodziejstwach stale świadczonych nam przez te same osoby.

2. Łatwo zapominamy o tym, co wiąże się z już zaspokojoną potrzebą, jeśli pomoc otrzymaliśmy, to pamięć całej sprawy przygasa. Wrażenia i myśli zwią- feaj

zane z nie zaspokojoną potrzebą dłużej przebywają w polu świadomości, a zatem silniej wrażają się w pamięć. Jeśli spragnieni otrzymamy w przydrożnym domu szklanke wody, to jutro, o tym zapomnimy, ale jeśli nam tej wody odmówią, pragnienie będzie trwać jakiś czas, a wraz nim obraz tego, kto nam wody odmówił.

3. Łatwo zapominamy o tym, o czym wolimy nie pamiętać. Przyjmując dar lub pomoc tym samym czujemy się słabsi, może poniżeni i dlatego wolimy o tym zapomnieć. Z tegoż względu nieraz pomniejszamy wartość otrzymanej pomocy, tłumacząc sobie i innym, że dający i tak ma za dużo. Wolimy żyć w przekonaniu, że nikomu niczego nie zawdzięczamy, że to, czym jesteśmy, i to, co mamy, jest zasługą wyłącznie naszych własnych sił i charakteru.

4. Bardzo często niczego nie zapominamy, bo w ogóle żadnego zobowiązania w pamięci nie zarejestrowaliśmy. Każdy skłonny jest przeceniać i wyolbrzymiać: własny trud, a nie doceniać i pomniejszać trud współpracowników i współdomowników. Jednym z powodów, dla których spółka czy wspólne mieszkanie czyni wrogów z przyjaciół, jest to, że każda ze stron czuje się wyzyskiwana przez drugą, każdej wydaje się, że „oni” powinni więcej z siebie dawać, że zasługi są jej, ale owoce zbierają „oni”.

Tę obserwację warto uogólnić. W różnym stopniu u różnych ludzi, ale prawie zawsze bardzo skrupulatny lub przesadzony jest rachunek dawania, a niezbyt wierny lub zaniżony rachunek brania. Co drugi człowiek powtarza, że inni są niewdzięczni, ale siebie nigdy za niewdzięcznego nie uważa. Jest przekonany, że daje dużo, a otrzymuje mało, że robi, co może, a sam musi zadowalać się ochłapami. Tylko wielki człowiek potrafi być wdzięczny bez zastrzeżeń, potrafi przyjmując dobrze pamiętać, a dając — zapominać.

## Uwagi końcowe

*Albowiem nie pomogą wystawne a ony  
zafarbowane z gramatyki słowa,  
jeśli prawda a skutek daleko się z nimi mija.*

M. Rej

Pisząc tę książkę przeżywałem okresy zwątpień i załamania. Zaledwie wgrzyłem się w temat, przeraziła mnie bezczelna śmiałość przedsięwzięcia: współzycie, to zagadnienie bez dna. Można o nim mówić bez końca. Bez końca można je upraszczać i komplikować: wszystko tu jest „prostsze, niż myślimy, i bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje” (Goethe). Bez końca... i zawsze pozostaną niepokojące luki.

Luki i uproszczenia. Międzyludzkie stosunki są dynamiczne, chaotyczne, niejednolite, złożone i względne, a ja usiłowałem wyprowadzić sztuczny ład i pozorną stabilność. Każda współzyciowa sytuacja zależy od długich szeregów wzajemnie od siebie zależnych czynników, a ja wrywałem te czynniki z ich naturalnych kontekstów. W dodatku każda współzyciowa sytuacja i reakcja jest jedyna w swoim rodzaju, a ja pozwalałem sobie na uogólnienia. Przeżywałem nieprzyjemne chwile także wtedy, gdy długą drogą poprzez psychologię dochodziłem do sformułowań brzmiących jak pouczenia dla dzieci. Pocieszałem się myślą, że przeświadczenie o oryginalności własnych przemyśleń świadczy o ignorancji; że powtarzanie starych, wielkich prawd jest bardziej celowe niż odkrywanie nowych bez znaczenia, że jednym z najważniejszych zadań autora jest ukazywanie rzeczy pospolitych w trochę innym, szerszym świetle.

Najbardziej dręczyły mnie wątpliwości, gdy zastanawiałem się nad praktyczną przydatnością mej pracy. Łatwo jest dawać rady, nie jest trudno przyjmować, ale stosowanie ich wymaga nieprzeciętnego charakteru. „Leży to w naturze człowieka mądrze myśleć i głupio działać” — powiada Anatol France, a według Tołstoja łatwiej napisać dziesięć tomów filozofii niż wprowadzić w życie choć jedno jej przykazanie. To samo odnosi się do wskazań psychologii. Tylko rzadkie jednostki potrafią rzucić palenie, a przecież choćby tylko odzwyczajenie się od okazywania zniecierpliwienia wymaga większej siły.

Trudności praktycznego wykorzystania Współzycia są więc bez porównania większe od teoretycznych trudności napisania tej książki. Z drugiej strony taki zbiór wiadomości, obserwacji i refleksji ma w sobie życie tylko wtedy, gdy służy życiu, to znaczy, gdy daje) się przełożyć na język działania. Powstaje pytanie, jak przebudować łożyska naszych nawyków i przyzwyczajzeń?

Ponieważ sposób myślenia i działania jest w znacznym stopniu wynikiem naśladownictwa, ponieważ upodabniamy się do osób, z którymi często przebywamy, a w pewnym stopniu nawet do bohaterów ulubionych powieści, dobierając sobie otoczenie, możemy kształtować samych siebie.

Jak wstępem do zmiany jakiegokolwiek sytuacji powinna być jej analiza, tak też od analizy powinniśmy zaczynać korektę błędów popełnianych w kontaktach z ludźmi. Zastanawiając się nad własnymi słowami i postępowaniem w kategoriach przyczyny i skutku, odkryjemy na przykład, dlaczego Iks nieprzyjaźnie się do nas odnosi, jakie błędy popełniliśmy na zebraniu, czym wyrządziliśmy przykrość Igrekowi, jak powiedzieć Zetowi tę nieprzyjemną rzecz, którą powiedzieć mu trzeba itd.

Ma się rozumieć, że już wyrobienie tego typu refleksji oznacza rozwinięcie nowych nawyków myślowych. Od ich zmiany zaczyna się każda praca nad sobą i każda próba zmiany życia.

Godne polecenia jest także wyobrażenie sobie stylu postępowania, który chcemy



sobie przyswoić. Człowiek jest skłonny robić to, o czym najwięcej myśli, i robić tak, jak to sobie najczęściej wyobraża.

Najtrudniejsze, ale i decydujące jest jednak samo postępowanie. Kształtuje się ono przez powtarzanie w podobnych sytuacjach tego samego sposobu zachowania się. Im częściej na kompleks bodźców A. zareagujemy z pomyślnym skutkiem w sposób B., tym łatwiej i pewniej na te same bodźce tak samo zareagujemy w przyszłości. Styl życia to masa nawyków, które weszły w krew dlatego, że przez dłuższy czas zmuszaliśmy się do czegoś lub pozwalaliśmy sobie na coś.

Poza tym nawyk wyrabia się tym pewniej:

im bardziej jednolity, nie zakłócony wyjątkami jest ciąg powtórzeń;

im wcześniej zaczął się kształtować;

im silniejsza jest motywacja i emocjonalne zaangażowanie.

Ten trzeci warunek bynajmniej nie jest błahy: opanowanie każdej sztuki wymaga stałej uwagi, trudów, wytrwałości i ofiar, na które zdobyć się potrafią tylko entuzjaści. Sztuka podobać się polega w połowie na pragnieniu podobać się.

Motywację podsycają refleksje, o roli międzyludzkich stosunków.

Być lubianym to nie tylko przyjemność. Niechęć ludzka utrudnia nawet najzdolniejszym osiągnięcie W pracy zadowolenia i powodzenia. Nie lubiany człowiek co krok potyka się o kłody, których mógłby unikać. Przeciwnie — człowiek lubiany. Przypisuje mu się więcej zasług i więcej umiejętności, niż ich posiada. Lubiany lekarz, prawnik, dziennikarz, majster, działacz społeczny łatwiej zdobywa zaufanie, może mieć większy wpływ, może skuteczniej pracować.

A w rodzinie? Kwasy w domu, tj. w miejscu przeinaczonym na odpoczynek, są jak owróżdzenie żołądka: bolesne, odbierające apetyt i powoli wyniszczające organizm. Są tak ostre i tak powszechne, że gdyby żarły nie tylko ludzi, lecz i mury, rzędami waliłyby się kamienice. I odwrotnie. Dom, dla którego warto żyć, do którego warto śpieszyć, jest najcenniejszym oparciem i najobfitszym źródłem małych i dużych radości.

Każde życie jest współżyciem. Ażeby nie czuć się osamotnionym, by uniknąć uczucia wyobcowania i zagrożenia, by osiągnąć choćby względne zadowolenie, człowiek musi współżyć intensywnie i pełnoznacznie.

Przez „intensywne i pełnoznaczne” rozumiem takie stosunki z ludźmi, które mają bogato rozbudowaną stronę bierną i czynną, umysłową i uczuciową.

Strona bierna to korzystanie i chłonięcie, to umiejętność patrzenia i słuchania, to sztuka przyjmowania darów natury i darów ludzi.

Strona czynna to dawanie i pomaganie, to aktywność rozszerzająca zakres doświadczeń i zainteresowań, zaostrzająca postrzeganie, wzbogacająca wiedzę, ożywiająca intelektualnie i emocjonalnie.

Strona umysłowa obejmuje ciekawość świata i ludzi, głód wiedzy, rozumienie, postulowanie i kierowanie.

Strona uczuciowa wyraża się przede wszystkim przywiązaniem i miłością, solidarnością i patriotyzmem, a także ogólną uczuciową wrażliwością, która stwarza lub rozgrzewa motywację, pobudza do myślenia i działania.

Natomiast przez pełnoznaczność współżycia rozumiem zbliżenie do ludzi na iparu płaszczyznach, znajdowanie radości w rozmowie i w zmysłowym kontakcie, wspólne szukanie prawd i kształtowanie postaw, wspólny zachwyt i wspólne oburzenie, współdoznawanie i współdziałanie.

Intensywne i pełnoznaczne współżycie jest najistotniejszym elementem o t w a r t e g o s t y l u ż y c i a . W przeciwieństwie do stylu zamkniętego, w przeciwieństwie do stylu płaza w skorupie, który tylko chłonie i bierze, lubuje się w sobie (ewentualnie z czyjaś pomocą) i opatula swoje „ja” przy uwzględnianiu reszty świata tylko jako materiału potrzebnego do urządzenia się, styl otwarty odznacza się wychodzeniem poza siebie, wczuwaniem się w innych, nastawianiem się na zaspokajanie cudzych potrzeb, odznacza się czynnym włączeniem się w szerszą grupę, w społeczeństwo, w ludzkość.

Tak pojmowany styl to nie krótkotrwały taniec, lecz stały sposób chodzenia, to nie kilkadziesiąt opanowanych „zagrań” i technicznych reguł, lecz cała ludzka osobowość. Jak rozmawiasz, zależy od tego, kim jesteś. To samo — jak pracujesz, jak bierzesz, jak dajesz. Doskonalenie stylu życia musi iść w parze z doskonaleniem osobowości.

Należę do autorów, którzy po to, by pisać, muszą mimo wszystko wierzyć w doniosłość powstającego dzieła, wierzyć więcej, niż na to pozwala zdrowy rozsądek.

Wiem, że większość czytelników potraktuje tę książkę jako ciekawostkę, inni z wyższością stwierdzą, że niewiele znaleźli w niej nowego, jeszcze inni zaczerpną z niej trochę myśli, którymi — zależnie od okoliczności — będą błyskać w rozmowach albo sporach. Ale pracując nad *Współzyciem* myślałem raczej o tej mniejszości czytelników, którzy podzielą moje przekonanie, że u podstaw kultury znajdują się nie słowa, nie ciekawość, lecz umiłowanie doskonałości.

## WYKAZ PRAC Z KTÓRYCH KORZYSTAŁ AUTOR

- A. Adler: Znajomość człowieka. Jemiołkowski i Evert, Łódź 1948.  
G. W. Allport: The Nature of Prejudice. Doubleday, New York 1958.  
S. Baley: Wprowadzenie do psychologii społecznej. PWN, Warszawa 1959.  
F. Baumgarten: Die Psychologie der Menschenbehandlung. Rascher, Zurich 1946.  
Z. Bauman: Socjologia na co dzień. Iskry, Warszawa, 1964.  
B. Berelson, A. Steiner: Human Behaviour. Harcourt, New York 1959.  
Cyceron: Pisma filozoficzne. ..., Warszawa 1963.  
E. Fromm: The Art of Loving. Harper, New York 1956.  
T. Garczyński: Sztuka życia. WPSiL, Warszawa 1960.  
S. Gerstman: Uczucia w naszym życiu. Wiedza Powszechna, Warszawa 1963.  
D. Gregor: The Human Side of Enterprise. McGraw, New York 1960.  
J.M. Guyau: Zarys moralności bez powinności i sankcji. Książka i Wiedza, Warszawa 1960.  
E.R. Guthrie: The Psychology of Human Conflict. ... ,New York 1938.  
K. Hojnacka: Współżycie z ludźmi ..., Żnin 1939.  
K. Horney: Our Inner Conflicts. Norton, New York 1946.  
O. Klinberger: Social Psychology. Holt, New York 1945.  
A. Knigge: Pożycie społeczne. Fołtym, Wadowice 1872.  
J. A. Komensky: Wielka dydaktyka. Ossolineum, Wrocław 1956.  
J. Korczak: Wybór pism pedagogicznych, t. I. PZWS, Warszawa 1958.  
Krech, Crutchfield, Ballachey: Individual and Society. Mc-Graw, New York 1962.  
J. Meerloo: Conersation and Communication. Holt, New York 1958.  
A. Malanowski: Zagadnienia psychologii społecznej. Wybór, PWN, Warszawa 1962.  
A. Matejko: Kultura pracy zbiorowej. Wyd. Związkowe, Warszawa 1963.  
A. Matejko: Praca i koleżeństwo. Wiedza Powszechna, Warszawa 1963.  
A. Maurois: Un art de vivre. Plon, Paris 1939.  
T. M. Newcomb: Social Psychology. Dryden, New York 1959.  
Plutarch: Moralia. Biblioteka Narodowa, Wrocław 1954.  
M. Rej: Żywot człowieka poczciwego. Biblioteka Narodowa, Wrocław 1956.  
J. Reykowski: Problemy osobowości i motywacji w psychologii amerykańskiej. Wybór. PWN Warszawa 1964.  
La Rochefoucauld: Maksymy i rozważania moralne. Ossolineum, Wrocław 1951.  
S. L. Rubinsztajn: Podstawy psychologii ogólnej. Książka i Wiedza, Warszawa 1962.  
B. Russel: Małżeństwo i moralność. Rój, Warszawa 1931.  
Saint-Evremond: O sztuce życia i życiu sztuki. Czytelnik, Warszawa 1962.  
H. Selye: Stress życia. PZWL Warszawa 1960.  
H. S. Sullivan: The Interpersonal Theory of Psychiatry. Norton, New York 1953.  
L. J. Saul: Emotional Maturity. Lippincot, Philadelphia 1947.  
Sierra, Wright and Rice: Personality and Human Relations. McGraw, New York 1961.  
T. Tomaszewski: Rodzaje i motywy reakcji negatywnych. Lublin 1964.  
M. Wiszniewski: Charaktery rozumów ludzkich. Naukowe Wydawnictwa Pedagogiczne, Warszawa 1938.  
W. Witwicki: Stosunki osobiste między ludźmi, Warszawa 1948.
- PRACE ZBIOROWE  
Moja pierwsza praca. Iskry, Warszawa 1964.  
Pomówmy o naszych dzieciach. Iskry, Warszawa 1963.  
New Knowledge in Human Values. Harper, New York 1959
- ANKIETY  
Express: Uważam, że moi rodzice... 1961.  
Kobieta i Życie: Idealny mąż: 1963.  
Sztandar Młodych: Jeśli przyjaciel, to jaki? 1961.  
Sztandar Młodych: Samotnie czy z innymi. 1959.  
Życie Warszawy: Jaka jesteś rodzino? 1962.  
Życie Warszawy: Młodzi po ślubie. 1964.  
Życie Warszawy: Twój dzień powszedni. 1964.  
Życie Warszawy: Rodzice-dzieci-rodzice. 1965.  
-----

Odwiedzaj stronę

[www.StefanGarczynski.pl](http://www.StefanGarczynski.pl)